

MARTA MOTYL

ODCIEŃIE CZERWIENI



Marta Motyl

ODCIEŃIE
CZERWIENI



Rozdział I

Nimfetka

Odwróciła się do szyby.

Na plecy opadały loki w kolorze miodu. Spod krótkich spodenek zalotnie wychylała się dolna część pośladków. Dziewczyna znalazła miejsce, przysiadła z wdziękiem. Cienki kabel, łączący słuchawki z iPodem, biegł pomiędzy zgrabnymi udami. Wierciła się, a on poruszał się w jej rytmie, jakby chciał tam wejść.

Moje uda kleiły się do siebie. Miałam ochotę przysłonić usta i udając, że ziewam, westchnąć z rozkoszy. Ale tylko wysiadłam z tramwaju.

Odkąd zamknęli bufet na uczelni, jadałam w McDonalddie. W czasach mody na wegetariańską cnotliwość był jeszcze bardziej grzeszny. Jednak największą zaletę tego przybytku rozpusty stanowiły młode dziewczyny. Po lekcjach wyciągały z papierowych torebek frytkę za frytką. Oblizywały palce z tłuszczu. Oznaczały śladem taniej szminki wszystko, co wsuwały między wargi.

Błyskały oczętami, kręciły główkami, aż włosy fruwały im we wszystkie strony. Pewnie dlatego nazywa się je podfruwajkami. Ja wolę inne określenie: nimfetki.

Usadowiwszy się na wysokim stołku barowym, miałam na nie znakomity widok. Kiedy schrupały ostatnie kęsy, zaczęły

pokazywać sobie nowe zdobycze: pantofelki, puderniczki, okulary. „Tego nie będę wyjmować, zajrzyj”, szeptały. Podawały zawiniątka z rąk do rąk, w tajemnym kręgu, i uśmiechały się pod zadartymi noskami. Zasłaniały się lusterkami. Usta, kolejny raz pociągnięte czerwienią, wyglądały jak namalowane emalią na gładkiej porcelanie. Nie porysowała ich jeszcze żadna zmarszczka, żaden ból.

Co z tego, że moja cera też jest jeszcze świeża? To tylko powłoka. W środku jestem zepsuta, roztrzaskana. Ale nie żal mi porcelany.

Gorzką myśl osłodziło pojawienie się piękności z tramwaju.

Kroczyła od drzwi do kasy na wysokich obcasach. Nagle odbiła w bok i skręciła do łazienki. Chwilę później podążył tam mężczyzna w garniturze. Wyszedł po kilkunastu minutach, z wesołkowatym uśmieszkiem, zapiął marynarkę i opuścił lokal. Nastolatka wciąż się nie pojawiała; przyszło mi do głowy, że to musiał być zabójczy seks. Z głośników sączył się ten rodzaj muzyki, który nikomu nie przeszkadza i nikogo nie pobudza. Pasowałby jako podkład do horroru klasy B. W roli głównej nimfetka w zakrwawionych pantofelkach. Uderza piąstkami w zamknięte drzwi toalety, ale nie przebija się przez radosną melodię.

Nie darowałabym sobie, gdybym nie sprawdziła, co dzieje się za prawdziwymi drzwiami. Wciąż nikt nie poruszał klamką. Podeszłam i nasłuchiwałam, ale odpowiedziały mi martwą ciszą. Otworzyłam je i z impetem wpadłam na dziewczynę. Akurat odchodziła od lustra, cała, zdrowa, czarująca. Co za ulga! Stałam na jej miejscu i udawałam, że poprawiam włosy.

Na dnie umywalki błysnął srebrny kolczyk. Schowałam go do kieszeni. Wybiegłam, pewna, że jeszcze dogonię właścicielkę, ale nie znalazłam jej przy wyjściu. Tkwiła w kolejce. Dołączyłam i zaciągnęłam się nią. Nie pachniała seksem, tylko perfumami, których musiała użyć niedawno. Z przyjemnością wsłuchiwałam się w dźwięk lodu wrzucanego do kubka. Zapłaciłam za colę i ruszyłam do stolika.

– Mogę?

Skinęła głową.

– To twoje? – Wyciągnęłam kolczyk.

– No! Dzięki. Nie skapnęłam się, że wyleciał.

– Znasz tego w garniturze?

– Którego?

– Tego, co wychodził z łazienki.

– Pracujesz w policji? – Uśmiechnęła się ironicznie, co zabolęło. Uśmiech wkrótce zamienił się w śmiech, ale tak uroczy, że natychmiast wybaczyłam, że to ze mnie.

– Nigdzie nie pracuję – powiedziałam.

Sączyla napój przez słomkę, jakby czekając na ciąg dalszy.

– Studiuję historię sztuki. Właściwie to też praca... – urwałam, ciekawa reakcji.

Odstawiła colę. Oparła się łokciami o stół i nachyliła ku mnie. Rowek między piersiami nęcił, by sprawdzić, jakie są bujne i aksamitne w dotyku.

– Co takiego? Zwariowałaś?

Przez chwilę zastanawiałam się, czy czyta w moich myślach. Umknęło mi, o czym mówiłyśmy, ale na wszelki wypadek potwierdziłam.

– Co się po tym robi? Biega się z miotłą po muzeum?

Na szczęście chodziło jej wyłącznie o studia.

– Chcę pisać o sztuce.

– Taaa, jasne. A kto chce o tym czytać? Czeka cię bida z nędzą! – jęknęła. – Ej, a może chcesz dorobić ze mną?

– Gdzie? – Teraz ja udałam idiotkę.

– Dobra, dobra, już się nie wygłupiaj. Podzielę się nim z tobą. Fajna z ciebie dupa, spodobał mu się.

– Taka jesteś wspaniałomyślna?

– Nie. On... Wiesz, on potrzebuje nowości. Teraz wymyślił kible. Mam dosyć ruchania się z nim w syfie i smrodzie.

Przyprowadzę mu na chatę przyjaciółkę, to da mi spokój. Nic tak nie podjara faceta jak trójkąt.

– Ale my nie jesteśmy przyjaciółkami...

– To nimi zostaniemy. Chcesz zarobić czy nie?

– Daj mi się zastanowić.

Zamilkłam na dłuższą chwilę. Intuicja podpowiadała, żebym w to weszła. Spełnienie marzenia o seksie z nastolatką nigdy nie było tak blisko. Musiałam skorzystać z okazji. Jednak próbowałam wynegocjować lepsze warunki.

– Co ty na to, żeby nas tylko obserwował?

– Spoko, nie będę mu cię pakować do łóżka, jeśli nie chcesz. Tylko jak podzielimy się hajsem? – Wzięła gwałtowny oddech, aż jej biust zafalował. – Ja wszystko załatwiam, to więcej dla mnie, co nie? – Położyła dłoń na mojej, a ja dostałam gęziej skórki. – No nie, ty też nie będziesz stratna. – Zabawnie przewróciła oczami. – Ile byś chciała?

– Obojętnie.

– Zglupiałaś? Ej, a może masz na mnie ochotę? Lepiej, żebyś była lesbą. Z idiotkami się nie zadaję.

Znów chichotała, aż trzęsły się jej ramiona. Brzoskwiniową cerę ożywił rumieniec.

– Mniejsza o to. To jak będzie z naszym pokazem?

Zaproponujesz mu?

– Jasne! Dryndnę do ciebie.

Wymieniłyśmy numery telefonów.

Miała na imię Majka. Kiedy dopiła napój, wstała, głośno cmoknęła mnie w policzek i wyszła. Jednak jej pocałunek został mi na policzku, a śmiech wciąż dźwięczał w uszach.

* * *

Nie wiem, czemu uroiłam sobie, że ona skontaktuje się ze mną następnego dnia.

Zatrzymałam się pośrodku ruchliwego skrzyżowania i wyciągnęłam z torby telefon, bo miałam wrażenie, że dzwoni. Nie dzwonił. Tylko samochody trąbiły przeraźliwie. W powietrzu wciąż unosił się zapach podobny do jej perfum. Na ulicy, w tramwaju, na uczelni, w sklepie, w akademiku, w łazience – gdziekolwiek byłam, czułam go i co chwila sięgałam po komórkę. Sprawdzałam, czy nie mam nieodebranych połączeń. Byłam

pewna, że nie usłyszałam sygnału. Myliłam się. Wieczorem
uznałam, że dziewczyna zatelefonuje po spotkaniu ze sponsorem.
Nie odzywałam się pierwsza, żeby nie pomyślała, że się narzucam.

Ona wciąż milczała.

Poznałam ją w poniedziałek, a zbliżała się połowa tygodnia.
Coraz bardziej nienawidziłam telefonu. Nieustannie wydawało mi
się, że wydaje dźwięki, więc sprawdzałam. I co? Komórka ani nie
śpiewała, ani nie warczała.

Od czwartku ogarniał mnie coraz większy niepokój.
Rozdwoiłam się i prowadziłam dialog sama ze sobą.

– Pewnie tylko tak mówiła. „Zadzwoń do ciebie”. Nimfetki
same nie wiedzą, czego chcą.

– Dotrzyma słowa, zobaczysz. Nie stracę jej!

– Już straciłaś. Nie masz wyjścia, musisz się z tym pogodzić.

Po pierwsze, wyłącz telefon.

– Żartujesz?

Obojętne, czy byłam w jednej osobie, czy w dwóch – nic nie
mogłam poradzić, żeby skończyć z paranoją. Mogła mi pomóc
wyłącznie nowa znajoma.

W piątek prawie zasypiałam, gdy komórka, położona tuż
przy poduszce, zawibrowała. Patrzyłam na przekłety ekranik, albo
raczej na błogosławiony, skoro wyświetlał pięć liter: M, A, J, K, A.
Tańczyły przed moimi oczami, ale nie reagowałam. Dopiero gdy
zadzwoiła po raz drugi, drżącymi palcami wcisnęłam zieloną
słuchawkę.

Już zapomniałam, że nimfetka ma taki miły głos.

Okazało się, że sponsor napalił się na nasz plan i obiecał
premię, byleby mnie przyprowadziła. zaproponował pokaz za
tydzień. Kułam żelazo póki gorące, więc zgodziłam się od razu.
Ustaliłyśmy, że umówimy się trochę wcześniej, żeby się
przygotować.

Kiedy się rozłączyła, trudno mi było uwierzyć w naszą
umowę. Ja, nimfetka i sponsor? Istny Tercet Egzotyczny.
Mężczyzna mało mnie obchodził; nie mogłam się doczekać, kiedy
znów zobaczę śliczną Majkę. Ciekawe, co robi w ten weekend?

Zadzwoić czy nie? Zdałam się na los i wzięłam monetę. Wypadł orzeł, więc zadzwoniłam.

Zapytałam, czy chce się jutro spotkać. Niepotrzebnie dodałam, że chodzi o spotkanie sam na sam. Stała się podejrzliwa, jakbym właśnie proponowała jej wspólną noc. Wyjaśniłam, że jeśli spędzimy ze sobą trochę czasu, będę czuła się pewniej podczas pokazu, ale chyba jej nie przekonałam. Rzutem na taśmę zaproponowałam, żebyśmy wybrały się po seksowną bieliznę. I tu ją miałam.

Umówiliśmy się w Manufakturze. Nie w sobotę, tylko w niedzielne popołudnie.

Byłam niesłuchanie przejęta. Przed snem wyobrażałam sobie namiętne sceny z nami obiema w rolach głównych – co jest cudowniejszego od dwóch kochających się kobiet? – jednak postanowiłam, że w niedzielę będę uważać, aby zbyt wcześnie nie zdradzić się przed Majką. Nawet tak wyzwolone nimfetki jak ona bywają płochliwe. Mimo to sądzę, że w każdej kobiecie kryje się lesbijka, trzeba tylko stworzyć sprzyjające warunki, by ujawnić to, co ukryte. Nastolatka nawet nie będzie wiedzieć, kiedy wpadnie w pułapkę. Pułapkę nowych rozkoszy, więc nie stanie się nic złego.

W niedzielę nie potrafiłam się skupić na niczym. Później trochę odpuściłam i tylko spoglądałam na tarczę zegarka, popędzając wskazówki. Przesuwały się w swoim tempie, zdecydowanie zbyt wolno. Do tego obawiałam się, że ona nie przyjdzie.

Przyszła! Czekala na mnie przed wejściem.

Zamówiłam dwie kawy i zajęłyśmy miejsca w pluszowych fotelach przy oknach wychodzących na rynek.

Łagodne promienie padały na długie włosy dziewczyny, rozjaśniając je. Przesunęła po nich dłonią. Jeden z kosmyków zatrzymał się pomiędzy palcami, jakby sprawdzał ich czułość. Słoneczne zajaczki przeskakiwały z dołeczków w policzkach na ramiona, z nagięgo dekoltu na piersi, osłonięte obcisłym materiałem. Chyba wpadłam w obsesję na ich punkcie. Czy moje spojrzenie nie jest zbyt natrętne? Powinnam się pilnować, cholera!

Majka chyba liczyła, że odezwę się pierwsza. Nie miałam wyjścia. Za to miałam okazję, by pozbyć się kilku wątpliwości.

– Słuchaj, jak właściwie będzie na tym pokazie? On nie ruszy się z miejsca? Nie tknie mnie, prawda? Później wyjdę, a ty zostaniesz?

Przytaknęła. Potwierdziła też, że nie będzie nas nagrywał. Nie uspokoiła mnie.

– A jak zrobi to po kryjomu? – dopytywałam.

– Taaa i wrzuci na YouTube! Codziennie będzie lukał, ile nabiłyśmy odsłon. Oj, Magda, nie panikuj. Znam go, nic nie odpierdoli.

Pokiwałam głową.

– A, koniecznie miej pończochy. Wtedy oszaleje.

I tak chciałam je włożyć. Majka przystała na pomysł, żebyśmy kupiły taką samą bieliznę. Miałam nie patrzeć na ceny, bo otrzymała na nasze wydatki sporą sumę.

Podniosłyśmy się i ruszyłyśmy w stronę sklepów.

Za wypolerowanymi witrynami krzątały się sprzedawczynie, starannie rozwieszając i układając ubrania, na koniec wygładzając je delikatnie. Przemykały między półkami w balerinach, lekkimi ruchami podsuwały klientkom sukienki drukowane w kwiaty lotosu i spinki w kształcie orchidei. Znałam tę pracę w rajcu ze szmat i z plastiku, którym władały manekiny ozdobione klejnotami z imitacji złota. Całe towarzystwo oświetlały lampy. Sztuczne palmowe liście nie dawały chłodnego cienia. Niezdecydowane Ewy przechadzały się pod nimi w tę i z powrotem. Adamowie wzdychali żałośnie i przestępowali z nogi na nogę. Minęłyśmy wiele takich par, zanim trafiłyśmy do sklepu z bielizną, który polecała Majka.

Z całej kolekcji najbardziej spodobały mi się biustonosze z satyny pokrytej gustownymi koronkami. Miseczki łączyło gorsetowe sznurowanie. Nimfetka podała mi stringi w podobnym stylu. Cienki paseczek wcinający się między jej jędrne pośladki? O tak, znakomity wybór. Skierowałam się do przymierzalni, ale Majka nie miała ochoty na przymiarki.

Cios. Nie mogliśmy się pożegnać w tej chwili; ta klęska by mnie załamała. Podsunęłam zatem myśl o opiciu współpracy. Moja współlokatorka miała wrócić dopiero jutro. Majka dała się skusić. Kupiliśmy czerwone wino i pojechaliśmy do akademika.

Ona rozgościła się na moim łóżku, a ja zaczęłam szukać korkociągu, przetrzepując kuchenne szafki i schowki. Pociągnęłam za dolną szufladę. Wypadła i narobiła rumoru. Nie dałam rady wepchnąć jej z powrotem. Do tego nie znalazłam otwieracza. Chciałam wcisnąć korek do środka, ale nimfetka zaprotestowała, że wino będzie niedobre i ona się takiego nie napije. Same problemy.

Od czego jednak sąsiedzi? Poprosiłam Majkę, żeby zaczekała, i zeszłam do chłopaków.

– Macie korkociąg?

– Magda, weź się opanuj! Nie pij do lustra, my zawsze jesteśmy chętni.

Ich wyświechtane dowcipy rzadko kiedy bywały śmieszne. Jednak nie pamiętałam, żeby kiedykolwiek denerwowały mnie aż tak bardzo.

– Nie jestem sama. Jest u mnie... chrzestna. – Wymyśliłam na poczekaniu.

Niech już przestaną być tacy upierdliwi i czym prędzej dadzą mi otwieracz!

– I pijecie wino?

– Tak. Jest wyluzowana.

– A ładna?

– Po co pytasz? Zaraz ocenimy!

Mimo że moja cierpliwość była na wyczerpaniu, opanowałam nerwy.

– Ładna, nawet bardzo ładna. Prowadzi z mężem sklep z bronią. Wiatrówki, noże, paralizatory. Jeśli chcecie ją poznać, zapraszam.

– Nie, nie, tylko żartowałem. Pewnie macie swoje sprawy...

Wreszcie zamilkli, a mnie udało się zdobyć korkociąg.

Tak się rozpędziłam, że niemal wywinęłam orła na śliskiej

podłodze korytarza. Za to Majka emanowała spokojem. Siedziała po turecku na tapczanie i przeglądała kolorowe czasopismo porzucone przez moją współlokatorkę. Wielki nagłówek na okładce głosił: „Wiosna na przecenie”.

Zyskałam nadzieję na bezcenny wieczór, gdy wyrwała mi z ręki butelkę.

– Za tych, co na morzu, w powietrzu i pod ziemią! –
Przycisnęła usta do gwinta. – Teraz za mnie. – Wzięła kolejny łyk.
– Za ciebie później.

Bardzo mnie tym rozbawiła. Zapytałam, czemu taka świetna dziewczyna wciągnęła się w sponsoring. I dowiedziałam się, że zdecydował przypadek.

– Szwendalam się wieczorem po mieście z taką moją paczką. Zimno się robiło, no to poszliśmy na browar. On wyhaczył mnie przy barze i zaczął gadkę: „Ooo, ciebie nie da się przegapić”. No a ja mu na to: „Czy świecę w ciemności?”. Śmialiśmy się jak porąbani. Wziął mój numer. Dryndnął, zaprosił na randkę. Moi kumple byli przy nim beznadziejni. A te ich macanki! – prychnęła.
– Po prostu żal. Z niego to był džentelmen! No i miał hajsu jak lodu. Zawsze najdroższe restauracje, kluby, hotele. Rozdziewiczył mnie w pięciogwiazdkowym, wiesz?

Gdyby opowiadała to inna osoba, skomentowałabym, że w czterogwiazdkowym na pewno posuwałby ją inaczej. Jednak Majkę już wtedy traktowałam jak młodszą siostrę. Słuchałam jej z uwagą i pobłażaniem połączonymi z zachwytem. Miałam ochotę chłonąć jej widok, głos i śmiech, tak podobny do dźwięku srebrnych dzwoneczków. Nie przerywałam więc.

– Nie był skapiradłem. Miałam na wszystko, co chciałam. Łachy, bizu, pachnidła. Na wagarach łąziłam na zakupy albo siedziałam w jego biurze. Bujałam się z nim po delegacjach. A on chodził na wywiadówki. Ściemniał, że jest moim ojcem, i wszystko usprawiedliwiał.

Dalsza część monologu była chaotyczna i wypowiedana bardzo nerwowo. Niełatwo mi ją powtórzyć i uporządkować, ale spróbuję. Po pół roku sponsor powiedział, że nie mogą się dalej

spotykać, bo brakuje mu czasu. Kobięca intuicja podpowiadała, że facet znalazł nową kochankę. I nie zawiodła Majki. Kiedy z samego rana młoda przyszła do firmy, przyłapała go na obściskiwaniu się z inną. Z tym że ta inna była mniej więcej w jego wieku, czyli o ponad dwadzieścia lat starsza od poprzedniczki. Sekretarka zainteresowała się nawet, czy to nie jej mamusia.

Majka nie odpowiedziała, tylko trzasnęła drzwiami. Przez tydzień próbowała się skontaktować z kochankiem. W końcu napisał esemesa, że jego narzeczona przyleciała ze Stanów. Istna telenowela! Tym bardziej że poruszona małolata była wściekła.

– Że samolot się nie rozbił! Nienawidzę jej! Co za sucz! Skończy w piekle za moje krzywdy! Gdyby nie ona, bylibyśmy razem! Moje życie inaczej by wyglądało!

Miałam ochotę utulić jej gniew. Powstrzymałam się, ponieważ budziła we mnie zbyt duże pożądanie. Gdybym wykonała choć jeden nieprzemyślany ruch, wymknęłaby mi się z rąk. Wierzyłam, że przyjdzie dziś jeszcze odpowiedni moment na bliskość. A w tej chwili podobała mi się nawet taka zezłoszczona. Jednak rozumiałam ją doskonale, bo przeżyłam porównywalne doświadczenie. Różnica polegała na tym, że mężczyzna nie był moim sponsorem i że go kochałam. Przyznałam się do tego Majce.

– No co ty, ja też go kochałam! Ja go naprawdę kochałam! – Uniosła się.

Nie pamiętam, od kogo usłyszałam, że wino z każdym łykiem szepce prawdę do ust. Ona wypła więcej niż ja. Choć czasami nieprawda wydaje się prawdą.

– A jaki był twój pierwszy raz? – zaciekawiała się znienacka.

– Wiesz, nic specjalnego. Zrobiłam to z kolegą z klasy w opuszczonym domu przy torach. Wcześniej dużo wypiliśmy, na odwagę. Nie patrzyłam w jego oczy, tylko na puste butelki na parapecie. Krew leciała ze mnie ciurkiem. Nie miałam jak jej zatamować. Szybko się zmyliśmy. Potem miałam jeszcze paru nieudaczników. Ale seksu uczył mnie o wiele starszy partner. Tak jak ciebie.

– Przydali się nam, co nie? – Puściła do mnie oko.

– Pytał, na co mam ochotę. Byłam tak głupia, że mnie to dziwiło. Ale później brałam, co mi się należy, i domagałam się tego.

– Długo byliście razem?

– Nie, nie. Odszedł, a ja szalałam na imprezach. Wychodziłam z klubów z dopiero co poznanymi typkami.

– Ej no... Za takie rzeczy bierze się hajs. Nie puszczaj się za darmo – odparowała Majka.

Pociągnęłam spory łyk.

– Pieprzyć się można z każdym. Po tym wszystkim wiem, że kochałam się tylko z jednym.

– No co ty? Dawaj, nawijaj o nim, bo nie uwierzę!

Nie miałam pojęcia, skąd to zdziwienie. Za kogo ona mnie miała? Pożałowałam, że się przed nią otworzyłam. Wyplątałam się, że to zbyt długa historia.

Wino się skończyło, więc poszliśmy po drugie. Na wszelki wypadek wzięliśmy i trzecie.

– Wierzysz jeszcze w miłość? – zagadnęłam po drodze ze sklepu.

– Jedną, jedyną i prawdziwą? Nie. A ty?

– Sama nie wiem. Ale jak wrócimy, włączę ci ładną piosenkę, chcesz? O dziewczynie, która zakochała się nieszczęśliwie. „Bóg jej wybaczył czyny sercowe i lody podał jej malinowe”^[1] – zanuciłam.

Nimfetka przystanęła. Ja też. Wtuliła się we mnie, mocno i ufnie. W mig zapomniałam o słowach, które zabołały. Kiedy odsunęłyśmy się, odgarnęłam jej włosy i założyłam za uszy. Powiodła wzrokiem za dłońią, którą pogładziłam ją po policzku. Uniosła głowę, patrząc na mnie przenikliwie i błękitnie.

– Wyglądasz jak anioł – powiedziałam.

Wiem, że grafomani ogłosili na ten komplement promocję. I co z tego? Mój anioł był inny, jedyny w swoim rodzaju. Nie pamiętam już, czy to ja chwyciłam Maję za rękę, czy ona mnie. Kształty naszych dłoni bardzo łatwo dopasowały się do siebie.

Tramwaje i autobusy kołysały się na wszystkie strony, otumanione moim – naszym – nagłym szczęściem. Podobnie jak samochody rozdzierały czerń nocy żółtymi i pomarańczowymi reflektorami. Po sylwetkach ludzi, którzy nimi jechali, przesuwały się odbicia mijanych budynków i kolorowych neonów. Nie było ciemności, nie było śmierci; miasto migotało od dachów aż po bruk. A razem z nim oczy, w których lśniło. Odkąd poznałam Majkę, wszędzie dostrzegałam blask.

W mieszkaniu przypomniła mi o piosence. Z głośników rozległy się Oczy tej małej.

Wyciągnęłam się na łóżku, a ta mała, która była ze mną, położyła się obok. Oparła twarz na ramieniu i przymknęła powieki. Mruczała melodię. Nagle stała się romantyczna i bezbronna. Nawet nie musiałam pytać, czy chce przenocować. Dla nas obu było oczywiste, że zostanie.

Uchyliłam drzwi od połowy szafy; jak zwykle wypadł stamtąd stos rzeczy. Spod niego wydobyłam moją najładniejszą halkę, ręcznik i wręczyłam nimfetce. Kiedy wróciła z łazienki, akurat próbowałam domknąć szafę. Kopniak załatwił sprawę. Majka obiecała, że nie uśnie, zanim nie będzie mnie z powrotem. Zwinęła się w kłębek.

Szłam pod prysznic po mokrych śladach stóp. Umyłam się tak szybko jak nigdy, a z półki pod lustrem zabrałam balsam Chloé. Należał do współlokatorki. Szczerze mówiąc, podkradałam go. Na biedną nie trafiło, miała kosmetyków bez liku. Wybrałam akurat ten, bo zachwycał mnie jego intensywny konwaliowy zapach. Ułożyłam się na boku, przodem do Majki.

– Mam superbalsam. Chcesz wypróbować?

Chciała. Wycisnęłam sporą porcję i rozprowadziłam po rękach dziewczyny. Zsunęłam ramiączka halki, by wygodniej smarowało się ramiona i dekolt.

– Przekręć się na brzuch – wyszeptałam.

Zwinęłam górę koszulki, tak że opadła fałdami na biodra. Spod opuszków palców na łopatki popłynął chłód kremu, a potem już samo ciepło. Odpięłam biustonosz, żeby nie przeszkadzał w

głaskaniu kręgosłupa. Zdejmowałam napięcie i nakładałam odprężenie. Plecy wygięły się w łuk, gdy Maja wyciągnęła spod siebie stanik i upuściła na podłogę. Odwróciła się do mnie i posłała uwodzicielskie spojrzenie. Nie wypowiedziała ani słowa. Ja też nie.

Obfite, miękkie krągłości wypełniły moje dłonie; przelewały się między palcami. Wykonywałam powolne koliste ruchy, by przedłużyć chwilę, na którą tak czekałam. Majka mrużyła oczy i unosiła kąciki ust. Wyobrażałam sobie, że rozcieram na niej płatki konwalii, a ona zamienia się w jeden z kwiatów. Też tak chciałam. Zrzuciłam koszulkę i przejechałam biustem po biuście. Podniecał mnie aromat, który nas otulał i unosił się w powietrzu.

Wyciągnęła ramiona i przygarnęła mnie najbliżej, jak się dało. Wcisnęła mi palce w plecy. Lekko kąsała moje wargi, aż wbiła zęby w dolną i przytrzymała. Kiedy puściła, wsunęła mi w usta język. Splótł się z moim. Zaiskrzyło. Przeciągnęłam dłoń po jej pośladkach i między udami. Poczułam koronkę, a pod nią miękkość i wilgoć. Kiedy dotykałam tam Majkę, ona rozchyłała i zbliżała nogi, szukając odpowiedniego natężenia przyjemności.

– Magda, dalej, o taaaak! – Przyłgnęła do mnie i kurczowo zacisnęła dłonie na moim karku.

Niczym się nie odwdzięczyła. Zasnęła.

A ja, zamiast w sen, zapadłam w emocje. Pochłonęły mnie całą. Ekscytowałam się naturalnością i spontanicznością Majki. Sama dawno utraciłam te cechy. Teraz dostałam szansę, by dzięki niej je odzyskać. Nie mniej pasjonujący był gorący temperament. Jak na licealistkę, wydawał się nadzwyczajny. Czy nasz kontakt będzie tylko erotyczny? Łatwo jest wdrzeć się drugiej osobie pod skórę, ale nie tak łatwo jest wdrzeć się do serca. Potrzebne mi serce nimfetki?

Przysunęłam ucho do lewej piersi Majki; oplotła mnie ramionami. Jednak pomiędzy uderzeniami serce niczego mi nie wyjawilo. W końcu zasnęłam w błogim uścisku. Rano nie chciałam się z niego wyplątywać. Narzuciłam krótki szlafrok i zmusiłam się, by przygotować śniadanie. Zaniiosłam nimfetcie do

łóżka tacę z tostami. Akurat się przeciągała, leniwie i ponętnie, niczym kocica. Kiedy jadła, zapytałam, z iloma dziewczynami była.

– Z jedną – powiedziała z pełnymi ustami i przełknęła kęs. – Z kumpelą robiłyśmy pokazy do kamerki. Ale ona mnie nie kręciła. Chodziło o sam hajs. – Otarła okruszki z buzi.

– A... noc ze mną ci się podobała?

– No jasne. – Odstawiła pusty talerz na podłogę. – Wiedziałam, o co ci biega. Próbowalaś mnie schlać, później numer z masażem. No, szacun za pomysły.

Nie zmartwiłam się, że mnie rozszyfrowała. Raczej ucieszyłam się, że jest bystra. Zrobiło mi się trochę wstyd, że jej nie doceniłam. Zamilkłam. Ocknęłam się, gdy kilkoma ruchami stargała mi włosy.

– Wariatka! Przestaaań! – Odwzajemniłam się tym samym gestem i złapałam tarczę obronną, czyli poduszkę.

Wzięła drugą i zaczęłyśmy się okładać.

Majka była silniejsza. Poza tym dekoncentrował mnie biust drżący pod cienką halką, wysoko odsłonięte uda i trójkącik bielizny. Przeciwniczka szybko wyrwała mi broń. Przycisnęła mnie nią i sobą do łóżka.

– Poddajesz się? – Rozwiązała pasek mojego szlafroka i złożyła wargi do pocałunku.

Jej usta smakowały lepiej niż wszystkie śniadania w moim życiu. Nasze ciała splotły się ze sobą równie łatwo jak dłonie.

– Obiecałam mu, że pokaz będzie trwał godzinę. Okej?

– Okej.

Tyle byłam w stanie powiedzieć, gdy ze mnie zeszała.

Skierowała się do lustra w przedpokoju. Stałam za nią i przyglądałam się, jak rozdziela loki przedziałkiem. Zrobiła go idealnie pośrodku głowy. Nasze spojrzenia spotkały się w zwierciadle. Podała mi grzebień. Kiedy ją czesałam, zazdrościłam mu, że całym sobą odczuwa kolor i woń puszystych kosmyków. I znów wydawało mi się, że Majka jest moją siostrą.

Nie miałam siostry.

Wychodząc, minęła się w drzwiach z moją współlokatorką. Kiedy tylko ta księżna Kate dowiedziała się, że balsam przepadł, zainteresowała się, jak potłukłam butelkę.

– Normalnie. Potrąciłam ręką i spadła z półki.

– Taaak? Była plastikowa... – Naburmuszyła się.

Schowałam się za notatkami do kolokwium. Trochę się uczyłam, a trochę podpatrywałam zza karteek, z jakim zapalem Kate wyjmuje z toreb nowe ubrania. Odemknęła całą szafę, nie tylko swoją połowę, i wywołała lawinę, która na nią runęła. A pretensje skierowała do mnie. Opanowałam się, licząc w myślach do dziesięciu, i upchnęłam mój bałagan zgodnie z życzeniem księżnej pani. Wtedy rozpogodziła się i na dobre zajęło ją układanie zakupów. Nie wiem, czemu mieszkała w akademiku, skoro pozwalała sobie na rzeczy z górnej półki. Nosila je z niewymuszoną elegancją. Szyk emanował z niej nawet wtedy, gdy przewracała się w łóżku na drugi bok. Dwadzieścia cztery godziny nieprzerwanej gracji. Kto by to wytrzymał? Tylko ona. Dlatego właśnie nazywałam ją „księżną Kate”.

Studiowała dziennikarstwo i prowadziła blog modowy. Raz w tygodniu fotografowała, z jakim powątpiewaniem patrzy na swoje odbicie w lustrze windy.

Zmieniały się stylizacje, a winda i mina Kate – nie. Sama Kate miała całe grono wielbicielek. Ich wizytę u nas rozpoczynała premiera zdjęć z bloga. Znajome na przykład podziwiały, jak sprytnie ona rozpięła płaszcz, by odsłaniał zestaw à la Chanel.

– Ja nie mogę, jaka poza! A ten komplet jest cudny! Boziu, idealny!

– Ślicznota z ciebie! – piszczały i klaskały w rączki.

Zachowywały się podobnie jak podfruwajki, z tym że nie było w nich uroku, tylko czysta pretensjonalność. Kate okazywała emocje subtelniej. Z wyczuciem dbała, by przyjaciółki wciąż zabiegały o jej względy i prosiły o pożyczenie ubrań. Potem stroiły się, próbując ją naśladować. Próżny trud. Niektóre z nas rodzą się księżnymi, a inne gęsiareczkami. Nawet gdy te drugie ozdobią głowy tiarami, i tak wyjdą z nich gęsiareczki. Lepiej przykryłyby

włosy chustkami, żeby nie przybrudziły się, gdy wrócą pasać drób.

Księżna miała złote serce, bo dla zmniejszenia nierówności organizowała od czasu do czasu Akademię Paznokcia dla gęsiareczek. Osiągnęła mistrzostwo we francuskim manikiurze. Zresztą wzdychała do wszystkiego, co francuskie. Opowiadała o tygodniowym pobycie w Paryżu tak długo i zawile, jakby spędziła w podróży co najmniej rok. Zwiedziła raptem katedrę Notre Dame, kilka sal Luwru, Łuk Triumfalny, wieżę Eiffla. A, i jeszcze pojechała do Wersalu. Większość czasu zajęły jej wyprawy na zakupy. Relacje z nich urozmaicała gruchaniem francuskich słówek i soundtrackiem z *Amelii*. Nie wiem, czy lubiła również seks francuski, bo nie miałam chęci na seks z nią. Od pasa w górę przypominała arystokratki z renesansowych portretów – pociągła twarz z wysokim czołem, znużonym spojrzeniem, ustami wykrojonymi w kształt serca. Biust średniego rozmiaru, lecz powabnie uwypuklony. Mocne wcięcie w talii, jak gdyby zasnurowała gorset. Efekt psuł jednak zbyt przysadzisty tyłek i krótkie krzywe nogi. Wiezorami przebierała nimi na kursie tańca.

Nie wiem, która z nas mocniej się wtedy cieszyła. Ja świętowałam przede wszystkim koniec okupacji łazienki. Brałam bardzo długi prysznic. Po wyjściu z kabiny zawijałam się w ręcznik i dalej relaksowałam. Odprężało mnie przesuwanie żyletką po udach; dzięki niej odzyskiwałam spokój. Nareszcie nie rozpamiętywałam tego, co było, nie stresowałam się tym, co jest, i nie martwiłam się, co będzie. Pierwszy ruch był mocny, kolejne słabsze, a ostatni najsilniejszy, żeby zapamiętać wrażenie.

Na końcach sznytów gromadziły się krople. Kiedy spływały w dół, przez moment przypominały nuty. Bacność! Tak leci hymn mojego burdelu! Po hymnie! Spocznij! Troskliwie przemyślałam rany, osuszałam je i przyklejałam opatrunki. Nasiąkały krwią, a ja napawałam się wrażeniem wyzwolenia. Przez moment czułam się jak na haju, poza i ponad wszystkim. Totalne uniesienie. Skaleczenia stawały się dotkliwe później. Chyba najbardziej wtedy, gdy się goiły. A skrzydła opadały mi dopiero, kiedy ponownie ogarniał mnie lęk, nienawiść do siebie, a szpecące

sznyty, dotąd osłonięte opatrunkiem, budziły obrzydzenie. Jednak nie chciałam przestać tego robić.

Cięłam się od dwunastego roku życia.

Tymczasem Kate wracała, pełniła wartę przed drzwiami i marudziła:

– Długo jeszcze?

Namawiałam ją, by częściej wychodziła z domu i na przykład podszkoliła francuski.

Mieszkałyśmy ze sobą kolejny rok wyłącznie dlatego, że lepsze jest zło znane niż nieznanne.

Szkoda, że dzisiaj nie miała żadnych zajęć. Z kuchni dobiegał piskliwy głos. Pewnie chodzi o szufladę. O nie! Wcisnęłam głowę pod poduszkę. Wciąż pachniała moją nimfetką, moją konwalią. Moją! Cała pościel przesiąkła zapachem chwil, w których wtulałam się w Majkę. Pragnęłam, by ten zapach był gęsty i łatwo się nie rozproszył. Telefon, leżący tam, gdzie tak niedawno leżała ona, zabrzączał. Esemes. Od niej!

„Lubię Twoje sexy usta”.

Przez pół nocy myślałam nad tym, co odpisać. Każde słowo wydawało mi się nieodpowiednie. W końcu wysłałam tylko :-*.

* * *

Zgodnie z obietnicą do mieszkania sponsora przybyłam wcześniej. Miał apartament w loftach Scheiblera. Razem z adresem Majka przesłała mi kod do domofonu. Pasował.

Weszłam w pustą przestrzeń. Miałam chęć krzyknąć: „Hop, hop!”, i sprawdzić, czy niesie się tutaj echo. Odpuściłam; na trzeźwo raczej nie robię sobie obciachu. Drugie piętro? Tak, cyfry na drzwiach się zgadzały. Lekko przycisnęłam dzwonek. Powtórzyłam, już energiczniej. Długo jeszcze? Poruszyłam klamką. Ustąpiła.

– Chodź, chodź! – wołała nimfetka. – Jestem w łazience. No, tuuutaaaj!

Poprowadziła mnie głosem do wielkiej wanny, niemal po brzegi wypełnionej wodą. Niestety, piana zasłaniała pociągające

kształty.

Szybko rozebrałam się i dołączyłam do Majki, wsuwając się między jej kolana. Po pierwszej porcji pocałunków nie byliśmy nasycone. Jednak sprytna kochanka nie daje się wypić natychmiast. Plusnęło. Majka położyła się, zmuszając mnie do przesunięcia się na drugi koniec wanny. Zanurzyła głowę. Pasma włosów rozsypały się; spieniona woda rozdzielała je, wygładzała i układała – jakżeby inaczej? – w fale. Bawiły się świetnie, te wstęgi, serpentyny, sieci, jakby urządziły sobie bal. Wyciągały się na całą długość, ale co pragnęły schwytać? Piana rozrzedziła się. Już tylko woda zostawiała ślady na ponętym ciele, oznaczając kropelkami miejsca, gdzie była przed chwilą. Przelewała się dalej i za moment wracała, kończąc pieszczotę. Przypatrywałam się temu zjawisku jak zaczarowana, aż powróciłam do rzeczywistości. Ciało mojej Ofelii trzeba ożywić, niech się obudzi do rozkoszy! Dotykałam go i obmywałam płynnymi ruchami. Woda drwiła ze mnie, że pierwsza dostała się pomiędzy uda. Nic straconego! Teraz wpływała tam i wypływała razem z moją stopą. Majka unosiła się i opadała, ale nie na dno. Za chwilę sama nadała nam rytm, wciąż równie ciepła, miękka, mokra. Znieruchomiała i westchnęła głośno. Uniosła się i otarła oczy grzbietem dłoni.

Po chwili zgodnie zanurzyliśmy się w sobie. Woda wydawała się zazdrosna i stygła zbyt szybko. Niezrażone, dolałyśmy ciepłej.

Ona odwróciła się plecami. Przyłgnęłam do nich biustem i pogładziłam kochankę po krągłych ramionach. Kiedy wgryzłam się w jej kark, sięgnęła ręką do tyłu, wprost ku mojej lechtaczce. Pobudzała ją, nie zważając, że już nie wytrzymuję niepohamowanej siły, która mnie rozpierała. Mój szal doprowadzał moją partnerkę do szału. Nasze ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze.

Powstrzymałam je krzykiem. Chciwie łapałam urwane oddechy.

Uspokoiliłam się, dopiero gdy Majka zaczęła delikatnie myć mi włosy. Odwdzięczyłam się tym samym. Woda znów wystygła,

dając znak, że nie możemy wiecznie gościć w jej toni. Spłukałyśmy z siebie pianę i wyszłyśmy na mokre kafelki. Z łazienki do przedpokoju wypływała pokaźna kałuża.

– Ta wanna przecieka czy co? – zdziwiłam się.

– Nie wiem! Cholera jasna! Sławek wraca za dziesięć minut! Kiedy my to sprzątniemy? A włosy? Kiedy wysuszymy włosy? – Nimfetka załamano rękę. Wyglądała teraz jak bardzo uduchowiona anielica. Zachichotałam.

– Może podniecą go dziewczyny z mokrymi włosami...?

– Szkoda, że nie podnieci go zalanie sąsiadów – zirytowała się.

W szafce pod umywalką znalazłam ścierki. Wspólnymi siłami udało się zatamować potop.

– Magda, dobrze jest! No weź, nie froteruj podłogi, głupolu! Wkładaj pończochy, szybko. Ej, po czym masz takie blizny? Cięłaś się?

– Teraz chcesz o tym gadać? Gdzie suszarka? Aaa! Chyba słyszę kroki...

– Dziewczyny, jesteście?

Miał bardzo niski głos.

– Taaak! W łazience! – zawołała Majka.

– Długo mam czekać?

– Zaraz będziemy! Tylko się wysuszymy!

– Przyjdźcie od razu do sypialni. Mam dla was zabawki.

– Zabawki? – syknęłam. – O tym nie było mowy!

– Oj, nie panikuj. My się ze sobą pobawimy, a nie on z nami, co nie?

Kiedy doprowadziłyśmy się do ładu, poszłam za nią.

Sterylna biel zawładnęła sypialnią od ścian po podłogę, na całą wysokość szafy i szerokość materaca. Na pościeli nie spostrzegłam ani jednego zmarszczenia czy zagniecenia. Zaraz zburzymy ten porządek, pomyślałam.

– Cześć. – Wysoki mężczyzna z zakolami uniósł głowę znad przezroczystego krzesła. Przysunął je bliżej łóżka. – O, tu będzie dobrze, co?

Pozostawił mebel w spokoju i zlustrował moją sylwetkę. Uśmiechnął się szeroko, wyciągając dłoń.

– Co tak słabo? Taki uścisk się nie liczy! Pokaż, co potrafisz. Wzięłam jego rękę, jakbym chciała pogruchotać mu kości.

– No, teraz znacznie lepiej.

Podniósł moją brodę. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

– W tej sypialni bądź zawsze na sto procent, dobrze?

Zamiast odpysknać: „Będę na dwieście” albo „Będę przodowniczką pracy”, łagodnie odparłam: „Dobrze”.

Przycupnęłam na łóżku jak sierota. Majka zrobiła radosną minę. A może to sztuczny uśmiech zastygł na jej twarzy?

Facet wręczył mi czerwoną torebkę, z której wytrząsnęłam kajdanki i opaskę na oczy z napisem: *Be naughty*. Ale się wysilił! Udawałam, że poprawiam sprzączki przy pasie do pończoch – odpinałam, zapinałam, odpinałam i tak bez przerwy. Tymczasem nasz sponsor rozsiadł się na krześle, wypiął pokaźny brzuch i poluzował krawat. Brakowało mu tylko drinka z parasolką. Wolał Jacka Daniel'sa, którego właśnie nalewał do niskiego kieliszka z grubego szkła. Mógłby nas poczęstować. Dlaczego nie wypiałam niczego wcześniej? On tymczasem powtórzył kolejkę, dociekając, czy ma przestawić krzesło dalej, żebyśmy poczuły się swobodniej. Majce było wszystko jedno, ja się nie odzywałam. Znajdowałam się już w różnych cudacznych i niezręcznych sytuacjach, ale w takiej jeszcze nigdy. Pewnie dlatego w ogóle nie potrafiłam się odnaleźć. Cała odwaga opuściła mnie i nie wracała.

Upiekło mi się, bo do akcji wkroczyła moja kochanka. Przewróciła się na mnie i sprawnie zapięła na moich przegubach kajdanki. Na oczy naciągnęła opaskę. Zapadła ciemność.

Przypomniało mi się, że w dzieciństwie zamykałam oczy po to, by poczuć się niewidzialna. Powróciłam do tych fantazji i nagle wszystko zaczęło się dziać w innej rzeczywistości, zarazem poza mną i we mnie. Majka usiadła na moim brzuchu, napierając nań najgorętszą częścią ciała. Przyjmowałam, nie tylko z drzeniem, ale też z wdzięcznością, pocałunki na ustach, za płatkami uszu i w

zagłębieniach pod szyją. Kosmyki włosów delikatnie muskały moją skórę, gdy partnerka pochylała się nade mną. Wślizgnęła się dłońmi pod moje plecy, szybko znajdując haftki biustonosza. Odpięła je jednym ruchem i wydobyła piersi. Kiedy je ugniatała, wydawało mi się, że wewnątrz dłoni pokrywa najdelikatniejszy jedwab.

Później wstała i rozsunęła mi nogi. Zapewne uklęknęła pomiędzy nimi, bo poczułam liźnięcia na zawijasio pępka. Potem laskotała językiem wewnętrzną stronę moich ud. Stringi zjechały mi z bioder, a ona wciąż prowokowała, bym błagała o więcej. Więcej. Drażniła się ze mną, podczas gdy ja nie panowałam nad własnymi reakcjami. Już nie czułam, gdzie są jej wargi, a gdzie dłonie. Wypełniałam się ich słodką energią, aż wyciekał ze mnie jej nadmiar.

– No dawaj, wyliż ją!

To mężczyzna się zniecierpliwiał, nie ja.

– Miałeś się nie wtrącać – odparła.

A jednak spełniła jego żądanie.

Jęczał razem ze mną. To nic, że czułam się jak aktorka w tanim pornolu – obecność nimfetki była najwspanialszą rekompensatą.

Po chwili Majka zwróciła mi wolność i zdjęła opaskę; czar prysł. Przysiadła na piętach w oczekiwaniu. Przedłużając pocałunek, powtarzałam w myślach, że nie jestem sobą; nie chciałam okazać choćby cienia niepewności. Od mojej pewności siebie zależało, czy się wykazałam i czy szef poprosi nas o kolejny pokaz. Poza tym zapragnęłam być sprawczynią przyjemności. Tyle razy zaznałam w łóżku egoizmu partnera, że nie wolno mi nikogo zawieść, myślałam. Co mi tam sponsor, niech oczy wyskoczą mu z orbit!

Majka pomogła mi zdjąć z siebie bieliznę, wyraźnie zniecierpliwiona. Na przemian to masowałam, to ściszałam jej piersi. Gdy brodawki się powiększyły i naprężyły, pochylałam się, zwilżając je śliną. Przytrzymałam się talii kochanki, a moje usta i język dalej hojnie rozsypywały dary na gładkiej skórze. Czy jesteś

taka mokra jak ja? Czy mogę to sprawdzić?

Mogłam. Ona była otwartą szkatułką, tylko z niej wybierać, a tyle tam perełek. Jak wiele? Tego wciąż nie wiedziałam.

Dopilnowała czasu pokazu co do minuty i powiedziała, że pora się ubrać.

– Nie, ty nie idziesz – zaproponował mężczyzna. – Zapomniałaś? Ja też chcę. – Zamachał przed nią kajdankami.

– Jasna sprawa. Tylko ją odprowadzę.

Rozmawiali tak, jakby mnie nie było.

– Piękny tatuaż! – On w końcu powiedział do mnie. – Przyfruń jeszcze do nas... ważko – rzucił, gdy już byliśmy w przedpokoju.

Zamknęłyśmy się w łazience. Majka śmiała się ze mnie, że byłam spięta, ale tym razem jej śmiech brzmiał serdecznie. Zapowiedziała, że da znać o kolejnym pokazie. Kiedy się zegnaliśmy, wyciągnęła w moją stronę kopertę. Nie chciałam przyjąć, więc wcisnęła mi ją do kieszeni. Zajrzałam do środka dopiero w akademiku i wyjęłam pięć stów. Za każdy kolejny pokaz dostawałam tyle samo. Nie dociekałam, czy to za dużo, czy za mało.

Ze sponsorem spotykali się od roku. Płacił jej tyle, że nie dorabiała u innych. Nie mam pojęcia, czym dokładnie się zajmował. Od Majki dowiedziałam się, że prowadził własną firmę w Warszawie i grał ze sporym powodzeniem na giełdzie. Dzięki temu rozkręcił filię przedsiębiorstwa w Łodzi. Szukał tu towarzystwa. A ona znalazła go na portalu \$ sponsora \$ szukam.

Nadałam mu przydomek „Louis Ghost”, od nazwy modelu przezroczyściego krzesła. Przewisko przypadło do gustu także nimfetcie.

– A jakie on ma upodobania seksualne?

– Tajemnica służbowa! – Zagrała na nosie.

Szkoda, bo chętnie oceniałabym, jak nasz Louis wypada na tle innych mężczyzn. Za to z Majką po raz pierwszy w życiu regularnie poznawałam kobiecą namiętność. Podarowała mi wiele pięknych obrazów. Nie tylko je oglądałam. Czułam je pod palcami,

a nawet wdzierałam się w ich głąb. Obawiałam się, że wszystko jest zbyt piękne, by potrwało dłużej. Na szczęście nie miałam racji. Najpierw widywałyśmy się u Louisa co tydzień, w piątki.

– Nie da się lepiej rozpocząć weekendu – mawiał.

Zgadzałam się z nim całkowicie.

Po miesiącu zaproponował, żebyśmy przychodziły również we wtorki.

Nigdy się nie spóźniłam, ale Majka nie zwracała uwagi na punktualność. Czekając, oglądaliśmy z szefem *Sensacje XX wieku*. Jej wciąż nie było, lecz nas nie opuszczał Wołoszański. Louis miał komplet odcinków na DVD. Młoda wpadała zazwyczaj w sam środek narady w hitlerowskim bunkrze. Tłumaczyła się, że miała zajęcia dodatkowe, i ciągnęła mnie do łazienki. Tam wyjmowała z plecaków nowe komplety bielizny. Za każdym razem wkładaliśmy na siebie identyczne. To był nasz rytuał.

– Specjalnie szukałam, żeby stanik był obszyty koronką, tak jak lubisz – paplała, gdy się przebierałyśmy. – Zapniesz mi? Dzięki. Niezły ten kolor szampana, co nie? Nowość. O, patrz, na majtkach są kokardki z cyrkoniami! Ekstra, co nie?

– Dawno nie miałam na sobie nic tak ładnego.

– Najładniejsza rzecz, jaką możesz mieć na sobie, to ja.

Nimfetka za nic miała skromność, ale za to także ją uwielbiałam.

Na pokazach coraz ufniej oddawałyśmy się w swoje ręce, spragnione namiętności jak nigdy. A może spragnione jej jak zawsze? Już nie przeszkadzał mi widz, przywykłam. Kiedy przesadzał i tą przesadą mnie dekoncentrował, wmawiałam sobie, że przed łóżkiem siedzi robot, którego jedyną funkcją jest masturbacja. Jeżeli nie poświęcałam mu uwagi, niezauważalnie wtapiał się w tło. Istniała wyłącznie Majka.

Zawijałyśmy się wokół siebie, podobne do węży. Wgryzałam się w skórę warg kochanki i kosztowałam soczysty miąższ pocałunku. Jeszcze bardziej rozsmakowałam się w jej delikatnych płatkach. Tak subtelnie się rozchylały, gdy wodziłam po nich językiem... Wabiły go dalej, głębiej, do środka. Szczerze? Nigdy

przedtem nie robiłam tego kobiecie, więc ciągle było mi mało. Uwielbiałam to pulsujące miejsce, pełne miłości. Czciałam dawczynię życia, modląc się do *joni* szczerze i gorąco. Dawno, dawno temu modliłam się tak do Madonny. Lecz te dwie modlitwy dzieliło naprawdę wiele.

Żeby zrozumieć jak wiele, trzeba powrócić do wydarzeń pomiędzy nimi.

Rozdział II

Bogini

Miałam jedenaście lat. Nie znałam ani słowa, ale melodia wpadła mi w ucho. Nuciałam pod nosem własną wersję pieśni. Głośno śpiewałam „lilijo” i „Maryjo”. Powtarzały się pod koniec każdej zwrotki, więc łatwo zapadały w pamięć. Śpiewom przewodziła babcia, donośnym głosem. Nawet moja despotyczna matka podporządkowała mu się bez zająknięcia. Jednak tego wieczoru wydawała mi się zupełnie inna. Czy dlatego że klęczała w łagodnym świetle świec? Ustawiliśmy je na stole, wokół obrazu. Paciorki różańca przesuwaliśmy między palcami.

Wypowiadanie wciąż tych samych modlitw wprowadziło mnie w dziwny stan. Już nie wiedziałam, co mówię, z kim, dlaczego, ale mówiłam, mówiłam, mówiłam. Nie swoim głosem, lecz głosami babci, matki, ciotek, kuzynek, sąsiadek. Zjednoczyła nas wspólna matka, nadmatka, bogini. W jej obecności przywołałyśmy kobiety, których nie było z nami od dawna. A nawet te, których nie pamiętała żadna z nas. Wyczułam ich obecność.

W modlitwie nie uczestniczyli mężczyźni. W mojej rodzinie nie przeżywali oni uniesień duchowych, wyłącznie alkoholowe. Tradycja przechodziła z ojca na syna. Przetrwała mimo ofiar śmiertelnych. Wisielcy i topielcy przerażali wyłącznie wtedy, gdy odnajdywano ich ciała. Taki widok najlepiej było zapić. Kobiety poddawały się alkoholowej dyktaturze – kochały, więc cierpiały. Zamiast zapewnień o miłości słyszały wyzwiska. Uściski? Jasne, aż do utraty tchu. Namiętność? „Kładź się!”, nieważne, czy chcesz, czy nie. „Jesteś żoną czy nie?”. Raz, dwa, raz, dwa i po wszystkim, rozporek zapięty. Niektóre z żon były znakomite w lekkoatletyce. Startowały nawet w biegach z przeszkodami. Ale kto nie jest zwinny, gdy w progu staje mąż z siekierą? Inne nauczyły się uchylać od ciosów z wprawą godną zawodowca na ringu. Najlepiej radziła sobie korpulentna babcia. Często wspominała, jak to

opasywała sznurem awanturującego się chłopca. Mocno zawiązywała supeł, otwierała klapę w podłodze i wrzucała „pakunek” – jak to określała – do piwnicy. Razem z dziećmi miała spokój na pół wieczoru i całą noc. Pokój duszy dziadka. Ciotki, niczym najlepsi fizycy, w sekundę obliczały szybkość lecących w ich stronę przedmiotów. Opowiadały o tym bez drżenia w głosie. Nie porównywały siniaków na ciałach ani na sercach. Ale posiniaczone serca pompowały strach. Wyływały tętnicami i powracały żyłami.

We mnie płynęła ta sama krew. Mój ojciec też był alkoholikiem, z najbliższych krewnych nie pił tylko brat. Najpierw był za mały, a gdy podrośł, nie chciał. Kobiety, zamiast jednoczyć się w walce z pijakami, jednoczyły się w modlitwie. Czciły boginię dającą im siłę, by przetrwać. Śpiewając dla niej, śpiewały dla siebie, od nowa nadając wartość zgnębianej kobiecości.

Obraz Czarnej Madonny krążył od domu do domu. Miał zostać w mieszkaniu babci przez noc, zanim będzie przekazany sąsiadom. Ubłagałam matkę, żebym również mogła przenocować na wsi. Zanim wyszła, udzieliła mi reprimendy. Ostrzegła, że mam zachowywać się odpowiednio, bo jak nie, to w domu mi dopiero pokaże. Odprowadziłam ją do furtki i śledziłam wzrokiem auto, dopóki nie znikło za zakrętem. Co za ulga! Stałam na palcach i wyciągnęłam się do góry. Zachwyciłam się niebem pełnym gwiazd. Wyobrażałam sobie, że je chwytam. Nie po to, by mieć je w garści, lecz by przebiły skórę i wpadły we mnie. Nappełniałam się coraz głębszym blaskiem, dorównując bogini! Ciekawe, czy między nogami też mam gwiazdkę? Nigdy tego nie sprawdzałam. Sprawdzić? Teraz, tutaj? Jest okazja, nikt się nie dowie!

Podwinęłam plisowaną spódniczkę, przeciągnęłam dłonią po rajstopach. Nie, nie zrobię tego. Albo zrobię. Ręka powędrowała pod rajstopy. Nie, nie mogę. A niby czemu nie? Niepotrzebnie się boję.

Kiedy dotknęłam jej po raz pierwszy, pomyślałam, że jest równie gładka i śliska co pończochy. Przez chwilę ją głaskałam, najpierw z obawą, później z przyjemnością. Przechodziły mnie

dreszcze, pewnie z podekscytowania zakazanym. Gdy się pieściłam, odkryłam najczulszy punkcik. To jest ta gwiazdka? Nabrzmiewał i wilgotniał. Ciepły wiatr przerzucił mi włosy na twarz. Potrząsnęłam głową – nie, niech mi nie przeszkadzają! Bujne, pociemniałe malwy wychylały się w moją stronę. Zacisnęłam powieki. Wsadziłam w siebie jeden palec, potem drugi. Gdy zadarłam brodę w górę i otworzyłam oczy, gwiazdy aż zawirowały. Szybko zamrugałam, ale migotały nadal. Miałam zawroty głowy, jakbym za moment miała zemdleć. Po moich udach płynęło coś mokrego. Dotknęłam tego i powąchałam palec. Wciągnęłam w nos słodki, duszący zapach. To ja tak pachnę? – zdziwiłam się. Czy czują to inne osoby? Czy poczuje babcia? Rany, jeśli moja tajemnica się wyda, a jeśli matka się dowie... Co ja mam zrobić? – dręczyłam się.

Zsunęłam do kostek rajstopy, bieliznę i uniosłam spódniczkę. Rozstawiłam szeroko nogi, żeby szybko wyschnąć. Wiatr tak przyjemnie mnie muskał, że odpłynęłam ponownie. Normalne dziewczynki na pewno tak nie mają, stwierdziłam, bo się tak nie zachowują! Doszłam do wniosku, że jestem nienormalna, ale ta nienormalność nie przeszkadzała. Była zbyt miła. Wymyśliłam, że jak wrócę do babci, szybko przemknę do łazienki, a stamtąd na kolację, i położę się do łóżka. Tak też zrobiłam. Babcia o nic nie pytała. Kuzynka nocowała u przyjaciółki, więc cały jej tapczan był dla mnie. Przed snem między moje nogi zaplątała się kołdra. Poruszałam się z nią, raz wolniej, raz szybciej. I znów kręciło mi się w głowie.

Obudziłam się promienna i poszłam do kuchni. Kuzynka już wróciła. Właśnie smarowała chałkę. Babcia wysłała nas do ogrodu, żebyśmy narwały owoców, które chciała utrzeć z cukrem.

– Ścigamy się, kto pierwszy! – zawołała kuzynka i mnie wyprzedziła.

Jej włosy rozwiały się, a plecy, pośladki, nogi rozmyły w kilka smug. Wciąż byłam dwa kroki za nią i nie mogłam nadążyć.

– Dobra, wygrałaś. – Poddałam się.

Napełniłyśmy miskę malinami aż po brzegi.

Kuzynka wyciągnęła do mnie dodatkową garść owoców sklejonych pod wpływem upału. Kazała mi jeść, zanim całkiem rozmiękną. Przybliżyłam usta do jej dłoni. Wargami chwytałam małe cząsteczki, a ona zlizywała sok ściekający w stronę łokcia. Mój język przysunął się bliżej jej języka i wspólnie zatamowały apetyczny strumień. Nagle ona podała mi rozchylone usta. Gdy je odsunęła, nasze policzki płonęły czerwienią. Chciałam sprawdzić, jak bardzo są gorące, ale cofnęłam dłoń w obawie, że mnie oparzą. A kuzynka jakby nigdy nic wspięła się po drabinie, by przyciągnąć gałąź czereśniowego drzewa. Jej łydki jak zwykle znaczyły ślady po komarach i pokrzywach. Uda też. Pieprzyki, rozsiane po całych nogach, wskazywały drogę do tego miejsca.

Wpatrywałam się w nie, dopóki nie zeszała.

– Fajne kolczyki? – zapytała, przykładając mi do ucha złączone ogonkami owoce.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, już kasała cienkie karminowe skórki. Odsłoniła złoty, pulchny miąższ nabrzmiały sokiem. Szybko wsunęła go do ust, jakby chciała ukryć tę nagość. W dłoni pozostały tylko ogonek i twarda pestka.

Wszystko, co robiła, było równie wdzięczne i zabawne. Splatała palce na furtce, stawiała na dolnej, wystającej części, a wtedy ją huśtałam. Później zmiana. Co za odlot! Mogłam biegać do upadłego i brudzić się, otrzepywać dłonie z piachu i zdrapywać strupy z kolan. Tutaj nie było matki, więc nikt nie zwracał uwagi na plamy na sukience i fryzurę w nieładzie. Zwykle niezbyt chętnie wracałam do domu, ale tym razem aż się popłakałam, gdy wieczorem zobaczyłam matkę przy furtce.

Myślała, że płaczę z radości.

W domu po cichu opowiedziałam o wszystkim mojej Barbie. Nie przyjaźniłam się z żadną dziewczynką, więc jedyną powierniczką moich sekretów stała się lalka. Matka drwiła, że chyba nigdy nie wyrosnę z tej zabawy. Barbie miała włosy w kolorze mlecznej czekolady, mojej ulubionej. Kiedy ją przebierałam, wyobrażałam sobie, że zdejmuję ubranie z żywej kobiety, której ciało lgnie do czułości i ugina się pod nią.

Zachwycałam się tymi wizjami, ponownie odczuwając specyficzne ciepło, lecz doznania z krótkiego pobytu u babci nie powtórzyły się nigdy.

Nigdy więcej nie zaznałam też podobnych porywów duchowych.

W kościele wisiała reprodukcja Czarnej Madonny, lecz ja miałam wrażenie, że ludzie klepią przed nią paciory jak leci. Jak najęci, na pokaz. Moja głowa pękała od zbiorowego zawrota głowy i woni kadzideł. Mój brat ministrant w każde wakacje jeździł na darmowe kolonie z Jezusem i szedł na pielgrzymkę. Bardziej niż wycieczek zazdrościłam mu tego, że może służyć Bogu tuż przy ołtarzu. W końcu jedynym powodem tego, czemu nie służyłam razem z nim, była moja płeć. Raziła mnie ta niesprawiedliwość, fakt, że kobiety nie mają szans zostać ministrantami, księżmi, biskupami, kardynałami, papieżami. Jako pokorne zakonnice nie dostają władzy.

Przestałam chodzić do kościoła. Po miesiącu matka zaprowadziła mnie na siłę. Kiedy próbowałam się wyrwać z jej szponów i uciec, wrzasnęła, że jeśli nie zbiorę stempelków (potwierdzały udział w mszy), będę miała pałę z religii.

– Zepsujesz nią całe świadectwo! – groziła.

Nie wiedziała jednak, że na każdej katechezie siedziałam ponura. Katechetka nie mogła się nadziwić. Kiedyś po lekcji wprost zapytała mnie, o co chodzi. Gdy powiedziałam, parsknęła nerwowym śmiechem, lecz opanowała się szybko i pouczyła mnie, że kobiety od zawsze okazują Bogu przywiązanie inaczej niż mężczyźni. Znałam tę dyplomatyczną, podręcznikową formułkę. Ma mnie za tępą krowę? Sama nią jest! Wytłumaczyłam jej więc, jak krowie na granicy, że Chrystus, owszem, wybrał na apostołów mężczyzn, ale przyjaźnił się również z kobietami. Uczynił je nawet pierwszymi świadkami Zmartwychwstania. Choćby i z tego powodu powinny sprawować w kościele władzę identyczną jak płeć przeciwna.

– W pierwszych gminach chrześcijańskich ją miały – zgodziła się katechetka. – Nic jednak nie poradzimy, że to się

zmieniło.

– Nie! Musimy coś poradzić! – przekonywałam ją z zapałem. Z zacięciem, idealizmem i naiwnością dziecka.

– Ja nie czuję takiej potrzeby.

A ja poczułam, że się nie dogadamy. Więc wyszłam.

W gimnazjum wciąż musiałam uczestniczyć zarówno w katechezie, jak i w niedzielnej mszy, choć przeklinałam obie. Moja matka nie przeżyłaby, gdybym nie przystąpiła do bierzmowania. Potem w kościele pojawiałam się już tylko wtedy, gdy nie miałam wyjścia. W liceum rok szkolny witałam i żegnałam przed ołtarzem w ramach zajęć, wraz z innymi uczniami ziewając i co rusz sprawdzając godzinę (oczywiście gdy proboszcz i dyrektor nie patrzyli w naszą stronę). Szkolne konkursy literackie i plastyczne organizowano na jedno kopyto, wokół tematów świętych albo co najmniej błogosławionych.

Każdy szanujący się parafianin i każda szanująca się parafianka zrzucali się na nieustanne remonty świątyni. Ta rosła w chwałę, a z ambony coraz dalej niósł się donośny głos potępiający wszelką inność. W miejscowej gazecie nie brakowało pochwał pod adresem proboszcza i wiadomości o pokryciu plebanii nowymi dachówkami. Nie większą sensacją było poświęcenie supermarketu. „Oto jest dzień, który dał nam Pan!”^[2]. Dla każdego, kto zrobi zakupy za 50 złotych, szampan gratis! Ku chwale Pana!

Całej tej katolickiej obłudy, minionej i współczesnej, nie dawało się znieść. Kazania proboszcza tylko potęgowały moją niechęć. Próbował w nich wytyczać drogi myślenia o małym świecie miasteczka, wielkim świecie polityki i wszechświecie seksu, górującym nad tamtymi i na nie wpływającym. W uaktualnionej wersji Apokalipsy ludowi bożemu nie groziła wojna, zaraza, głód i śmierć. Ich miejsca zajęły antykoncepcja, aborcja, homoseksualizm. A że dopiero zaczynała się pierwsza dekada XXI wieku, więc czwarty jeździec – gender – nie był powszechnie znany.

Taka była atmosfera mojego dorastania, nie zastanawiałam się zatem, czemu fascynuje mnie kobiecość. A właściwie

fascynowała, czyli było, minęło. Wyrosłam z zabawy lalkami. Dzieci wyobrażają sobie różne rzeczy. Dawne uczucia zasnęły w kącie na strychu. Cicho, sza, myszy.

Po maturze tylko raz przestąpiłam próg kościoła. Matka przepowiadała, że skończę w piekle, ale – jak wiadomo – tam jest cieplej niż w niebie i o ileż ciekawsze towarzystwo! Kiedy wyzywała mnie od diabolic, przyznawałam jej rację. Nie nadawałam się na odcieleśnioną anielicę. Mimo to czuję żal do kościoła, szkoły, rodziny i nie wiem do kogo jeszcze, że weszłam w seks z mężczyznami, nie mając pojęcia, czym on właściwie jest. Nie rozbierałam, tylko byłam rozbierana, podobnie jak Barbie. Dobrze, że nie zdołano mi nic urwać.

Chłopak przez chwilę wykręcał mi piersi jak kurki od kranu, bez wyczucia, nie zważając na moją reakcję. Na nic. Wsuwał we mnie zimną dłoń i wpychał ją głęboko, jakby badając, jak daleko może się posunąć. Jestem mokra czy nie? Nie? No więc jeszcze trochę – powysuwać, powysuwać. Moja bierność była godna pożałowania i czyniła mnie podobną do lalki.

Podczas męczenia w pozycji misjonarskiej nie poruszałam się, zażenowana.

Odkąd dojrzałam, moje ciało nie było w pełni moje. Zabrały mi je zakazy i wstyd. Po pierwszym razie zmieniło się niewiele – po prostu rozszerz uda, no, dalej. A co między udami? Zdaniem pierwszych kochanków miałam zbyt ciasną pochwę. Skrępowana, że jestem nie taka, pozwalałam na cudzą brutalność. Partnerzy wciskali się we mnie z całej siły. Dalej, no, dalej! Trwała wytrzymała, systematyczna walka penisa z cipką, natarcie i wycofanie. I jeszcze raz, i silniejsze natarcie. O, bardzo dobrze! Tętno i ruchy przyspieszają. Udało się! Brali swoje i wychodzili. A ja? Nie byłam sobą. Po prostu przystosowałam się do takich stosunków. Z czasem przestały boleć, ale seks nadal nie wyzwał żadnych wspaniałych doznań. Czysta mechanika.

Mężczyźni byli w nie lepszej sytuacji, tyle że wtedy się nimi nie przejmowałam. Nie rozumiałam ich i nawet nie próbowałam zrozumieć.

Tworzyliśmy marne namiastki bliskości. Pieszczotliwe dotykanie policzkiem policzka? Zaciąganie się zapachem drugiego ciała? To się nam nie zdarzało. Takich przyjemności zaznałam dopiero z doświadczonym kochankiem.

Wpadliśmy na siebie przypadkiem, na urodzinach dziewczyny z mojej klasy. Nie miałam żadnego pomysłu na prezent. Znałyśmy się tyle o ile, jak to w szkole – wspólne cierpienia na nudnych czy stresujących lekcjach, urywane rozmowy na przerwach i w kolejce do toalety. Zaprosiła mnie pewnie dlatego, że zaprosiła wszystkich.

U mnie obojgu rodzicom wypadła wolna sobota, co oznaczało perspektywę licznych śpięć. Wiedziałam, że najpóźniej wieczorem przez dom przejdzie burza z piorunami, i chciałam się przed nią uchronić. Zanim wyszłam, wyciągnęłam jeszcze od ojca pieniądze na szampana. Kto jak kto, ale on doskonale rozumiał konieczność tego wydatku.

Domówka miała chyba przypominać te z filmów o uczniach z amerykańskich college'ów. Dziewczyny bujały tyłkami, napaleni chłopcy oblewali się dla ochłody strugami alkoholu, nieprzyzwoite tańce przypominały grę wstępną. Pary obściskowały się po kątach. Wszystko w prząsnej wersji z najtańszym winem i najtańszą wódką. Jednak najbardziej amerykańskie były chipsy Lay's i piosenki Britney Spears, puszczone na okrągło. Po godzinie myślałam, że zwariuję. Chodziłam z kąta w kąt. Ale jeden mężczyzna, odkąd przestąpiłam próg, nie odrywał ode mnie wzroku. Miał niemal czarne oczy. Od czasu do czasu przesuwiał dłońią po równie ciemnych włosach. Na początku sądziłam, że coś jest ze mną nie tak, że na przykład rozmazał mi się makijaż i przypominam zombi. Albo że włożyłam bluzkę na lewą stronę. Spędziłam dobry kwadrans w łazience, obracając się przed lustrem niczym figurka w pozytywce. Wszystko wydawało się w porządku.

Przyszło mi na myśl, że przyciągam jego spojrzenie, dlatego że czujemy się równie nieswojo.

Kiedy wróciłam, podszedł do mnie. Przedstawił się jako brat solenizantki. Dobrze, że złożyłam jej życzenia zaraz po przyjściu!

Bo później nie zamieniłam ani słowa z nikim innym oprócz niego. Pochlebiało mi, że zwrócił na mnie uwagę – taki przystojny, ciekawy moich opinii. Nie wiem, jakim cudem się dogadywaliśmy i wtedy, i później. Czy ktokolwiek różnił się ode mnie bardziej niż inżynier żyjący w świecie szkiełka i oka, starszy o dziesięć lat, obracający się w zupełnie innym towarzystwie? Przypominaliśmy bohaterów kioskowego romansu – na okładce Harlequina kobieta omdlewa w ramionach ukochanego, jednocześnie obdarowując go szerokim uśmiechem. Ona żyje w chmurach, on mocno stąpa po ziemi. Dwa przeciwieństwa, ale jak działające na siebie, wbrew wszystkiemu i wszystkim! Nie sądziłam, że takie historie zdarzają się naprawdę, i byłam podekscytowana, że jedna z nich właśnie przydarza się mnie. Dawni szkolni amanci albo darli się z balkonu, albo z niego wymiotowali. Przy nim jeszcze bardziej stracili w moich oczach. Czy jeden z drugim wpadliby na pomysł, żeby zapytać, o czym marzę? A on z uwagą słuchał o moich pasjach i planach. Poprosił o pomoc w wyborze obrazu do mieszkania; ucieszyłam się, że mnie docenił. Wyfiokowane pindy plątały się w pobliżu, ale nie oglądał się za nimi. Towarzyszył mi aż do końca imprezy i odwiózł do domu.

Mijaliśmy moich kolegów. Reflektory dawały im po oczach. Zataczali się po drodze, od czasu do czasu wpadając do rowów. Koleżanki ledwo, ledwo podtrzymywały się nawzajem, by nie skończyć w rowach razem z tamtymi. Co za żenada! Patrzyłam na nich z wyższością i niechęcią, poważniejsza i bardziej poukładana.

Na studiach się to zmieniło. Wciągnął mnie wir o wiele bardziej szalonych imprez.

Początkowo ukrywałam przed nowym znajomym, że popadam w obłąd na jego punkcie. Nie miałam pojęcia, czy jest dla mnie po prostu miły, czy ma partnerkę. A jeżeli potrzebuje skoku w bok z małolată, dla urozmaicenia życia i pożycia? Nie zamierzałam niczego mu urozmaicać ani wcinać się w jego sprawy.

W kolejny weekend pojechaliśmy jego samochodem do galerii obrazów, którą poleciła mi nauczycielka plastyki z

gimnazjum. Chciał kupić beznadziejną reprodukcję van Gogha. Na cholerę mu milionowa kopia przywiedłych słoneczników? Wybijałam mu z głowy ten zamiar, ale za pomocą bardzo eleganckich argumentów. Tłumaczyłam, że lepiej będzie, gdy zainwestuje w oryginalne dzieło młodego artysty. W ten sposób wesprze malarza, a inwestycja opłaci się, gdy stanie się on bardziej znany. Ta przesłanka okazała się decydująca – w końcu dał się namówić na płótno z przenikającymi się okręgami, utrzymanymi w ciepłych żółciach, pomarańczach i czerwieniach. Kolory jak w *Słonecznikach*, a o ileż nowocześniejszy efekt!

Wziął obraz zapewne ze względu na mój upór, przyznając po zakupach, że przy mnie nie potrafi się skupić na niczym. Według niego byłam delikatna, a zarazem kusząca. Onieśmieliły mnie komplementy. Zapytał, czy nie mam ochoty jeszcze wyskoczyć na drinka. Odmówiłam z premedytacją – z jednej strony, by się opanować, a z drugiej podsycić jego zaangażowanie.

Udało się, bo nadal mnie podrywał; teraz miałam mu doradzić, gdzie powiesić obraz. Rozbawiła mnie ta strategia. Zastanawiałam się, co się wydarzy i jak daleko on się posunie. Przyznał, że mieszka sam, bo niedawno rozstał się z długoletnią partnerką. Urządzał ich mieszkanie od nowa, po swojemu. Czyli – nie jest zajęty. Pewnie próbuje o niej zapomnieć. Dlaczego mam mu nie pomóc? Obiecał, że wybierzemy się do kina, następnie do niego i że odstawi mnie do domu. Wszystko zaplanował dokładnie. Ja mniej, choć uprzedziłam matkę, że wrócę późno. Wystroiłam się, łąsa na komplementy, a ona skomentowała mój wygląd w swoim stylu: że pewnie idę się puszczać i że ostatnio nie zajmuję się niczym innym.

Machnęłam ręką. Nie chciałam psuć sobie humoru awanturą.

Zabrał mnie na *O północy w Paryżu*. Trafił idealnie, bo w filmie przewijali się moi ulubieni malarze. Po seansie entuzjastycznie opowiadałam o ich twórczości. Zbliżał się wieczór. Niebo przypominało bladego fiołka o różowo-fioletowych płatkach. Stopniowo nasycalo się mocniejszymi kolorami. Zagadywałam i rozbrajałam śmiechem narastający stres. Byłam

jednocześnie i katarynką, i małpką podskakującą w rytm muzyki, prezentującą sztuczki, strojącą miny. Staralam się go zabawić za wszelką cenę. Ale nie słuchał mnie uważnie, błędził myślami. Do tego się uśmiechał. Domyślałam się czemu. Instykt w tych sprawach nie zawodził mnie nigdy.

Gdy potknęłam się na schodach, przytrzymał mnie stanowczo zbyt długo. Oblalam się rumieńcem i wywinęłam z jego rąk. Zgrywałam się przed nim i sama przed sobą z niezdarnym wdziękiem. Czarny kot obwąchał moją torbę i gdzieś pierzchnął.

Przestronny dom wydał mi się opustoszały. Czyżby dlatego, że wiedziałam, kto z niego odszedł? Świeżo odmalowany, pachniał jeszcze farbą i lśnił nowością. Na siłę pozbawiony wspomnień. Nie było w nim obrazów, fotografii, durnostojek, żadnych pamiątek. Oprowadzana po parterze zauważyłam, że meble zostały ustawione w takim samym perfekcyjnym porządku jak na ilustracji w „M jak mieszkanie”. Na stronie magazynu widniał zapewne nagłówek: „Prostota, geometria, minimalizm”. Wszystko starannie odmierzone. Przesunięcie któregokolwiek krzesła o centymetr w prawo albo w lewo popsułoby wrażenie harmonii. I – nie daj Boże! – jeszcze porysowałoby się płytki podłogowe. Skandal! Bo na żadnej nie było rysy. Z żadnej ściany nie odpryskiwała farba. Obicia nigdzie się nie przecierały, nie płowiały. Nic nie miało prawa się zniszczyć czy popsuć. Nikt nie sięgał po czasopisma na stoliku. A jeżeli już, to zaraz je odkładał. I to w taki sposób, żeby żaden róg nie wystawał poza równy szereg. Ten dom zdawał się żyć sam dla siebie, nie dla lokatora. Sam sobie był właścicielem.

Buntował się przeciw temu wyłącznie kot. Zostawiał gdzieś tam sierść, rozrzucał po szachownicy kafelków pluszowe białe myszki z oczami przypominającymi koraliki jarzębiny.

Jego współnikiem w wywrotowej działalności stał się obraz, który wybrałam. Nie dość, że niesamowicie pstrokaty w porównaniu z wszechobecnymi beżami i brązami, to jeszcze pełen obłych kształtów. Rzucały wyzwanie ostrym krawędziom stołu, krzesel, półek. Uzgodniliśmy, że najpiękniej będzie prezentował się w korytarzu, naprzeciwko wielkiego lustra. I to by było na tyle.

Oczywiście, że nie.

Serce uderzało mi coraz szybciej. W salonie wcisnęłam się w oparcie kanapy. A on nawet nie zapytał, czy zagotować wodę na herbatę. Od razu rozlał gęste wino do dwóch wysokich pękatych kieliszków; podał mi jeden, jakby przypadkiem przesuwając palcami po moich palcach. Już pierwsze łyki sprawiły, że przestałam się spinać. Wino było wyborne. Nie żaden sikacz z najniższej półki w najpodlejszym monopolowym, jaki stawiali mi koledzy. Piło się go szybko i dużo, by czuć miłe rozluźnienie, ale nie ohydny posmak. Nawet nie chciałam się zastanawiać, co przypomina. A w tym trunku zanurzałam usta powoli.

Mężczyzna smakował tak samo. Wiśniami w likierze, kawą i korzennymi przyprawami.

Nasz pocałunek zaczął się delikatnie. Dopiero później jego wargi stały się zachłanne, jakby bały się, że mnie dla nich zabraknie. Jego palce w moich włosach; nie mogłam się już odsunąć. Sącyliśmy swoje esencje, a on odpinał guziki bluzki, jeden po drugim. Rozchylił ją i wysunął moje ręce z rękawów. Wtedy jeszcze zachowywałam się wstydliwie – spuściłam wzrok, poprosiłam, by zgasił światło.

Ciemność ubiera nas w tajemnice. Łaskawie przykrywa kompleksy i rany.

Poczułam się pewniej, kiedy osłoniła i moje nagie ciało. On nie przestawał mnie rozbierać, a moje podniecenie mieszało się z niepokojem. Odgarnął mi włosy do tyłu; nie chroniły już przed jego pożądliwym dotykiem. Piersi gładził okrężnymi ruchami. Zataczał po nich coraz ciaśniejsze kręgi, a później brał brodawki do ust, to jedną, to drugą. Nikt dotąd nie zajmował się nimi z podobną wprawą. Pieścił mnie przez bieliznę, czując, jak wilgotnieję. I podobało mu się to. Żaden jego gest nie był nieporadny. A ja nie miałam odwagi, by ściągnąć z niego ubranie. Czekałam, aż zrobi to sam.

Później ulegałam każdemu ruchowi jego ciała. Z przyjemnością poddawałam się zdecydowaniu i sile. Wsłuchiwałam się w miarowy oddech partnera i starałam się

oddychać w podobnym rytmie. Skoro stanowimy jedność...?

Od owej przełomowej randki moje życie zostało zorganizowane według życia nowego kochanka – tego, kiedy wychodził z pracy i mógł do mnie zadzwonić, którą sobotę miał wolną. Wtedy po południu umawialiśmy się na dworcu. Niby nie wyruszaliśmy w żadną podróż, lecz prosto do jego mieszkania, a jednak przenosiłam się na inną planetę. Nie było tam denerwującej szkoły, nie mieszkali na niej moi przerażający rodzice. Jej jedyny mieszkanić nigdy nie miał do mnie żadnych pretensji. Wciąż mnie adorował. Od nikogo nie dostałam tylu bukietów. W aucie włączał płytę ze składanką Madonny, którą uwielbialiśmy oboje. *When you call my name it's like a little prayer/I'm down on my knees/I wanna take you there/In the midnight hour/I can feel your power/Just like a prayer you know/I'll take you there*^[3], śpiewałam. Wiatr wlatywał przez otwarte okno. Mocno wciągałam powietrze do płuc. Wpadłam w świat partnera bez uprzedzeń i stereotypów, a on kierował mnie dalej. I naprzód. Nie zwierzałyśmy się sobie z bezgraniczną szczerością, ale wciąż ciekawiło nas, co zajmuje, inspiruje i napędza drugie. Podobało mi się, że mój kochanek jest pogodzony ze światem, że pragnie żyć pełnią. Zawsze miał własne zdanie. Ceniłam jego mądrość życiową i inteligencję. Poszerzał moje spojrzenie na politykę i społeczeństwo, ja wtajemniczałam go w tematy związane z kulturą. Wzbogacaliśmy się wzajemnie, budując jednocześnie wspólnotę z odrębności.

W łóżku wciąż bywałam spięta i skrępowana. Ale kręciłam go właśnie dlatego, że zachowałam tę niewinność. Zgadzałam się na każdy pomysł, licząc, że w końcu nabiorę większego doświadczenia i śmiałości. I rzeczywiście, przy nim pokonywałam lęki. Potrafił rozładować żartami moją tremę. Jeżeli na opuszkach ludzkich palców znajduje się dusza, on miał duszę czułą. Wrażliwą na każde drgnienie ciała, które gładziły palce. Poprzez skórę ta dusza przenikała do mojego wnętrza. Pragnęłam stać się jej pełna. Czułam również dotyk bawełnianego zmiętego prześcieradła i chłodnej satynowej pościeli. Łaskotały mnie moje włosy, opadające to na ramiona, to na plecy, to na piersi. A gdyby leżała

na mnie kobieta? Czy byłaby jak bawełna, czy jak satyna? Związywałyby te niesforne kosmyki w koński ogon? – zastanawiałam się. Jednak tylko przez chwilę, bo on brał mnie już w swoje władanie, a ja miałam go w sobie. I zapadałam się, sama nie wiedząc gdzie.

Uczył mnie, co sprawia mu przyjemność. Cieszyłam się, gdy przenikała go rozkosz. Pragnęłam dawać jej jak najwięcej. Z tym że nie pożałowałam jego ciała. Moje podobało mi się bardziej. Jasne, gładkie, o łagodniejszych liniach, zgrabniejszych kształtach i płynnych ruchach. Męskie ciało jest kanciaste, nie ma w nim takiej gracji. A ja byłam wielbicieleką tego, co miękkie i krągłe, a nie umięśnione i twarde.

Uznałam, że moje zapatrzenie w kobiety wynika z tego, że pragnę wzorować się na tych najbardziej seksownych. Przejąć część ich mocy, odkryć podobną w sobie. Zaczęłam nosić wyuzdaną bieliznę i pończochy. Mój kochanek był pod wrażeniem przemiany i dopingował mnie do eksperymentów, pozwoliłam sobie zatem na więcej namiętności i ekspresji. Wtedy potrzebowałam starszego mężczyzny, żeby się rozwijać, zmieniać wcielenia, testować siebie w nich. On z kolei potrzebował młodszej kobiety, by pielęgnować jej rozkwitającą seksualność i zachwycać się nią. Odstawiałam przed nim istną burleskę. Urządzałam starannie przygotowane striptizy. Nie bałam się już odsłaniać siebie i swoich pragnień, na co, nawiasem mówiąc, nalegał. Z nim pierwszym poznałam orgazm.

Przed zaśnięciem wtulałam się w niego, na nowo łagodna. W jego ramionach nic mi nie groziło.

Lecz nie polubiłam jego domu. Miałam wrażenie, że tamta kobieta nie odeszła na dobre. Jej obecność czaiła się w zakamarkach, błyskając zerwanym łańcuszkiem leżącym pod komodą. Struchlałam, gdy w łazience zobaczyłam grzebień z zamotanymi jasnymi włosami. Czasem wydawało mi się, że na parapecie w sypialni stoi szminka, wciąż otwarta. Jakby czekała, że ona pomaluje usta, zamknie ją i schowa do torebki. Wąchałam pościel, sprawdzając, czy zachowała zapach tej, która spała pod nią

poprzednio.

Zwykle pachniała pomarańczami, które on lubił jeść przed snem.

Całą tę przestrzeń najbardziej obłaskawiał kot. Nad ranem zwijał się w kłębek obok mnie. Rozbrajającym gestem kładł aksamitną łapkę na moim policzku. Przyzwyczailiśmy się do siebie. Najpierw tylko mnie obserwował, przebywał w pobliżu, towarzyszył. Z bezszelestną obecnością, z ciekawością, ale nienachalną. Skradał się, elegancki i pełen wdzięku. Lubiałam, gdy zatrzymywał się i pozwalał drapać się za uchem. Przesuwałam dłońią po jego błyszczącym grzbiecie, a on mruczał cicho. Nigdy nie zabiegałam o jego względy, nie napraszałam się i nie nadużywałam kociej cierpliwości. I dostałam nagrodę – jego miłość. Gdy wstawał z łóżka, obserwowałam, jak udeptuje kołdrę ciepłymi łapkami. Razem szliśmy do kuchni. On zręcznie wskakiwał na blat. Odwracał ku mnie głowę. Spoglądałam w oczy koloru cytryny i wrzucałam po plasterku owocu do dwóch herbat. Kiedy siadałam przy stole, nagle okazywało się, że kot jest tuż pod moją ręką. Wyciągał łepkę i czekał. Ocierał się o moje łydki. Przy wspólnym śniadaniu oboje łasiliśmy się do mężczyzny. A gdy kot odchodził, rozbudzaliśmy się z jego właścicielem wzajemnie.

Ubierałam się w obecności kochanka. Już w bieliźnie stawiałam nogę na krześle i seksownym ruchem naciągałam pończochy. Uwielbiałam być absolutnie kobieca. Kobiecość kojarzyła mi się przede wszystkim ze zdolnością do kochania. Dalej ze zmysłowością, magnetyzmem i poszanowaniem drugiego człowieka. Ją i męskość traktowałam jak dary, które należy przyjąć z wdzięcznością. Czerpać z nich moc dla siebie i ofiarowywać ją innym.

Postrzegałam je w ten sposób dzięki niemu.

Przed jego poznaniem często śniła mi się ponura dziewczyna. Przez pobladłą skórę prześwitywały popękane naczynka. Dłonie całe w rozdrapanych strupach, na których zastygła świeża krew. Pochylała się nade mną. „Ja też chcę umrzeć”, szeptała. Odrzucała włosy podobnym ruchem jak ja, lekko przechylając głowę do tyłu i

eksponując naprężoną szyję pokrytą siniakami. Teraz znikła. A ja nabrałam nie tylko wiary w siebie, ale też w szczęśliwą przyszłość. I uważałam, że zmiana jest głównie zasługą mojego mężczyzny. Kiedy zapytał mnie o blizny, powiedziałam, że są nieważne, bo już nigdy więcej nie zrobię sobie krzywdy. Opatrzył moje rany uczuciem – i te, które zadali mi ludzie, i te, które zadałam sobie sama. Wydawało mi się, że zaakceptował nas obie – tę nieokielznaną i tę pełną strachu. Byłam pewna, że dopóki jest ze mną, zwyciężają pozytywne emocje. Naiwnie wierzyłam, że nasz romans przerodzi się w związek, który będzie trwał i trwał. Najlepiej do końca świata i jeden dzień dłużej.

Na początku to on nalegał na spotkania, lecz po pewnym czasie role się odwróciły. Wystarczało, że nie widzieliśmy się przez tydzień, bo akurat był w delegacji, a miałam wrażenie, że minął rok. Bałam się, że o sobie zapomnimy. Rozmyślałam, czy nie będziemy musieli oswajać się od nowa. Martwiłam się, jak to będzie. Uda się? A jeśli on poznał kogoś w tej delegacji? Znudziłam mu się? Zdobył mnie i moje ciało, zrobił z nim to, czego najbardziej pragnął. I już. I wystarczy. Mogłam równie dobrze być dla niego ukochaną, jak i pierwszą lepszą panią. Czekałam na jego znak, nie potrafiąc zająć się niczym innym. Czy na pewno się spotkamy w ten weekend, czy tylko to sobie wymyśliłam, z beznadziei i samotności? Naprawdę się sobie przydarzyliśmy?

Nie wiedziałam, skąd brać pewność, gdy wszystko stawało się niepewnością. Nie spałam po nocach.

Bez niego stawałam się zimna i bezcielesna. Dopiero gdy mnie dotykał, ożywałam od nowa. W jego obecności od razu się rozpogadzałam.

– Nie zabieraj mi tego szczęścia, proszę – zaklinałam.

Niczego nie deklarował, ja też nie. Trochę rzadziej pisał i dzwonił. Obawiałam się, że poskładał elementy układanki. Domyśla się, że się zakochałam, i chce to ostudzić. Kiedy napomknął, że kobiety mają problem z oddzielaniem miłości od seksu, zamarłam. Niestety, nie potrafiłam wygasic emocji.

Łudziłam się, że on tylko tak gada. Przecież czasami ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie, bez zastanowienia, prawda?

Niedługo później, gdy do niego zatelefonowałam, odpowiedziała mi poczta głosowa. Dotąd wyłączał komórkę tylko w mojej obecności. Czemu zrobił tak tym razem? Beze mnie? Kto u niego jest? Gdybym była lepsza, wciąż zajmowałabym jego uwagę. Widocznie źle to rozegrałam, wyrzucałam sobie.

Karty wysliznęły mi się z rąk. Wpadłam w histerię. Zadzwoiłam kolejnego dnia, wcześniej rano. Przed jego wyjściem do pracy.

– Możemy spotkać się i porozmawiać? – zapytałam.

– Dziś jestem zajęty.

– A jutro?

– Mam spotkanie służbowe.

– Tak? Do tej pory zwykle miałeś czas... – nie dowierzałam.

– Możemy zobaczyć się w przyszłym tygodniu – powiedział wyniośle, jakby robił mi łaskę.

– Ale to jest dla mnie ważne już teraz! – krzyknęłam i rozłączyłam się zaraz potem.

Byłam zła, że wybuchłam, wyrzucałam sobie, że weźmie mnie za złośnicę. A wtedy na pewno nie zechce się ze mną widywać. Nienawidziłam i siebie, i tego, że stworzyłam jakiegokolwiek „my”. Po co dzwoniłam? Po co kochałam tak prędko i tak mocno?

Znacznie lepiej radziłam sobie z jego kotem.

Wreszcie się zobaczyliśmy. Wtedy, gdy odpowiadało to jemu.

Spodziewałam się, że nie usłyszę dobrych wieści, i nie pomyliłam się. Zapytałam, co zrobiłam nie tak. Odparł, że nie chodzi o mnie, lecz o niego. Nie jest gotowy, by wejść w nowy związek, więc nie chce mnie wykorzystywać. Dziś uważam, że postąpił uczciwie i szczerze, ale wtedy byłam zdruzgotana. Przetykając łyzy, spytałam, czy wszystko, co wydarzyło się między nami, jest już dla niego nieważne. Zaprzeczył, lecz dodał, że nie chce tego wszystkiego kontynuować.

Przylgnęłam do niego jak zrozpaczona dziewczynka,

szukająca pocieszenia w ukochanych ramionach. Kot siedział w progu, nieruchomy, i patrzył w przestrzeń. A może w głąb samego siebie? Nawet nie podszedł, gdy wychodziłam. Nie pamiętam, kiedy wyszłam ani co mój ukochany powiedział na pożegnanie. W domu w mojej głowie krążyły inne, cieplejsze słowa. Mieszały się z obrazami, fotografiami wspólnych chwil. Ujęcie pierwsze: głowa na kolanach. Ujęcie drugie: szerokie dłonie na wystających łopatkach. Ujęcie trzecie: całuję go w kark. Czwarte: opadają ramiączka sukienki. Te zdjęcia narodziły się w moim ciele i w nim pozostały. Zostały starannie wykadrowane, odcięte od tego, co poza nimi. Tkwiły w mojej głowie przez kolejne dni i tygodnie. Było ich wiele, a gdy je przeglądałam, w uszach huczały mi echa naszych głosów, śpiewu i śmiechu. Nie potrafiłam rozróżnić. W końcu plik fotografii się rozsypał. Porwał je wiatr.

Nadal tęskniłam, zastanawiając się, czy brakuje mi partnera, czy spędzonego z nim magicznego czasu. Dopiero po rozstaniu dotarło do mnie, że on nie zabierał mnie na żadne imprezy, nie przedstawiał znajomym. Od początku byłam dla niego wyłącznie przygodą. Seks okazał się bliskością pozorną; nie zbudował między nami więzi. Może to wszystko zdarzyło się, bo chciałam być chciana? Moja wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach, dopowiadając to, co niedopowiedziane. A teraz nie miał mnie kto chcieć.

Dla nikogo nie byłam już boginią. Moja świątynia opustoszała. Pozostał w niej wyłącznie spokój, nie święty, lecz okrutny. Mój wyznawca – a może bóg? – pozbawił mnie siebie, nie zdając sobie sprawy, jak wiele mi zabiera. Nie mogłam się ruszyć, jakbym nie oddychała, nie żyła, tylko była oczami nieruchomo wpatrzonymi w ścianę. Moje palce splatały się jedynie z palcami cienia. On, niczym niewypełniony (żadnego mięsa, krwi i kości), stanowił istnienie sam w sobie.

Kiedy się cięłam w łazience, przypomniało mi się babcine polowanie na kurę na niedzielny obiad. Na oczach reszty ptactwa odbywała się bezwzględna łapanka – na kogo wypadnie, na tego bęc. Będzie dziś bez łba. Zostanie po nim tylko krew na siekierze i

plama na pieńku w oborze. Inne kury przyglądały się morderstwu. A później zgodnie rozdziobywały flaki tej, z którą niedawno dziobały ziarno. Zaś koty wylizywały futerka, czekając na swoją porcję.

Mojej własnej jatce towarzyszyła podobna aura – bestialstwa pomieszanego z obojętnością. Uznałam, że wszystko, co zawiązuje się między mną a drogim mi człowiekiem, najwidoczniej musi umrzeć.

I obiecałam sobie, że już nigdy więcej sprawy nie wymkną mi się spod kontroli.

Rozdział III

Nimfomanka?

Przez połowę studiów każdą imprezę kończyłam w innym łóżku.

Maraton upojnych nocy wystartował po przeprowadzce do akademika. Zachłysnęłam się wolnością i możliwościami w dużym mieście. Nie ja pierwsza i nie ostatnia. Wszystko zaczęło się bardzo banalnie – dziewczyny mieszkające na tym samym piętrze wybierały się w sobotę na clubbing. Wpadły do nas i zapytały, czy też mamy ochotę. Kate za nic nie chciała zmyć drogiej maseczki, którą właśnie nałożyła, ale ja dałam się namówić. Miałam dość pogrążania się w rozpacz. Dotarło do mnie, że jedne osoby bywają zbyt uczuciowe, a inne nie potrafią okazać serca. Pierwsze tylko dają, drugie tylko biorą, według własnych pragnień i potrzeb. Kiedy te dwa typy spotykają się ze sobą, często wybucha jakaś miłość, jakiś kataklizm. Przecież nieszczęścia chodzą parami. Uznałam, że nie dam się na to nabrać po raz kolejny, tylko będę brać z życia, ile się da. Jednak, nie licząc studentów z roku i sąsiadów z akademika, nie poznałam nikogo. A na czterdziestu studentów historii sztuki mężczyznami okazało się zaledwie pięciu, w tym trzech homoseksualistów i dwóch bufonów. W akademiku długo nikt nie wpadł mi w oko, a gdy już, szybko wychodziło, że jest kompletnie niedojrzały. Potrzebuje mamusi, która nakarmi, napoi, zabawi i utuli do snu.

Nie zamierzałam użerać się z bachorem, ani tym bardziej siedzieć jak mysz pod miotłą.

Na poszukiwania ciekawych mężczyzn i doznań nie mogła udać się mysz, poszłam więc na całość i zrobiłam się na kocięcę. Z pomocą Kate wcisnęłam się w najmniejszą z małych czarnych, nowy nabytek mojej współlokatorki. Uwolniłam spięte włosy spod klamry. Natapirowałam je i uczesałam w stylu Amy Winehouse. Mocno umalowałam oczy, by ukryć opuchliznę od płaczu. Pociągnęłam usta krwistą pomadką.

Zeszłam do holu w najwyższych szpilkach, jakie miałam. Moja matka skomentowałaby zapewne, że mam gniazdo na głowie, wymazaną mordę i kieckę, która ledwie zakrywa tyłek. Spuentowałaby, że niewiele mi potrzeba do szczęścia. Rzeczywiście, niewiele. Ale dawno nie byłam tak podekscytowana jak wówczas, gdy czekałam na sąsiadki.

Przeszły obok, nie zatrzymując się; musiałam je zawołać. Nie poznały mnie. Ja też nie poznawałam samej siebie. Gdyby zobaczył mnie mój eks, pewnie błagałby na kolanach, żebym pozwoliła mu wrócić.

Dziewczyny pomknęły z powrotem do pokojów, żeby ubrać się równie seksownie.

W nowych wcieleniach udałyśmy się do klubu, który wybrały. Po drodze na nasz widok kilka razy gwizdano przeciągle. Przypomniało mi się, że o tej porze ulice mojego rodzinnego miasta zasypiają. I nie budzą ich żadne gwizdy czy stukot obcasów. Po prostu nie ma tam dokąd pójść. Za to na tutejszych ulicach szumiały silniki, dźwięczały klaksony, huczały tramwaje. Ludzie wsiadali, wysiadali, przemykali. Za nimi, krok w krok, podążały ich cienie. Gdy zapalało się czerwone światło, wszyscy nieruchomieli, gdy zielone – kierowali się dalej, w tempie nadawanym przez miasto.

Razem z nimi schodziłam po schodach pod jego powierzchnię.

Oślepiające światła i ogłuszająca muzyka wciągnęły mnie w środek tłumy. Zgubiłam w nim dziewczyny. Czułam się niepewnie, dopóki nie poddałam się dudniącemu rytmowi. Byłam radosną częścią większej siły. To ona zamieniła mnie w spiralę, która zbierała energię z otoczenia i uwalniała ją, przekazując dalej. Po parkiecie krążyły inne roztańczone spirale, aż trudno nas było odróżnić. Lecz nagle się potknęłam; zaplątana we własne nogi i włosy omal nie runęłam na podłogę. Zdjęłam szpilki i odrzuciłam je w kąt. Pożyczyłam od barmanki gumkę, która ścisnęła niepokorne pasma. Teraz mogłam szaleć bez ograniczeń.

Tańczyłam solo, dopóki nie wpadłam w wyciągnięte ku mnie

ramiona. Później podawano mnie z rąk do rąk. W amoku nie szukałam koleżanek. Nie pamiętam, ani przez ile rąk przeszłam, ani ile postawiono mi drinków. Ledwo wychylałam szklanekę, a tu czary-mary i pełna od nowa. Kto mi rozpuścił włosy? Hokus-pokus! Czyj oddech piekł w kark? Kto skradł mi pocałunek? Abrakadabra – kręciłam się, kręciłam, ale w głowie kołowało mi się aż za bardzo. Czyje ciało się łąsiło? Czyją erekcję wyczuwałam przez ubranie? Czy ten sam facet zaproponował mi, żebym z nim wyszła? Już się szykowałam, lecz nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie zostawiłam buty. Rozglądałam się za nimi, a trafiłam na sąsiadki z akademika. Upierały się, że na nas czas. Awanturowałam się, że ja zostaję. Tłumaczyłam, że przecież trzymam się na nogach i muszę znaleźć pantofelki, bo żaden książe mi ich nie odniesie. Nie posłuchały mnie, tylko pociągnęły za sobą do wyjścia i dalej, do taksówki.

Przed drzwiczkami auta zachwiałam się i wpadłam prosto w kałużę. Krople wody rozpiezchły się na boki, koleżanki też.

– Nigdy nie widziałem dziewczyny w takim stanie! – zawołał mijający nas mężczyzna.

– W jakim stanie? – zabalgotałam. Dziewczyny wzięły mnie pod pachy i podniosły. – Mało widział, jak nie widział złachanej! Nazywam się Magda Łacharska, miło mi!

A potem urwał mi się film. Nie mam pojęcia, jak znalazłam się w akademiku. Kojarzę, że długo dobijałam się do pokoju, aż w końcu rozmazana nocna zjawa podobna do Kate otworzyła drzwi i znikła w mroku. Nie miałam kiedy się zdziwić, bo dostałam torsji i zwymiotowałam do kuchennego zlewu. Zjawa coś krzyknęła, nie wiem co. To pewnie ten krzyk doprowadził mnie do łazienki, bo obudziłam się z głową na klapie od sedesu. Co tak cuchnie rzygami? – zastanawiałam się. O nie, moje włosy i sukienka Kate!

Wartki strumień prysznicza otrzeźwił mnie i orzeźwił.

Nie żałowałam niczego – nareszcie przeżywałam mocne wrażenia i testowałam granice. Korzystałam z życia jak moi rówieśnicy. Mina zrzędała mi dopiero przy śniadaniu. Moja współlokatorka zachowywała się tak wyniośle, jakby stała nie przy

poszarzałym oknie akademika, ale przy krystalicznie czystej szybie na piętrze apartamentowca. Patrzyła na zarzygany chodnik i na mnie, jak pełzną rynsztokiem – tyle w niej było pogardy. Zagroziłam, że jeżeli będzie tak ścierać czoło, to szybciej dostanie zmarszczek. Prychnęła i odeszła.

Dobra nasza, zaraz wyleczę kaca i upiorę sukienkę! Będzie jak nowa. A niedługo przejrę się w bardziej przychylnych oczach, myślałam.

Pragnęłam w nich zobaczyć odbicie rozrywkowej dziewczyny, którą nie byłam nigdy. Aż do teraz.

Do Gabinetu Luster wybrałam się w wygodniejszych szpilkach i w nowej małej czarnej, równie skąpej jak tamta od Kate. Samotnie, by zaszaleć anonimowo. Jakaż to ulga, że nigdzie po drodze nie spotkam rodziny, mieszkańców osiedla, znajomych ze szkoły, a także ich matek i ojców, braci i sióstr! Nikt nie zapyta, dokąd idę o tej porze. Nikt nie ostrzeże, żebym nie odwiedzała knajpy z kebabem. Nie podzieli się poufnie plotką, że właściciel jest nosicielem HIV-a. „Znajomy znajomej zna policjanta, co był na interwencji. Tam non stop się tłuką. Połała się krew, dali do zbadania i wszystko jasne”. Czyli dziś wirus w sosie pikantnym? W tym mieście nikt nie przejmuje się żadnymi wirusami! Ja też nie. Jak miałam się nimi przejmować, gdy życie tak namiętnie podawało mi usta i wsuwało język prawie do gardła? Tak, to sprawa życia. Już poprzedniego weekendu odżyłam po wojnie, na której rodzice zbombardowali mnie wrzaskami, kościół wytycznymi, z którymi się nie zgadzałam, liceum maturalnym stresem, a ukochany mężczyzna rozstaniem. W nowym powojennym życiu słyszałam same pochwały. Od profesorów na uczelni za inteligencję i pilność, od mężczyzn na imprezie za urodę i urok. Wojna nie zabrała mi bezcennej umiejętności uwodzenia. Nabyłam ją już jako dziewczynka, a teraz świadomie rozwijałam, żeby jej nie zmarnować.

Na parkiecie znów obracało mnie tyłu tancerzy, że nie dałam rady zapamiętać imion. Zapamiętywałam zatem kolory koszul, które mieli na sobie. Wybierałam je jak ze sklepowych wieszaków.

Musiałam również sama trochę poczarować, żeby Żółty ściemniał w Oranżowego, a ten zamienił się w Czerwonego. Ognia! Czerwony zgasł i stał się Popielaty. Taniec to obietnica, ale po raz pierwszy w życiu nie nawiedzało mnie poczucie winy, że nie realizuję obietnic.

Po północy nie odstępował mnie Czarny. Trafił swój na swego – bardzo ciemne włosy mam po matce. A bardzo ciemne ubrania wkładam z wyboru. Czarny nie znał tych upodobań, ale i tak czułam się z nim jak z dobrym znajomym. Trochę przypominał mi byłego. Miał swobodny styl i nieustannie żartował. Poił mnie słodkimi likierami, przytykając brzeg kieliszka do moich warg. Po paru kolejkach przykleiliśmy się do siebie na dobre.

– Napijemy się u mnie? – zapytał w taki sposób, jakbyśmy właśnie osuszili bar do cna, a on miał zamiar wyprowadzić nas z pustyni do oazy.

Chciałam się popisać, że jestem gotowa na wszystko. Nawet nie przed nim, ale przed sobą. Taksówka już czekała przed wyjściem. Czyżby zadzwonił po nią wcześniej?

W mieszkaniu od razu posadził mnie przy stole. Pobrzękiwał butelkami, szperając w barku.

– Cholercia, mam tylko bimber i wódkę. Nie chce mi się gnać do całodobowego. Wiesz, jak pić wódkę, żeby lepiej smakowała?

Nie wydałam się, że moja rodzina kultywuje w tym zakresie tradycję. Zamiast tego zrobiłam niewinną minkę. Pokornie pochyliłam łebek.

– Nie – wyszeptałam.

– Stawiasz obok siebie kieliszek i szklankę z popitką. Bierzesz łyk wódki, ale nie połykasz. I szybko, szybciutko przepijasz. Dopiero wszystko razem połykasz, rozumiesz?

Przytaknęłam. Chociaż wolałam wódkę bez dodatków, piłam niczym panienska z okienka. Krzywiłam się nawet, dla lepszego efektu. Leciutko, żeby nie było, że metoda Czarnego nie działa.

Zostawił mnie z żubrówką, sokiem jabłkowym i znikł. To już przesada, wzdrygnęłam się. Sama mam się upijać? No cóż, skoro

tego chce... Ciekawe, ile wypiję, zanim wróci? – zadawałam sobie pytania. Bo chyba przyjdzie? Szkoda, że nie zapytał, czy wiem, jak pić spermę, żeby smakowała lepiej.

Przeniosłam się z butelką na łóżko i turlałam się ze śmiechu, myśląc o spermie z popitką. Dobrze, że mnie wtedy nie widział, bo uznałby, że jestem całkiem pijana. Nie miałby racji. Na przykład zauważyłam, że nadaję się do prania. Co tam, nie jestem przewrażliwiona na punkcie czystości. Moje pożądanie jest brudne.

Nie mogłam się doczekać, kiedy to zrobimy.

Pstryknął wyłącznik. On wrócił? Wrócił!

Rozebraliśmy się; wymieszały się smaki alkoholu, śliny, potu i spermy. On podniósł moje nogi i przerzucił je sobie przez barki. Głośne kołatanie serc było najlepszym bitem tego wieczoru. Tak tętniło mi w uszach, że nie potrafiłam się od niego uwolnić przez wiele dni, nie mówiąc o nocach.

Musiałam je usłyszeć ponownie!

Po tej przygodzie uznałam, że jestem już bardzo wyzwolona. Prawie każdą sobotę spędzałam w podobny sposób. Impuls, by przeżyć podniecającą noc, był silniejszy od wszystkiego. Nareszcie nie obciążały mnie cudze zasady. Moralność? Co to jest moralność? Wartości? Po co wartości? Chciałam być winna, coraz bardziej winna, bo niewinni nie mają władzy. Za to deprawacja wiąże się z siłą, która pozwala rządzić. Wydawało mi się, że mam wszechwładzę – nad sobą i innymi. Poderwę, kogo zechcę, i przetestuję go. Alkohol pozbawiał mnie wstydu i dodawał odwagi. Odhaczałam kolejne kluby na Piotrkowskiej i w okolicy. Poznałam wiele zakątków miasta, w różnych dzielnicach, oglądając je z okien mieszkań, w których spałam. Następnego dnia nie miałam pojęcia, jak wrócić do akademika.

Na razie żaden z moich przypadkowych znajomych nie okazał się psychopatą – los czuwał nade mną, przeprowadzając lepszą selekcję niż dyskotekowi bramkarze. A niektórzy barmani mnie kojarzyli i już na wejściu wlewali darmowego drinka. Spoglądałam w kierunku parkietu na rozochocony tłum. Na co ma

taką ochotę? Pewnie na to co ja, multum doznań w jedną noc. Się gra, się ma, a nie roztrząsa – czy napisze, zadzwoni, kiedy randka, czy nie wykorzysta i nie rzuci. W klubach trzęsie się ciałem, wykorzystuje okazje i rzuca do woli. Tu rządzi prawo dżungli.

Kto pierwszy poprosi mnie do tańca? – zastanawiałam się podczas następnej z tych imprez. Koczkodan Zielony? Nie w moim typie, za chudy. Albo niech będzie, na rozgrzewkę. Przesuwałam się po nim, a on kołysał się w moim rytmie, niestety, wkrótce ubzdurał sobie, że jest rurą z klubu go-go. Zastygł i chciał, żebym wyginała się wokół niego. Znudziłam się.

– Na razie – rzuciłam i tyle mnie widział.

Niedaleko konsoli didżeja pojawiła się kobieta wąż w sukience z łusek. Uniosła ręce, by przesyłać ją rytm – od splecionych dłoni, poprzez odsłonięte ramiona docierał do dorodnych piersi, brzucha i rozhuśtanych bioder. Zniżała je, a wtedy czuła go w nogach. Zgięła kolana, przykucnęła i na chwilę się zatrzymała, jakby pobierała moc prosto z Ziemi; po jej zaczerpnięciu wiła się od stóp w górę. Muzyka rozwijała się razem z nią. Mężczyźni tkwili w miejscu, sparaliżowani. Czyżby żaden nie miał odwagi oswoić Węża? Patrzcie, jak to się robi! Podeszłam i oparłam się o nią plecami.

Wspaniale było poczuć na sobie podskakujące pośladki.

Po piosence tancerka dołączyła do stada innych kobiet węży, a ja przysiadłam na stoliku niedaleko i machałam nogami. Nie zwracały na mnie uwagi, więc prowadziłam obserwacje. To, co działo się dalej, traktowałam podobnie jak safari; brakowało mi tylko lornetki. Przede mną przeżył się Tygrys. Tygrysie, nie podobasz mi się, myślałam. Ruszaj w pogoń za Antylopą, inaczej będziesz chodził głodny. Żyrafa wywinęła się Słoniowi. Słoń przygarbił się, miał nietęgą minę. Jeżeli nikogo nie poderwie, to nikt nie wymasuje mu trąby. Słoni, głowa i trąba do góry, przestań się mazgaić! Gdzie ci do Żyrafy? Wyższa o szyję, chudziutka, niechący na nią nadepniesz i katastrofa murowana! A tak unikniesz katastrofy i będziesz mógł cmokać nad obfitymi piersiami Słonicy. Tak podskakują, że zaraz wyskoczą z za dekoltu

i poturlają się po podłodze jak dojrzałe arbuzy. Pyszne! Krokodyl błysnął do mnie zębami. Krokodylu, ale ja chcę szmaragd! Zdradź mi, czy w dżungli są skarby. Wprawdzie nie ma szmaragdu, ale czy ja dobrze widzę? Jest Ametyst, też niczego sobie. Pokiwałam dłonią, przysunął się. Zarzuciłam mu ręce na szyję i oplotłam go w pasie nogami. Bujaliśmy się razem. Penis niemal wyskoczył z rozporoka.

– Zejdź ze stołu!

Kelnerka wykonała ruch ręką ze szmatką, jakby chciała mnie sprzątnąć.

Wzbierałam ochotą na więcej.

Ledwie weszliśmy na parkiet, puścił do mnie oko gość w oliwkowej koszuli. Takiej, jaką nosił Pampalini, łowca zwierząt z kreskówki. Posłałam mu czarujący uśmiech zza ramienia Ametysta.

– Odbijany! – rzucił Pampalini.

Ametyst zmarszczył brwi. Nie moja wina, że przedawkował złudzenia. Zastanawiałam się, czy uderzy tamtego. Opuścił. No, Pampalini, a ty jak się wykażesz?

Oliwkowy chwycił mnie za dłoń i przegiął do tyłu.

Wyciągnął nasze splecione ręce, jak gdyby chciał je wydłużyć. Moje włosy rozsypały się tuż nad parkietem. Proszę, nie puszczaj, bo się roztrzaskam! – pomyślałam, był jednak uważny.

Wyprostował się i przyciągnął mnie gwałtownie. Ochoczo przyjąłam zaproszenie do baru.

– Skończyłaś osiemnaście?

– Mhm.

– Na pewno? Dowodzik masz?

Nieletniej nie chciał upijać, pocziwina!

– A co, pokazać?

Nie pierwszy raz facet zaniżał mój wiek. Mam drobną, delikatną twarz i smukłą sylwetkę.

– Nie, nie musisz. Masz fajniejsze rzeczy do pokazania.

Chyba się spieszył, że to powiedział, więc prędko zamówił dla nas shoty. Po trzeciej kolejce już gładził moje plecy. Po

czwartej znalazłam się w jego objęciach. Nie spuszczał ze mnie oczu. Moje podobno przypominają taflę jeziora przed zapadnięciem zmierzchu. Taki komplement usłyszałam od jednego z sąsiadów z akademika, studenta polonistyki. Biedak, zatonął w nich kompletnie! Następny pływak zamierza ryzykować? Jego sprawa. Nie rozdaję kamizelek ratunkowych.

– Czego się jeszcze napijesz?

– Może... Białe wino z ananasek. – Uznałam je za symbol lepszego życia w lepszym świecie. – Dostanę?

– Nie ma sprawy – zapewnił mnie barman.

– A nie jesteś głodna? – Pampalini rozłożył menu.

– Nie, dziękuję.

– Możesz pić i jeść, ile chcesz.

Najwyraźniej pragnął zapewnić samiczce wikt i opierunek po to, by ona tańczyła wyłącznie dla niego. Jego dłoń wspinała się po moim kolanie, coraz to wyżej i wyżej. Jezioro powoli zasnuwała mgła. Odwróciłam głowę i popatrzyłam po sali. Wszędzie polatywały skąpo, lecz barwnie upierzone Papugi. Mieszały się odcienie piór. Cholera, więcej nie piję! – postanowiłam.

Wstałam gwałtownie, aż porysowałam stołeczkiem podłogę. Powiedziałam Pampaliniemu, że idę przypudrować nos. Chciał pójść za mną, ale go zbyłam. Tłum gęstniał. Niedaleko skradała się Różowa Pantera. Nie przepadam za pastelowymi odcieniami koszul, ale pod różem znajdował się gibki grzbiet.

Już wiedziałam, z kim spędzę dalszą część nocy.

Na początku każdą imprezę traktowałam wyjątkowo, lecz po wybiciu godziny dwunastej wszystko stawało się przewidywalne i podobne, jak na każdej poprzedniej balandze. Moim celem było zdobycie noclegu. Najczęściej decydował o nim przypadek – kto pierwszy mnie do siebie zaprosi, ten lepszy. Jeżeli długo nikt się nie zgłaszał, stosowałam wypróbowaną receptę. Nic trudnego. Najpierw dostarczałam upatrzonemu średniej dawki zmysłowości i rozbawienia. Miksturę wzmacniałam po paru przetańczonych razem utworach. Wówczas mężczyzna czuł się wybrańcem, a ja proponowałam rundkę po innych klubach. W nich trzymałam się

już tylko jego, jak przewodnika. Jeżeli wszystko szło zgodnie z planem, to około trzeciej, czwartej nad ranem padało standardowe pytanie:

– Napijemy się u mnie?

Na ulicach mijaliśmy myśliwych i ich ofiary. W drodze adorator rozpoczynał obściskiwanie.

Hej, przystopuj! Przyjdzie pora na gwóźdź programu. A teraz nie psuj mi niespodzianek. Czy gra wstępna będzie długa? Czy wolisz szybki i intensywny seks? Jaka jest twoja ulubiona pozycja?

Jasne, że nie pytałam, tylko przekonywałam się na własnej skórze. Otarły się o nią różne ciała, i te z piersiami o trzy rozmiary większymi od moich, i te chuderlawe jak u gruźlików. Ze szczebelkami kaloryfera do policzenia i z piwnymi bębnami do poklepania. U każdego partnera najbardziej napawałam się kroplami potu na twarzy, zmarszczonym czołem i zamkniętymi powiekami. Przydawały twarzy koncentracji, dopóki nie zastygła w grymasie zaspokojenia. Czekałam na ten moment jak na zasłużoną nagrodę. Wsuwałam dłonie w mokre włosy albo przywierałam pazurkami do pleców. I już soki docierały do każdej mojej komórki i ją odżywiały.

Lecz nawet wśród tych, których wybrałam, żaden kochanek nie był dla mnie szczególny. Po prostu wymienialiśmy się usługami. Kto z nas, jako klient, uważa sprzedawców za szczególnych? Albo na odwrót? Charakterystyki tych, od których brałam pożądanie i którym dostarczałam zaspokojenie, tworzyłam wyłącznie dla zabawy. Budziłam się bladym świtem. Na podstawie tego, co zobaczyłam w pokoju, próbowałam odgadnąć zawód kochanka, co go zajmuje i jaki ma charakter. Na przykład pewnego poranka, przekręcając się na drugi bok, odwróciłam się do biurka – stał na nim komputer i laptop, oba nowe i dobrej klasy. Przy monitorze wił się ogon szczura maskotki. Nad biurkiem wisiała półka z biografią Steve’a Jobsa, *Wiedźminem* i sporą ilością Pratchetta. Książki zebrane w dwuszeregu, niczym papierowi żołnierze. Jaki z tego wniosek? Byłam z informatykiem, który miał rozwiniętą wyobraźnię i poczucie humoru, a poza tym był

pedantem. Dobrze, tylko jak z tym połączyć następujące informacje: lubi seks na łyżeczkę i sypie do herbaty trzy łyżeczki cukru?

Cóż, uśmiechając się pod nosem, kierowałam się do łazienki. Kiedy zmywałam resztki makijażu, spod maski wyłaniały się bladość i zmęczenie. Przysiadłam na brzegu wanny i tępo patrzyłam na strugę lejącej się wody. Zanurzając się po szyję, miałam wrażenie, że pragnę tak spędzić całe życie. To znaczy leżeć i nie ruszać się. Po co mi kac? Po co mi romanse? Po kąpieli odzyskiwałam spokój. Rozczulały mnie wysłużona szczoteczka do zębów, porzucona maszynka do golenia, zużyty żel pod prysznic. W kuchni robiło mi się ciepłej na sercu dzięki okruchom na blacie, zasuszonym kajzerkom, jogurtowi na granicy daty ważności. Z puszki wygrzebywałam ostatnią łyżeczkę kawy. Kosztowałam nie resztek, lecz esencji życia. Wtedy wyrzucałam sobie, że używam człowieka jak przedmiotu. Jednak wyrzuty nie zmieniały mojego zachowania. A ono także mnie uprzedmiotowiło.

Kiedy wślizgiwałam się z powrotem pod kołdrę, kochanek już czuwał. Zdierał ze mnie koszulkę. Swoją, bo czyją by inną, jeżeli nie miałam w czym spać? Nigdy nie brałam rzeczy na zmianę. Jednonocny partner nie mógł się domyślić, że nie przeżywam pierwszej przygody w dżungli, lecz jestem łowcą, jak Pampalini. Myśliwy jest przecież rodzaju męskiego. Ja ukrywałam naturę myśliwego i kobiecym zwyczajem chodziłam w gości. A przy okazji moja cipka gościła gospodarza. Zwykle nie pytał mnie o plastry i blizny, które okrutnie ujawniał dzień. Jeśli zaś pytał, ucinałam temat. Nie zwierzałam się mężczyznom, mimo że oni często zwierzali się mnie. Ile ja się dowiedziałam o zawiedzionych miłościach i zdradach! „Przespała się z moim bratem. Wybaczyłem mu, rodzina musi trzymać się razem. Ale tej wywłóce nie daruję! Nie ma mowy!”. Ach, ci męczennicy miłości! Lubili mnie jeszcze bardziej, gdy czujnie ich słuchałam. Przynajmniej tyle mogłam dla nich zrobić, bo wcale ich nie lubiłam. Kontakty z nimi były dla mnie wyłącznie rozrywką. I rozgrywką.

Bywało, że toczyły się i takie rozmowy:

– Wiesz co, mam dziewczynę.
W domyśle: „Już taki ze mnie zimny drań. 1:0 dla mnie”.
– Naprawdę? – Łamał mi się głos.
Wchodziłam w konwencję. 1:1.
– No tak, jesteśmy razem dwa lata. – Skruszona mina. 2:1 dla komedianta. – Ale ty... Jesteś cudowna. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego. Zrobimy to jeszcze raz?

Czemu nie? Jako prezent pożegnalny brałam orgazm. 3:2, skarbie.

W tym czasie moimi ulubionymi słowami stały się „pożądanie” i „rozkosz”. Nie „pragnienie” i „przyjemność”. Postanowiłam, że seksem będę się delectować wyłącznie z tą jedną, jedyną osobą. Do numerków z przypadkowymi kochankami podchodziłam jak do egzaminu. Żeby do niego przystąpić, musiałam zaliczyć ćwiczenia z atrakcyjności, więc bardzo dbałam o siebie. Nie wiem, czy wyglądałam obłudnie, przypominając dziwkę, czy przypominałam dziwkę, wyglądając obłudnie. Nieistotne. Do zdania egzaminu potrzebne było wywołanie orgazmu.

– Proszę podać indeks, wpiszę dostateczny.
– Tylko dostateczny?
– Tak, szanowna pani, ponieważ na dobry muszą być dwa orgazmy, w tym zdającej. Na bardzo dobry muszą być jednocześnie.

Najczęściej otrzymywałam dobry.

A co ze studiami, na które przyjechałam? Nie zaniedbywałam nauki, o nie! W tygodniu poświęcałam czas wyłącznie jej. Nie opuszczałam żadnych wykładów. Przychodziłam w eleganckiej bluzce, siadywałam w pierwszej ławce i wsuwałam na nos okulary w gustownych oprawkach. Pilnie notowałam, by nie uronić żadnego słowa. Śmieszyła mnie ta mistyfikacja.

Zajęcia bardzo mnie pobudzały. Zapisałam się na wykład monograficzny o akcie kobiecym. Oglądając slajdy z obrazami, zastanawiałam się, czy powabne ciała były bardziej miękkie niż porzucane wokół poduszki? Która z tych kobiet dopiero

otworzyła usta do pocałunku? Która przed chwilą je zacisnęła? Urzekały mnie opływowe linie, obwodzące piersi i biodra. Miałam ochotę zdjąć z modelek ręce, którymi się przysłaniały. Często robiłam się wilgotna. Najpierw nie miałam pojęcia, co się ze mną dzieje. Dopada mnie seksualne ADHD czy co? Szukałam odpowiedzi w migdałowych oczach muzy Modiglianiego. Chyba przejrzała mnie na wylot. A ja wciąż nie wiedziałam, czemu tak mnie podniecają nagie kobiety. Przyjemność ogarniająca mnie na ich widok wydawała mi się bardziej liryczna i głębsza od tej, którą czerpałam z seksu z mężczyznami. Istniała tylko dla mnie. Nie wymagała w zamian niczego, nie licząc szczerego zachwyty.

Przyjęłam zatem nową część siebie. A raczej odnalazłam tę, którą utraciłam. Podobnie działo się w historiach opisywanych w babcinych czasopismach. Tych, gdzie czytelniczka po latach odnajduje zagubioną na wojnie siostrę bliźniaczkę. Niby poznaje ją na nowo, a przecież przynależały do siebie od zawsze. Mijał czas, a ta nowa nienowa część ciągle była ze mną. Zaczęłam więc o nią dbać. Nie miałam nic do stracenia, tylko wiele nowych przeżyć do zyskania. W akademiku odpalałam Internet i przeglądałam rozbierane fotografie. Kiedy nie było Kate, włączałam filmy porno. Szybko zniechęciłam się do *Stęsknionych kutasa, Laleczek i ich orgazmistycznych zabaweczek, Liżących sobie pusie i dupki* i tym podobnych. Wielkie balony i tyłki w kadrze, anatomia wygolonych na łyso wagin plus moc innych niesmacznych atrakcji? Nie i jeszcze raz nie! Przedstawianie kobiet w wulgarny, poniżający sposób budziło we mnie wstręt. Nie miało to nic wspólnego z feminizmem – ja i feministka? – po prostu wolałam subtelne sceny miłosne w filmach z wciągającą historią. Kiedy je oglądałam, fantazjowałam, że gram jedną z dwóch głównych bohaterek.

W sztuce każde ciało da się przedstawić tak, by było na swój sposób piękne. Jednak rzeczywistość rządzi się swoimi prawami. Gdy szłam ulicą, nie zatrzymywałam wzroku na podwójnych podbródkach, obwisłych biustach, rozlazłych tyłkach, iksowatych nogach. Nie wsłuchiwałam się w strudzone kroki. Czciałam radość,

młodość, sprężystość. Żadna z nastolatek czy studentek nie wiedziała, że bezwstydnie rozbieram ją wzrokiem. A nie przepuściłam żadnej piękności.

I wtedy los ze mnie zakpił. W programie studiów był obowiązkowy WF, dziedzina do wyboru. Na trzecim semestrze zapisałam się na akademicką siłownię. Jak za starych szkolnych czasów przychodziłam wcześniej i przebierałam się w toalecie, by nikt nie dostrzegł blizn. A potem czekałam na zajęcia na ławce w szatni. Nade mną szybowały bluzki, spódniczki i rajstopy, dopóki nie wylądowały z impetem na podłodze. Ich właścicielki nie zwracały na to uwagi. Przepychały się przy szafkach. Łapały opadające ramiączka biustonoszy. Poprawiały majtki, żeby nie wciskały się między pośladki. Serce pikało mi szybko, jakbym była bardzo zmęczona, policzki pąsowiały. Bałam się, że dziewczyny domyślą się, o co chodzi, i mnie wyśmieją. A jeszcze nie weszłam na salę ćwiczeń... Tam T-shirty i legginsy lgnęły do spoconych sylwetek, końskie ogony kołysały się na boki. Balansowały piersi, wypinały się pupy, nogi stały w jak najszerszym rozkroku. Przecież to moje koleżanki z siłowni, a nie obiekty seksualne, karciałam się w duchu. Na marne – i tak je erotyzowałam, siebie wyzywając od świń. Z czasem jednak przewrotna przyjemność uciszyła wyrzuty sumienia. Trudno, swinia jestem i pozostanę, stwierdziłam.

Nigdy w życiu nie chodziłam na WF równie chętnie. Już nie interesowały mnie lalki – malowane, fotografowane i filmowane. Rzeczywistość okazała się zarówno bardziej brutalna, jak i bardziej pociągająca od sztuki.

Wciąż brakowało mi odwagi, by przekonać się, czy naprawdę jestem biseksualna, czy też sobie to wmawiam. Jak mam zaproponować randkę? Komu, komu, bo idę do domu? Nie, nie umówiłam się z żadną dziewczyną z siłowni ani z uczelni. Żadna nie wypisała sobie na czole, że jest bi albo les. Ujawnienie mojej orientacji komukolwiek uznałam za zbyt ryzykowny krok. A nuż trafię na paplę, która powie reszcie? Nie zniosłabym, gdyby heteroseksualne dziewczyny zaczęły się mnie bać. Kluby i imprezy

branżowe również odpadały; czułabym się tam niepewnie i obco. A co, jeżeli pogoniłaby mnie lesba z gumowym penisem w spodniach? Horror, ratuj się, kto może! Portale randkowe przypominały mi kontakt przekupy z klientką na targu. W mojej głowie natychmiast rozbrzmiewał następujący dialog:

– Pani, pani, mam najlepszy towar! Sama jestem najlepszy towar, niech pani popróbuje!

– A spadaj, nachalna babo!

Naczytałam się, że lesbijki odrzucają biseksualistki, bo boją się być zostawione dla facetów. Jeszcze tego brakowało!

Czekałam na sprzyjającą okazję, a oczekiwanie umilałam sobie w wiadomy sposób.

Czasami wyprawa po uwielbienie i seks kończyła się klęską. Tak jak wtedy, gdy spotkałam w Spince Kamilę, znajomą z liceum. Okazało się, że niedawno przeprowadziła się do Łodzi. Naszą rozmowę przerwał mężczyzna w szarej koszuli. Zapytał, czy się przysiadziemy. Jego kumpel, ubrany w błękitną, zachęcająco skinął ręką. Zgodziłyśmy się. Kamila wybrała miejsce przy Szarym. Z przydziału trafił mi się kandydat numer dwa. Ciągłe zagadywał o to samo.

– Jak się nazywasz? Ile masz lat? Pierwszy raz tu jesteś? Dobrze się bawisz?

I kolejna idiotyczna rundka pytań.

Zostawiłam go. Poszukałam Kamili i Szarego. Palili przed wejściem. On zaciągał się od niechcienia, ona robiła to nerwowo, jakby papieros parzył jej wargi. Szary powoli wydmuchiwał dym. Podobała mi się ta jego nonszalancja. Zanim wziął następnego bucha, zaprosił nas do Kaliskiej. Żadne nie przejmowało się Błękitnym, a ja o niego nie wypytywałam. Nie brakowało mi jego naprzykrzania się. We trójkę bawiliśmy się prawie do rana.

Po entym drinku nasz wspólny amant postanowił ocieplić swój wizerunek. Pochwalił się, że robi świetne naleśniki, a najlepsze na śniadanie.

– Spróbujecie? Mieszkam niedaleko.

– Uwielbiam naleśniki! Będzie pysznie, przepysznie!

Wpadłam w euforię, myśląc o tym, jak bardzo będą mi smakować mężczyzna i kobieta naraz. Kamila przyjęła zaproszenie obojętnie; byle nie pod most i po sprawie. Szary zgubił gdzieś zapalniczkę, więc poprosił żulę o ogień. Niepotrzebnie. I tak wydawał się napalony.

Gdy tylko wszedł do mieszkania, zasłonił wszystkie żaluzje. Później włączył muzykę. Z głośników rozległa się *Billie Jean*. Miałam ochotę zrobić do niej striptiz razem z Kamilą, ale ona od razu padła na łóżko. W ubraniu. Cóż, położyłam się obok i czekałam na ciąg dalszy.

Fan Jacksona rozebrał się nie wiadomo kiedy, bo wcisnął się między nas w samych bokserkach. Moje usta potwierdziły, że jestem łakoma, więc sprawdził Kamilę. Podała mu siebie byle jak, z łaski na uciechę. Odwróciła się na drugi bok i strzepnęła jego dłoń z pupy.

– Dobranoc – oznajmiła.

Może to i lepiej? Marzyłam, że mój pierwszy raz z kobietą będzie rewelacyjny, a w takich warunkach raczej się na taki nie zapowiadał. Zresztą uroda, styl i charakter mojej koleżanki były przeciętne. A teraz wydawała mi się jeszcze bardziej nijaka niż jej budyniowa sukienka. W ten sposób na placu boju pozostał mężczyzna.

Tylko co da się zrobić w takiej ciasnocie? Zabrałam koc i uciekłam na podłogę.

Spadła na mnie poduszka z napisem „Juventus Turyn”. Czyli wierny kibic i marzy o podróży do Włoch. Albo już tam był. Lecz nade wszystko buć, skoro pozwala mi spać pod łóżkiem, podsumowałam.

Nie mogłam usnąć, bo wciąż grała płyta. Na cały regulator.

– Wyłączysz muzykę?

– Michael to najlepszy głos na świecie – zaprotestował.

Przekonałam się, że jest bućem nad buće.

– Mnie nie daje spać.

Ustąpił.

Na podłodze znalazłam pająka na pompkę, chyba z

odpustowego straganu. Naciskałam go, by podskakiwał, i przewracałam się z boku na bok. Jak to, impreza bez seksu?

– Masz melisę? Podobno dobra na sen.

– Mam.

– Zaparzysz?

Sam na sam w kuchni stwarzało więcej możliwości.

Nowy znajomy natychmiast przyparł mnie do ściany. I od razu sięgnął pod bluzkę, jakby moje piersi tylko czekały na jego dłonie. Miał rację. Ja tymczasem dobrałam się do mięsistych warg. Przez szybę próbowały się przebić pierwsze promienie słońca. Chwila była nadzwyczajna, gdy on znów wszystko zepsuł. Powiedział, że nie lubi kochać się w dzień. Co za palant! Gdyby był zaradny, zrobilibyśmy to w ciemnej łazience. Bałam się podpowiedzieć to rozwiązanie, bo co, jeśli odmówi? Wyszłabym na niewyżytą.

Wróciliśmy do pokoju.

Zmrużyłam oczy za ledwie na parę godzin, bo przed południem on włączył telewizor. Nie dość, że mnie nie zaspokoił, to jeszcze obudził i zmusił do oglądania porannych programów, których nie cierpię. Kamila miała mocniejszy sen, więc wstała później, akurat wtedy, gdy puszczano materiał o płetwach na szpilkach. Aż przetarła oczy ze zdumienia. Gdy przekonała się, że nie śni, ziewnęła głośno i zaczęła domagać się obiecanych placków.

Szary nie miał wyjścia; zniknął w kuchni. Nie okłamał nas – naleśniki z jabłkami i cynamonem rozpływały się w ustach. Po posiłku stwierdziłam, że wracam do domu. Kamila również nie chciała zostać dłużej.

– Dzięki za nocleg. Było miło, a śniadanie znakomite. Baj! – Dałam gospodarzowi buziaka w policzek, a Kamila w drugi.

Na klatce schodowej udało się nam zachować spokój. Dopiero przy bramie wybuchliśmy śmiechem.

Po powrocie do akademika wykonałam masturbację pod prysznicem, by nadrobić stracony orgazm. Tutaj nie szukałam erotycznych przygód. Unikałam też studenckich imprez. Bliższy

kontakt z mężczyzną równał się dla mnie pójściu do łóżka, a obawiałam się plotek; moi nowi sąsiedzi obmawiali innych równie chętnie jak ci dawni. Wciąż nie zawierałam prawdziwych przyjaźni. Nie potrafiłam się przed nikim otworzyć, pewna, że nikt mnie nie zrozumie, a każdy potępi.

W zmaganiach z codziennością wspomagała mnie jedynie przyjaciółka żyletka. Nikt nie był ze mną tak blisko jak ja sama ze sobą, gdy przyciskałam ją do skóry. Przez nią żyłam między uwielbieniem a upokorzeniem, w stanie przypominającym ten tak dobrze znany wierzącym. Przecież w Wielki Czwartek Chrystus uświęcił swe ciało sakramentami, a w Wielki Piątek poddał się męce. Dawniej sądziłam, że okaleczanie się jednego dnia sprawi, że zmartwychwstanę w kolejnym, teraz zaczęłam wierzyć, że czerwień wzywa czerwień. Dlatego od czerwieni namiętności przechodziłam do czerwieni krwi. Dla mnie w moich instynktach tkwiły prawda, wartość i poezja.

Ta ostatnia nie była sentymentalna. Ona płonęła i parzyła.

Pod wpływem popędów złamałam jednak zasadę „nie zbliżaj się do znajomych”. Otóż kolega z akademika zapytał, czy pójdę z nim na wesele. Nie przepadam za takimi imprezami, gdy para młoda i jej goście w porywie ekstazy zapominają, że małżeństwo szkodzi. Pod jego wpływem nawet najbardziej interesujące jednostki zmieniają się w skapcianiących nudziarzy. Tacy nie piją życia jednym haustem, tylko smakują łyček po łyčku, jak niedosłodzoną herbatę u teściowej. Brr! Mija kilka lat, partner staje się nie do zniesienia, dzieci urządzają równie nieznośny kociokwik, od rana do wieczora. Do tego zdrady, prawdziwe lub domniemane, z obrączką na palcu lub bez. Niech dojdą nałogi, a dopiero robi się wesoło! Awantura za awanturą. Znałam to z mojego magicznego domu. Nie popierałam świętowania wejścia w układ, który zapowiada się dobrze, a kończy źle.

Zmięklam, gdy w dużych oczach kolegi dostrzegłam zniewalającą prośbę. Powiedział, że rodzice mu nie darują, jeżeli pojawi się w pojedynkę. Tłumaczył, że chce iść ze mną, bo razem na pewno nie będziemy się nudzić. Nie ufałam mu, ale dałam sobie

wmówić, że jestem ostatnią deską ratunku, podczas gdy tylko dobrze nam się rozmawiało, gdy wystawaliśmy godzinami w kolejkach do dziekanatu. Nic więcej. A teraz ode mnie zależało, czy jego oczy rozbłyszczą radością. Milej jest doznawać wdzięczności niż pretensji, prawda?

Jak można się było spodziewać, bal ociekał złotymi dekoracjami, a stoły uginały się od jedzenia. Mieszmasz potraw, a mieliśmy wszystko, na co było stać ojca pana młodego, czyli, jak się dowiedziałam, wiodącego producenta dzianin. Był i stół staropolski, z pieczonym dzikiem, i stół z sushi. Japończycy zwijali smakowite ruloniki na widoku. Dobrze, że nikt nie zarzynał przy nas dzika... Orkiestra przygrywała, aż huczało, a goście zdzierali gardła, wtórując wokalistce: „Kochałem cię i twe szaleństwa, mocno tak/Ty się śmiałaś zawsze, no i cześć/Jesteś szalona, mówię ci...”^[4]. Wszyscy razem! Szał i jeszcze raz szał! Po parkiecie ciągnął się tren sukni ślubnej co rusz przydeptywany przez czarny lakierek z wąskim nosem. A suknia była bardzo droga, podobno sprowadzona na zamówienie z Paryża. Kto śmiał ją tak potraktować? No nie, pan młody?

– A byli na kursie tańca... Tłumok z niego czy co?

– No a z niej zgrabna dziewczuszka, nie można powiedzieć! Ładna. Aż chłopcy ślepiami błyskają.

– A młody to jak ten... Ni to stwór, ni potwór. Wnuczek mi kiedyś gadał. A! Czupakabra czy jakoś tak...

Staruszki podreptały do stolika, pozostawiając mnie samą przy fontannie ponczu. I bardzo dobrze zrobiły, bo przy nich wstydziłam się dużo pić. Teraz alkohol nabierała szatynka w wiśniowej sukience, doskonale dopasowanej do ponętnej sylwetki. Dekolt z tyłu odsłaniał esowate plecy. Skóra wydawała się równie miła w dotyku jak muślinowa tkanina.

– Zgubiłam męża – oznajmiła ślicznotka.

Chyba wcale nie była tym zmartwiona, skoro w głosie usłyszałam rozbawienie?

– Damy ogłoszenie o zaginięciu? Jakie ma cechy szczególne?

– Pieprzyk na prawym półdupku.

Oj, ona także była zakręcona!

Falbaniasty dół kreacji unosił się i odsłaniał uda, gdy tańczyłyśmy razem. Tyle że wtedy znalazł się mąż; poprawił krawat i zabrał mi Wisienkę. Nie wybaczyłam mu tego. Pożałowałam, że nie byłam przewidująca. A mogłam ją wyprowadzić z sali w pobliskie pola, lasy... I przeżyć niesamowity pierwszy raz!

Kiedy odeszli dalej, ona posłała mi znad ramienia jeden ze swoich obłędnych uśmiechów, który tak ściał mnie z nóg, że wpadłam łokciem w paterę z ciastami. Wytarłam go i oblizałam palec z kremu. Pyszny! Sięgnęłam i parę kawałków ukradkiem schowałam w torebce, poszłam do toalety i zamknęłam się w kabinie. Tam zabrałam się do smakołyków. Wsadzałam palce w krem i przesuwałam po nich językiem, żeby sobie wynagrodzić straconą okazję. Moje ciało było coraz bardziej pobudzone. O nie, następnej okazji nie przepuszczę. Albo sama ją stworzę, pomyślałam. Nie wpadłam na to, że wtedy zniszczę mój nienaganny wizerunek, z takim poświęceniem pielęgnowany w akademiku i na uczelni. Nie martwiłam się już plotkami. Poczucie niezaspokojenia odebrało mi rozsądek.

Wróciłam do stolika. „Długo cię nie było” zabrzmiało jak wyrzut. Wy tłumaczyłam koledze, że zatrzymała mnie pokaźna kolejka do toalety. Ostentacyjnie wachlowałam się serwetką i narzekałam na duchotę. Głośno zastanawiałam się, czy popsuła się klimatyzacja. On stwierdził, że możemy się przewietrzyć.

Zarzucił mi na ramiona swoją marynarkę i wyszliśmy.

Zatrzymaliśmy się pod lasem. Przykucnęłam i rozpięłam mu rozporek. Nic nie powiedział, nawet nie drgnął. Delikatnie i bez pośpiechu wodziłam po penisie czubkiem języka, aż wreszcie odnalazł drogę do wnętrza ust. Wsuwałam go coraz głębiej, wysuwałam coraz szybciej. Podczas jego szczytowania wypięłam libido. Przełknęłam spermę i oblizałam wargi. Napęłam się oszałamiającą energią wyłącznie po to, by za moment poczuć w sobie podobną.

Wstałam i powiedziałam koledze, by rozebrał mnie tutaj i

teraz. W zbożach, pod gwiazdami.

– Sukienka ci się pogniecie – wyszeptał.

Rozśmieszyło mnie to praktyczne podejście, ale z całą powagą odparłam:

– Nie szkodzi.

Wtedy spełnił prośbę. Poznawał smak mojego nagiego ciała coraz zachłanniej, aż dopadł do centrum. A mnie dopadł gwiazdny orgazm, niemal dorównujący pierwszemu. Zresztą każdy orgazm podobny jest gwieździe, z tym że spadającej – zapala się, żarzy mocno, gaśnie i znika za horyzontem.

Noc była niesamowita, ale później pojawiły się problemy. W niedzielę kolega zaprosił mnie na kolację. Kiedy jednak zasugerował, żebym została na noc, obraziłam się i poszłam do siebie. Dotąd byłam panienką do seksu wtedy, gdy sama chciałam, teraz chciał mnie w jej charakterze mój znajomy. A przecież nie łączyło nas wyłącznie chwilowe pożądanie. Tak sądziłam do tej pory, choć po tej propozycji zwątpiłam. Nie miałam ochoty prosić o wyjaśnienia ani rozmawiać na żaden temat.

Od tej pory, kiedy mijaliśmy się na korytarzu, przyspieszałam kroku. Raz zastąpił mi drogę na schodach. Skierowałam się w drugą stronę.

Po weselnej imprezie zapadłam się w siebie. Nie opuszczało mnie wrażenie, że tylko ja jestem nie do pary. Nikt nie był dla mnie wystarczająco wyjątkowy – istniał tłum, a w nim samotna, zamknięta, zimna Magda. Bliska, ciepła i otwarta wyłącznie w łóżku. Tymczasem coraz więcej studentek chwaliło się pierścionkami zaręczynowymi. Przesuwały ozdobione dłonie przed moim nosem, jakby machały mi na pożegnanie przed odjazdem w inne życie.

Czy nie obrzydzałam sobie stałego związku z lęku, że go nie doświadczę? Wyobrażałam sobie, że tłum na dworcu się przerzedza, aż zostaję na peronie sama. Otaczały mnie tekturowe fasady budynków, które zrujnowałby nawet lekki podmuch. Lecz najszybciej rozpadła się moja własna fasada. Realnie. Nie byłam tą, za którą mieli mnie inni, a nawet tą, za którą miałam się sama.

W lustrze znów widziałam znerwicowaną dziewczynę z zapuchniętymi oczami. Pod nimi uwidoczniły się pierwsze zmarszczki. Zwiastowały złą nowinę, że ich się się rozwinię, oplecie mi twarz i zabierze młodzieńczy czar. Nikt nie będzie mnie wtedy odmładzał i pytał, czy na pewno skończyłam osiemnastkę...

Sporo niepokoju wchłonęłam z reklam. Według ich wskazówek sprawdzałam, czy różne części mojego ciała nadal są w porządku. Czy szyja wiotczeje? Nie. Czy piersi obwisły? Nie. Czy pośladki i uda pokrywają rozstępy i cellulit? Nie. Jeszcze nie. Muszę temu zapobiec, opóźnić starzenie. Najlepiej od zaraz! Byłam przekonana, że mężczyźni pragną młodości i że tylko ona jest piękna. Kiedy się zestarzeję, zbrzydnę, a wtedy nikt nie zwróci na mnie uwagi.

Przez tę panikę nakupiłam tyle kremów odmładzających, że dorównałam Kate. Kosmetyki wysypywały się z każdej łazienkowej skrytki. Wydałam na nie prawie całe stypendium, a stać mnie było tylko na imprezowe zapomnienie.

Jeśli nie teraz, to kiedy? Skończę studia i co dalej? – martwiłam się. Samotna i bezrobotna? Na pierwszym roku powtarzałam sobie, że będę pisać o sztuce, jednak na drugim straciłam tę pewność. A nawet wiarę. Dyskusje ze znajomymi z akademika, studiującymi inne, bardziej przyszłościowe kierunki, sprowadzały mnie na ziemię. „Ile jest dzisiaj wart historyk czy krytyk sztuki? Wartości intelektualne? Duchowe? Nie te czasy!”, drwili. Traktowali mnie jak nieuleczalną idealistkę – a może idiotkę? – skoro zdecydowałam się na takie studia i podchodziłam do nich z pasją. Jednak dotarło do mnie, że postudiować każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej, ale nie o to chodzi. Po dyplomie elegancki historyk sztuki elegancko zasili szeregi bezrobotnych. Tak jak inni humaniści, nadprodukowani na uczelniach. Praca w zawodzie jest dla naj, naj, tych najbardziej zdolnych i zdeterminowanych.

Planowałam więc wyjścia awaryjne. Jeżeli napiszę znakomite CV, zagram zmotywowaną osobę na rozmowie kwalifikacyjnej i będę miała sporo szczęścia, to wezmą mnie do korporacji.

Zamęczą pod kołnierzykiem zapiętym na ostatni guzik i w poczuciu niespełnienia. Jeżeli mi się mniej poszczęści, to zostanę ekspedientką. Podpiszę umowę z podpunktem, że za ladą mam być zawsze uśmiechnięta. Po godzinach będę zdzierać uśmiech jednym pociągnięciem, od ucha do ucha.

Podobne umowy nie były mi obce – po osiemnastce w każde wakacje dorabiałam w sklepach, przeróżnych: drogeriach, obuwniczych, z ubraniami. Jakikolwiek by był, traktowano mnie w nim bezdusznie, jak jeden z trybików mechanizmu. Oto nowoczesna forma niewolnictwa. Za nadgodziny powinnam być wdzięczna, bo więcej zarobię. Dwanaście godzin na nogach? Co to dla mnie? Jutro tylko dziesięć „Tylko nie opieraj się o blat, bo to źle wygląda!”. Uczniowie i studenci zwieszali nosy na kwintę, że wakacje się kończą, a ja witałam wrzesień czy październik w pogodnym nastroju, niczym majową jutrzeńkę. Im bliżej była, tym chętniej pokazywałam różki kierownictwu. „Co to za odzywki? Co to za miny? Na twoje miejsce czeka wielu”. W ramach pokuty przepracowałam nawet sobotę, którą miałam mieć wolną, wściekła jeszcze bardziej.

Beztraska atmosfera w klubach leczyła mnie z wściekliwości.

Clubbing stawał się moim lekiem na całe zło. Było mi już obojętne, gdzie idę, jakie skojarzenia budzą tancerki i tancerze, jakie mają kolory koszul. Najważniejsze, żeby mój dworzec znów był zatłoczony i gwarny. Niezwykle serdecznie witałam przyjezdnych. Liczyłam ich, ale pijana myliłam się w rachunkach.

– Twoje usta to skarb. Jesteś mistrzynią. Jesteś nie z tej ziemi – powtarzali mi kochankowie.

Chłonęłam te tanie komplementy. Mimo że już zdawałam sobie sprawę, że każda bogini, która we mnie żyła, zginie prędzej czy później.

Ta umarła w mieszkaniu, do którego weszłam z okołoczerdziestoletnim postawnym szatynem. Puścił mnie przodem i gmerał przy zamku. Zasuwa się zacięła. Poczekaliśmy chwilę, ale wciąż gmerał, więc udałam się do pokoju. Nie mogłam znaleźć włącznika, lecz dostrzegłam zarys stołu, kanapy, krzesel;

pozbyłam się płaszcza. Przerzuciłam go przez oparcie.

Jak on to zrobił, że rozbłysło światło?

Bez ceregieli rozłożył mnie na sofie, a siebie na mnie. Nawet się ucieszyłam, bo tak napalonego kochanka jeszcze nie miałam. Zadarł mi sukienkę i spuścił do kolan to, co miałam pod nią. Rozpiął dzinsy i tak brutalnie we mnie wszedł, że aż stęknęłam z bólu. Nie zwrócił na to uwagi.

– Przestań, boli – powiedziałam.

Lecz on robił swoje, jakby mnie nie słyszał i nie dostrzegł reakcji. Gdy próbowałam się spod niego wysunąć, przytrzymał mnie za nadgarstki.

Aż wreszcie zorientowałam się, że tym razem ja padłam ofiarą. Nawet nie myśliwego, tylko zwierzęcia. Poddałam się, bo u zwierząt panika i strach wzmagają agresję. Zaczęłam liczyć. Jeszcze dziesięć pchnięć i chyba skończy? Sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jedno... Nie przestał. Liczyłam od nowa. Dziesięć, dziewięć...

Przy pięciu przerwał.

– No, kurwa, nie mogę dojść. Odwróć się!

Nie wykonałam żadnego ruchu. Trzasnął mnie w policzek.

– Odwróć się! – powtórzył przez zaciśnięte zęby i strzelił jeszcze raz. – I wypnij dupę!

Zrobiłam, co kazał.

– No, kurwa, mocniej ją wypnij!

Wciąż nie dawał rady wcisnąć się w mój tyłek. Chciałabym napisać, że zniechęcił się i przestał, ale nie mogę kłamać. Bo prawdę mówiąc, on był uparty.

Wdarł się we mnie bólem o wiele gorszym od poprzedniego. Pilnowałam się, by płakać bezgłośnie, nie drzeć od łez, niczym go nie rozwścieczyć. I udało się, a jemu udało się dojść. Nie ruszyłam się, gdy wstał. Uderzył drzwiami, nie od pokoju. Pewnie od łazienki.

Nie potrafię wyjaśnić, co spowodowało, że właśnie wtedy się podniosłam. Podciągnęłam rajstopy i już byłam przy oknie. Mieszkanie znajdowało się na parterze. Chciałam przekręcić klamkę, ale nie ustępowała. Podniosłam krzesło i zamachnęłam

się; miałam tyle siły co wróbel, czemu zatem roztrzaskałam ją z takim rabanem?

Na pewno słyszał! Zaraz tu będzie! – histeryzowałam.

Przysiadłam na parapecie. Przekręciłam się, przerzucając nogi na zewnątrz, i zeskokczyłam w zaspę. W kozakach na wysokich obcasach. Cud, że nie połamałam nóg. Otrzepałam się i zaczęłam nie uciekać, tylko spierdalać. Byle przed siebie, byle jak najdalej, śnieg nie śnieg, zaspą nie zaspą, ja nie ja, w sukience na ramiączkach, nieważne! Zapomniałam zabrać płaszcz i torebkę. Nieważne! Na obcasach nie dawało się szybko biec. To ważne. Zdjęłam buty, wzięłam w rękę i zwiększyłam tempo. Myślałam, że stopy odpadną mi z zimna, więc wzułam te cholerne kozaki na nowo. Szłam w nich najprędzej jak umiałam, a mimo to i tak dygotałam i szczękałam zębami. Minał mnie nocny autobus. Czekaając na następny, krążyłam wokół przystanku i wymachiwałam rękami, żeby nie zamarznąć. Przypomniało mi się zdanie, które zapisałam w pamiętniku w gimnazjum: „Będą mi się przydarzać cudowne rzeczy, o jakich wam się nie śniło, bo zrezygnowaliście z marzeń i nie pamiętacie snów”. No to mi się przydarzają! – pomyślałam.

Po tej cudownej rzeczy zachorowałam na zapalenie oskrzeli. Pewnie powinnam przestać narzekać na Kate, bo kiedy byłam chora, robiła mi zakupy. Nie wyjawiałam prawdziwej przyczyny mojego zalegnięcia w łóżku. Bez problemu wyzdrowiałam i nie użalałam się. Cały czas ryzykowałam, to dostałam za swoje. Nie miałam prawa cierpieć. Zgłoszenie gwałtu na policji? W życiu! „Sama go sprowokowałaś”, powiedzieliby zapewne i mieliby rację. Gwałciciel nie zaciągnął mnie przecież do mieszkania na siłę. Sama tam poszłam, sama stamtąd wyszłam. I tak nie było najgorzej. Parter. Nie dopadł mnie, gdy wiałam. Łykałam tabletki antykoncepcyjne, więc nie zaszłam w ciążę. Nie zdychałam na zapalenie płuc. Nie przeżywałam traumy, tylko odbywałam zwyczajną karę.

Jednak moje ciało nadal błagało o nagrody, o orgazmy. Piecyk w moim wnętrzu wygasł, a nie miał kto dorzucać do ognia.

Nie wróciłam już do klubowego życia. Odcinałam się od Magdy Łacharskiej. Dosłownie. Niektórzy sądzą, że samookaleczający się ludzie są zbyt wrażliwi, by żyć na ziemi, i próbują wrócić do nieba. Nawet nie wiem, do czego przyrównać te bzdury. Czy anioły wystawiają się na niebezpieczeństwo? Bywają zbrukane? A plastry, które z siebie zdzierałam, wyglądały, jakby od spodu pokrywała je rdza. Były ohydne, a ja razem z nimi. Nigdy zatem nie byłam ani aniołem, ani Magdą Łacharską. Tak jak nie jestem ani hetero, ani lesbijką. Mimo że od gwałtu zaczęłam maniakalnie przeglądać poradniki erotyczne dla tych ostatnich. Głowiłam się, jak to jest skosztować kobiecej słodyczy. Na pewno nie wyrządziłaby mi krzywdy, myślałam. Marzenia o nektarynce między nogami przywabiały do brzucha motyle, również spragnione nektaru. A kobiety przybywały do mnie w snach. Po pieszczoty dla siebie i z pieszczotami dla mnie.

W weekendy pracowałam na promocjach w hipermarketach, zbierając pieniądze na kilka wizyt u profesjonalistki. Stwierdziłam, że ona da mi wszystko, czego pragnę. W komfortowych warunkach, na ustalonych zasadach. Jednak ile razy sięgałam po komórkę, żeby zadzwonić do agencji, tyle razy ją odkładałam. Nie pomagało nawet powtarzanie mantry, że nie jestem sobą. Pierwszy raz z kobietą, z pierwszą lepszą dziwką? Skoro z facetem miałam beznadziejny, niech chociaż z kobietą będzie pierwszej klasy, uznałam. I dalej żyłam nadzieją. Relacje lesbijskie uważałam za bardziej złożone, czyste i piękniejsze od związków heteroseksualnych. Idealizowałam je, podobnie jak dziewczina czekająca w uniesieniu na pierwszy seks.

Wbrew temu nie potrafiłam jednak postawić wszystkiego na jedną kartę i zrezygnować z mężczyzn.

Rozdział IV

Magiczny dom

Czy dwudziestoparoletnia kobieta może powiedzieć o dwudziestoparoletnim mężczyźnie „miłość mojego życia”? Albo „przekleństwo mojego życia”?

Nie, bo za krótkie jest ich życie.

A jednak nie wiedziałam, jak inaczej go nazwać. Miłość miała kolor jego oczu. Jego ustami wypowiadała słowa, w których szczerłość wierzyłam. Gdy się do tego przyznałam, twierdził, że miłość przemawia nie przez niego, tylko przeze mnie. Później patrzyła naszymi oczami i mówiła naszymi ustami już tylko nienawiść.

A poznaliśmy się bardzo kulturalnie, na wernisażu. Wybrałam się na wieczorną imprezę po raz pierwszy od gwałtu. Autorowi obrazów pisałam wstępy do katalogów – w romansowym ciągu sypiałam również z nim. Kiedy zaczął traktować naszą relację poważnie, odrzuciłam go. On chciał być Słońcem, wokół którego krążyłyby kobiety planety i żyły w jego cieniu, a taki stan rzeczy mi nie odpowiadał. Gdy ochłonęliśmy nieco i oddzieliliśmy prywatę od spraw zawodowych, współpracowaliśmy dalej. Zaproszenie na pierwszą wystawę w Warszawie wręczył mi z taką dumą, jakby chwalił się podbojem stolicy. Kręciłam nosem, że raczej nie przyjadę, lecz zwabił mnie informacją, że szefowa galerii zachwyciła się moimi tekstami. Podobno zastanawiała się, czy mnie nie zatrudnić. Nie zamierzałam przepuścić tak dobrze zapowiadającej się okazji i pojechałam mimo silnego przeziębienia. Po zapaleniu oskrzeli często chorowałam.

Dzień przed imprezą wyrzuciłam z szafy wszystkie ciuchy. Parę razy przewróciłam stos do góry nogami, aż w końcu zdecydowałam się na koszulową bluzkę, luźne spodnie i baleriny. Przecież w moim życiu wszystko się mogło zdarzyć, zwłaszcza gdy się ściemni, a w wygodnym stroju ucieka się szybciej...

W pociągu weszłam do przedziału, w którym zauważyłam młodą kobietę w moim wieku. Nie odwracała się od okna. Spomiędzy jej bujnych włosów wystawało małe zgrabne ucho. Dołączył do nas starszy mężczyzna. Starannie odwiesił długi płaszcz. Usiadł pod nim, naprzeciwko mnie. Pochylił siwą głowę nad notatnikiem i coś zanucił. Wariat? Wcisnęłam się w kąt przy drzwiach, żeby szybko się wycofać, jeżeli zrobi się niebezpieczny. Ale zapuściłam żurawia w jego notatki – na papierze nutowym utrwaliał ołówkiem podśpiewywaną melodię.

Przerwał mu konduktor, prosząc o bilety. Współpasażer słuchał szelestu papieru wygładzanego przez dłoń i trzaśnięcia drzwi, gdy kontroler opuścił przedział. Te dźwięki też zanucił po swojemu i zapisał. Skierował wzrok ku oknu, a później spojrzął na mnie i na innych podróżnych, którzy dosiedli się po drodze. Przedłużał te spojrzenia, jakby pragnął utrwalić w głowie opieranie podbródka na dłoni, zginanie łokcia, zakładanie nogi na nogę. Wyobrażałam sobie, że przekształca wrażenia w nuty. W ten sposób trafimy na jego pięciolinie!

Cieszyłam się, że moja fantazja ożyła. Wysiadając, pożegnałam się wesoło. Świat wydawał mi się rozśpiewany, roześmiany i twórczy. Kwiaciarka z Dworca Centralnego wytłumaczyła, jak mam się wydostać z podziemnego labiryntu i trafić na przystanek. A kobieta w czerwonej spódnicy, przypominającej odwrócony kielich tulipana, chętnie udzieliła mi wskazówek, kiedy powinnam wysiąść z tramwaju.

Dotarłam na miejsce bez komplikacji.

Czemu tak się bałam tej wycieczki? Czego tu się bać? – odetchnęłam.

Artystę zauważyłam już z daleka. Nerwowo krążył w tę i z powrotem, zupełnie jak ojciec czekający przed porodówką na narodziny upragnionego dziecka. Popchnęłam go do wnętrza budynku, żeby przyznał się, że spłodził wiszące na ścianach obrazy. On poznał mnie z właścicielką galerii.

– Ach, to pani! – rzuciła czterdziestolatka w szykownym kostiumie, przeprosiła nas i pomknęła dalej.

Gości przybywało. Panowie przemierzali sale równymi, dokładnie odmierzonymi krokami. Panie z godnością stąpały na obcasach.

Ekspresyjne portrety widziałam jeszcze w pracowni, a mimo to zatrzymywałam się przy większości z nich. Stroiły do mnie krzywe miny. Jeden nawet bezczelnie wytknął język.

Z szefową minęłam się ze sto razy. Zaczepić ją, czy nie zaczepić? – rozważałam. Przypuśćmy, że zapytam o pracę i powołam się na malarza. A jeśli coś mu się pomyliło i wyjdę na pomyloną? Albo skłamał, żeby zemścić się za stare kłótnie?

Postaci na płótnach nie potakiwały, ani nie zaprzeczały. Wzruszały ramionami i zdawały się wątpić wraz ze mną. Do pociągu powrotnego było jeszcze trochę czasu, więc przycupnęłam na schodach. Kelnerzy często przechodzili obok. Za każdym razem podsuwali tace. Odstawiałam pusty kieliszek i sięgałam po pełny. Znowu czary-mary – po półtroczej przerwie wino smakowało wybornie.

Mężczyzna wyglądający na mojego rówieśnika oparł się o poręcz i zainteresował, czemu siedzę sama. Wyjaśniłam, że wśród obecnych znam wyłącznie malarza, któremu piszę teksty, a biznesmeni to nie moje towarzystwo. W odpowiedzi usłyszałam, że sztuce potrzebni są i nawiedzeni, i krytycy, i przedsiębiorcy.

Zmierzyłam go wzrokiem. Był wyższy o pół głowy i dobrze zbudowany. Gdyby namalował swój autoportret, to raczej w ciepłych odcieniach: bursztynowych, ceglanych, karmelowych. Kolor jego tęczy był przypominał odcień koniczyny. Ciekawe, czy jest czterolistna? – zaciekawiałam się. Będę miała szczęście do podrywku? Przeszedł mnie znany dreszczyk, a za chwilę po brzuchu rozlało się ciepło. Lecz miłe poruszenie powstrzymała myśl, że nie jestem już Magdą Łacharską. Nie przerywałam ciszy, która zapadła, a mimo to nowy znajomy nie zostawił mnie. Przysiadł na schodku niżej i milczał dla towarzystwa. Aż nie wytrzymałam i zaczęłam zadawać pytania ze wścibstwem godnym ciotki Klotki. Okazało się, że facet też tworzy obrazy. Abstrakcyjne. Maluje od kilku lat. Z tym że dopiero niedawno zdecydował się przystąpić do

egzaminów wstępnych na ASP. Przygotowywał się do nich, pracując dorywczo i studiując psychologię.

Podsumowałam, że przyda się sztuce jako nawiedzony.

Przerwał nam mistrz ceremonii, zarządzając, żebym zrobiła z nim wywiad na tle ekspozycji.

– Trochę już wypiałam – próbowałam się wywinąć, lecz on zachowywał się, jakby nie słyszał.

– Igor, nakręcisz nas – rzucił do mojego nowego znajomego tonem niepozwalającym na sprzeciw, wręczając mu małą kamerę.

Zastanawiałam się, ile czasu się znają. Wyszło mi, że niewiele, bo Igor zapomniał języka w gębie i nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Pewnie przytłoczyła go władczość artysty... W końcu wiele osób nie widziało innego wyjścia, jak tylko się jej poddać. Ja jednak, nauczona doświadczeniem, potrafiłam zwalczyć poddańczy odruch. Tyle że w taki dzień nie wypadało rozkręcać afery.

Razem z zakłopotanym Igozem posłusznie podreptałam do galerii, z nadzieją, że wyłącznie mnie mój krok wydaje się chwiejny. Ustawiliśmy się, a ja zagadnęłam malarza, jak ocenia warszawską publiczność. Odparł, że tutejsi odbiorcy bardzo sobie cenią znaczenie sztuki. Jasne, po prostu ich stać, by za nią płacić, pomyślałam, ale udałam zaintrygowaną i zapytałam, czy w takim razie przeniesie pracownię do stolicy. Okazało się, że Łódź inspiruje go zbyt mocno, by ją porzucić, choć nie przestanie wystawiać w różnych miastach. I tak dalej, i tym podobne banialuki.

Wywiad wyszedł drętwo, dlatego w ramach pocieszenia wychyliłam kolejne trzy albo cztery kieliszki.

– Szefowa miała ze mną pogadać w kwestii pracy tutaj. I nic – zaliłam się Igorowi, w którym znalazłam wdzięcznego słuchacza.

– Nie martw się. Jest teraz zalatana. Może się mejlem odezwie? Umówicie się na spokojnie?

– Może. Jest noc świętojańska, a tu co? Ani pracy, ani puszczania wianków. Poszukasz ze mną kwiatu paproci? „Zakwita raz, tylko raz biały kwiat”^[5] – zaśpiewałam. W naszą stronę

odwróciło się kilka osób. Własny zachrypnięty głos uznałam za bardzo dobry i interesujący. Nareszcie się odstresowałam. – „Przez jedną noc pachnie tak” – kontynuowałam już głośniej. – „A-ach!”. – To westchnienie doskonaliłam po nocach. Dla lepszego efektu zakręciłam kilka ósemek biodrami. – „Przez taką noc Królowa Jeednej Nocy...”.

Na mój występ zwracali uwagę kolejni zwiedzający. Malarz popukał się w czoło. Igor chwycił mnie za rękę i próbował zaciągnąć na schody. Gdy opuściliśmy galerię, nareszcie zgodził się dołączyć do wyprawy po kwiat, co to pachnie „jak piołun i wanilia”. Wspaniałomyślnie obiecał, że później odprowadzi mnie do domu.

– Aż do samej Łodzi?
– Mieszkasz w Łodzi? To moje rodzinne miasto!
– No to: „Bądź gotowy dziś do drogi, drogi, którą dobrze znam...”^[6].

Po pijaku zawsze udawało mi się celnie dobierać piosenki, których nauczyłam się od ojca.

– Okej, jestem gotowy. – Wziął mnie pod ramię. – Przenocować cię?
– Niemoralna propozycja? Jestem chora i cię zarażę. – Głośno wydmuchałam nos na znak, że mówię prawdę.
– Spoko. Zaaplikuję ci kurację.
– Potrzebujesz królika doświadczalnego? To bierz.

Wyglupiało mi się z nim tak dobrze, że niemal natychmiast przestałam na siebie uważać. On nie wyrządziłby mi krzywdy.

Poszliśmy do autobusu. Przez całą drogę męczyła mnie czkawka.

– Moi współlokatorzy wstają rano do pracy – powiedział, przepuszczając mnie w drzwiach mieszkania. – Bądź cicho, bo jak się obudzą, będę miał przerypane.

– Do... – czknęłam głośno – ...brze. Przepraszam. – Przysłoniłam usta i zachichotałam.

Otworzył swój pokój.
– Wskakuj, będę za moment – przyrzekł.

Ułożyłam się na tapczanie. Już prawie zasypiałam, gdy poczułam szturchnięcie w ramię. Usiadłam. Igor podsunął mi pod usta mały pękaty kieliszek.

Odwróciłam głowę.

– Co to takiego?

– Pij do dna.

Zanurzyłam wargi. Smakowało paskudnie.

– Faj! Posoliłeś sok malinowy?

– Ale solą morską! Zobaczysz, że ci pomoże. Serio. Zawsze się tak leczę!

Myślałam, że po tej kuracji nie zdziwi mnie nic więcej. Jednak nie spodziewałam się, że on odda mi kołdrę i otuli się osobnym kocem.

Rano odkrywałam kolejne niespodzianki.

Naprzeciwko łóżka stał obraz – modre plamy przybrudzone czerwieniami i pokryte siatką podobną do rybackiej. Twórca przykleił ją do płótna. Środkowy fragment przypominał wyspę na oceanie z eksplodującym wulkanem. Zachwyciłam się pomysłem, odważnym doborem odcieni i niepokojącym nastrojem. Dzieło powstało na styku subtelności i wybuchu. Skojarzyło mi się z moim życiem.

Po stole wałały się tubki farb, kubki, pędzle. Przy ścianie leżała sarnia czaszka i stało lustro. Na podłodze tkwiła rozsypana sterta książek i magazynów. Człowiek, który tak mieszka, musi być twórczy, magiczny i szalony, stwierdziłam. Do tego bałaganu z równym mi rozmachem.

Właśnie odnalazłam bratnią duszę. Nie mogłam jej stracić. Na razie jednak stąpałam po niepewnym gruncie. Zachowałam czujność, żeby nie uczynić zbyt gwałtownego kroku, którego zaraz pożałuję. Gdy Igor się obudził, podziękowałam, że się mną zajął i nie skorzystał z okazji, by mnie przelecieć. Ostatniej uwagi, rzecz jasna, nie wypowiedziałam na głos. Tego, że zyskał mój podziw i szacunek, również nie, żeby za dużo sobie nie pomyślał. Odprowadził mnie na dworzec.

Przed odjazdem pociągu wymieniliśmy się numerami

telefonów.

Zadzwoił w następnym tygodniu, gdy przyjechał do Łodzi. Umówiliśmy się. Metoda małych kroków okazała się skuteczna.

Sporo spóźnił się na spotkanie, więc musiałam do niego wydzwaniać. Jeszcze bardziej zirytowało mnie, że zamierzał mnie zabrać do przyjaciółki. Mieliśmy u niej oglądać mecz z jego paczką – był pewien, że widzi się ze mną kiedy indziej, a im obiecał, że będzie. Nie obchodziła mnie jego skleroza, piłka nożna ani spędzanie popołudnia z obcymi ludźmi. Igor nie przestawał przeproszać i nalegał, żebym się zgodziła. Zależało mu na tym, nawet bardzo. Przestałam protestować.

Spełniły się moje najgorsze obawy. Już od początku czułam się w tym towarzystwie obco. Nikt nie odrywał oczu od ekranu, rąk od chipsów, a ust od puszki z piwem. Puszysta blondyna też nie. Komentator przemawiał w nieznanym mi języku.

– Dośrodkowanie na pole karne i...

– Gool! – wrzasnęli wszyscy oprócz mnie.

Syknęły otwierane puszki. Zachrupały chipsy. Ile jeszcze do końca? – zastanawiałam się.

Zerknięcie na ekran. Kolejne załamanie.

Tuż za mną, na zagłówku kanapy, leżała poduszka w kształcie serca. Z nudów wzięłam ją do rąk.

– Nie dotykaj! – Blondyna zerwała się z krzesła i rzuciła się na mnie całym ciężarem, podduszając obfitym biustem. – To od niego! – Przejechała ostrymi pazurami po moich rękach.

Oślupiałam, a ona się rozszłochała. Ukryła twarz w dłoniach i potruchtała do kuchni. Chyba po to, żeby naradzić się sama ze sobą, bo później ogłosiła:

– Nie najlepiej się czuję. I tego, no... Możecie sobie iść? Sorry, nadrobimy to.

Podobno właśnie przechodziła kryzys z narzeczoną.

– Co to za tłumaczenie! – zbulwersowałam się. – Nie miała się na kim wyżyć? Bez przesady! Mogła odwołać gości, jak ma humory. A tylko wszystkim popsuła zabawę!

Igor próbował załagodzić sytuację. Podrzucił nawet myśl,

żeby dalszą część meczu obejrzyć u niego, ale reszta chłopaków marudziła, że to bez sensu, bo nawet nie zdążymy na koniec. Stało na tym, że jeśli nie zdążymy, włączymy film. Ruszyła aukcja tytułów; królowały sensacje, thrillery i komedie, czyli wszystko to, czego nie cierpię. Tyle że ja byłam jedna, a wielbicieli krwawych i śmiesznych jatek – pięciu. Nie próbowałam się z nimi spierać, postanowiłam wymigać się jak najszybciej.

– Muszę wrócić do dziecka na noc – rzuciłam swobodnie, gdy przystanęliśmy przed skrzyżowaniem. – Jestem nianią, a szefowa z szefem idą dziś na imprezę. No to pa! – Pomachałam radośnie i skręciłam w ulicę obok.

– Magda, zaczekaj! – zawołał Igor i ruszył za mną.

Przyśpieszyłam i wsiałam do pierwszego lepszego tramwaju, który właśnie podjechał, i tyle mnie widziano. Ale Igor się nie poddał. Zatelefonował i zaproponował kolejne spotkanie. Zapowiedział, że będzie zupełnie inne.

I było.

Odwiedziliśmy pracownię, którą urządził w piwnicy. Tam przeglądałam jego prace oparte o ściany. On malował nowy obraz, a raczej atakował płótno rozwieszona na sztalugach – chlustał na nie farbą z puszki, z pędzla, szpachlował. Zachowywał się, jakby chciał je zniszczyć. Farba również walczyła ze sobą, ale gęste, zwarte plamy poddały się wreszcie płynącym po obrazie cienkim strugom, jeszcze niezastygłym. Dalej spływały już z nimi.

W drugim pomieszczeniu znajdował się stół z pociemniałego drewna, plastikowe krzesła ogrodowe i piec z odpadającymi kafkami. Wokół nich wały się puste butelki, niedomknięte pudełka po pizzy, szmaty, połamane parasole. W takiej scenerii Igor odpoczywał po malowaniu. A tego dnia, przy resztkach wczorajszej pizzy, dzielił się wrażeniami z praktyk w domu dziecka. Umiał dotrzeć do największych łobuzów, z którymi nikt nie dawał sobie rady. Traktował ich po partnersku, ale nie wchodzili mu na głowę. Ujęło mnie, że jest otwarty i próbuje pojąć motywy różnych zachowań. A nawet jeżeli nie potrafi ich pojąć, nikogo nie potępia. Dotarł zatem i do mnie. Nareszcie spotkałam

osobę, której mogłam się zwierzyć. Doszłam do wniosku, że skoro Igorowi nie są obce patologie, nie przerazi go również moja.

Zaczęłam od tego, że w dzieciństwie często ustawiałam z bratem domki z kart. Wystarczyła chwila nieuwagi, by jedna karta runęła na drugą i przewróciła resztę. Nasz prawdziwy dom był równie niestabilny. Zamiast bajek wysłuchiwałam wrzasków o pizdach i chujach. Okrzyki „pojechało cię” były uniseks. Kiedy wylegiwałam się w wannie, to nawet tam, jakby spod wody, rozbrzmiewało pytanie ojca: „Kiedy jadaczka ci się zamknie?”. Wycierałam się i docierał do mnie głos matki: „No, uderz mnie, uderz!”. Wciągałam piżamę i marzyłam o spokoju.

– Nie mogłaś wezwać policji? – zapytał Igor.

– Po co? Najbliższa komenda i tak nas znała. Pracowali w niej dobrzy koledzy ojca – wyjaśniłam.

Już mi nie przerywał.

Opowiadałam o tym, jak co rano moja matka wstawiała pranie, szorowała gary druciakiem, pucowała okna, froterowała podłogi. Mnie porządkowała z takim samym rozmachem. „Ściel łóżka, co za syf w twojej szafie, ogarnij burdel na stole, jeszcze nie odkurzyłaś? No, kurwa, no, ja pierdołę, czy ty mieszkasz w chlewie?”. Brat nie musiał tyle sprzątać. Z trudem przywracany ład burzył ojciec. Wparowywał po pracy pijany, ze śladami smaru na ubraniach, w ubłoconych buciorach, z zaimprovizowaną pieśnią na ustach. Często wyśpiewywał swoją autorską wersję: „Kwiaty we włosach potargał wiatr^[7], jesienne chmury znów pędzi wiatr w dalekie strony, w daleki świat^[8]”. Wieczorny wiatr przywiewał nierzadko jego kolegów z warsztatu samochodowego. A wtedy on, człowiek niezwykle gościnny, wcielał się w gospodarza doskonałego. Czym chata bogata. „Przynieś chleb i coś do chleba!”, rozkazywał matce, a do mnie mówił: „Madziu, chodź tutaj!”. Do dużego pokoju wchodziła zatem Madzia w sukience z kołnierzykiem, „Ładną kupiłem córuni? Cały dzień jej nie zapaćkała, taka z niej czyścioszka. Madzia, okręć się no! Pokaż, jak ładnie tańczysz”. Madzia tańczyła przez chwilę, robiła minkę typu „przepraszam, że żyję”, po czym dygała i wycofywała się do

dziecinnego pokoju.

Nie jestem sobą, nie jestem sobą, powtarzałam w duchu.

– Udała ci się ta mała lalka, no, no! – Zza ściany dobiegały mnie męskie głosy. – Jak nic innego ci się udała.

Pewnie z tego zachwyty koledzy ojca zaczęli przynosić słodycze. Wciąż mnie chwalili, więc zrobiłam się odważniejsza. Czerpałam coraz większą radość z ich zainteresowania. W jeden wieczór zgarniałam całą pulę łupów, którymi nie dzieliłam się z bratem. Przecież zagrabiłam je moim wdziękiem! A poza tym on był tak gruby, że nie powinien sięgać po łakocie. Matka powtarzała, że jest przysadzisty po ojcu. Ja byłam szczupła, niby po niej. Jasne. Po prostu nie wcinałam tyle co brat. Nikt by nie dał rady tyle wcinać. Przytrzymał talerz za brzeg i niezgrabnie dzielił jedzenie widelcem. Ładował kęs do gęby i mlaskał. Z ulgą go przełykał, chyba wdzięczny, że nie stanął mu w gardle. Równie zachłannie brał do ust następną porcję i następną, i następną, aż nie skończył posiłku. To znaczy, nie wsunął jeszcze dwóch dokładek. Wszystko bardzo mu smakowało, ale moje czekolady najbardziej. Pewnego wieczoru płakał na cały głos, że nie chce mu dać choćby jednej.

Do naszego pokoju wkroczyła matka.

– Magda, poczęstuj brata! Nic nie można w telewizji obejrzeć, bo ten wyje i wyje!

Udawałam, że nie słyszę. Obłoczyłam się książkami, zeszytami i bardzo pilnie odrabiałam lekcje.

– No, gdzie schowałaś słodycze?

Milczałam, ale ona nie odpuściła. Położyła łokieć na biurku i wrzasnęła:

– Głucha jesteś?! Gadaj, gdzie są!

Nie odpowiadałam. Mam zamek na ustach. Zaciął się i nie otworzę go, wmawiałam sobie.

– Bez łaski, sama znajdę!

Matka z impetem uchylała drzwiczki od szafek, objając jedne o drugie, i wysuwała szuflady komody. Później odwróciła się i zaczęła grzebać w szafie. Cichaczem odsunęłam krzesło od

biurka i przeniosłam się na łóżko. Położyłam się na brzuchu i wzięłam za kartkowanie *Baśni* Andersena.

– Czekolad nigdzie nie ma. Coś ty wykombinowała?

Matka wyrwała mi książkę.

Księżniczki uciekły w popłochu. Trzymały brzegi sukni w dłoniach, by nie przydeptać ich pantofelkami. Pewnie zdążyły, zanim matka zamknęła *Baśnie*. A ja zastygłam, jakby rzuciła na mnie urok. Tak się bałam, że nie mogłam przełknąć śliny.

– No, nie dogadam się z tobą! Uparciuchu ty! Ha, już wiem!

– W oczach matki pojawił się błysk, którego lękałam się najbardziej. Z całej siły szarpnęła mnie za rękę. – Podnoś się! No już!

Wstałam posłusznie. Z rezygnacją patrzyłam, jak otwiera łóżko. Wyrzuciła z niego poduszkę, kołdrę i śpiwór. Przetrzęsała pościel, aż pióra latały po pokoju. Pozostał już tylko stary zmechacony koc. Po rozłożeniu wypadł z niego worek od śpiwora. Nie był płaski.

– No i co, spryčiuło? – Matka wytrząsnęła z niego słodycze.

– No, bierz! Nażryj się! – Otworzyła jedną czekoladę. – No masz!

– Połamała ją i wpakowała mi kawałek do ust. – Łykaj, łykaj! Ty samolubie jeden, ty!

Zostawiła na podłodze rozpakowaną tabliczkę, a resztę zabrała ze sobą.

Odtąd musiałam oddawać jej wszystkie słodkości, które dostałam. Co z tego, jeśli nie mogła mi zabrać podziwu kumpli ojca? Uczyłam się dla nich nowych piosenek. Podpatrywałam ruchy tancerek w teledyskach na MTV; kiedy nikt nie widział, próbowałam powtarzać za nimi. Wspinałam się na palce przed łazienkowym lustrem. Przechylałam głowę, ściągałam i rozciągałam usta w kokieteryjnych minkach. Przygotowania trwały godzinami, lecz dawały wspaniałe efekty. Podczas występu posyłałam gościom wyćwiczone uśmiechy, wdzięczyłam się i wskakiwałam im na kolana. Zachowywałam się jak wszystkie lolitki. Matka nie zwracała na to uwagi. Dostawałam burę tylko wtedy, gdy potargałam włosy w tańcu. Nie przejmowałam się nią.

Ważniejsze były komentarze publiczności, co z tego, że podpitej: „Ja nie widziałem takiej dziewczuszki”, „Bystrzacha!”, „Nie no, do baletu by ją dać!”, „Albo na aktorkę, na piosenkarkę”, „Oj, stary, jak ja bym chciał taką córcię”, „Masz z niej pociechę, co?”. Ojciec pęczniał z dumy. Po mojej solówce puszczał na cały regulator koncerty Boney M., które nagrał na wideo. Z efektami specjalnymi – migotaniem ekranu telewizora i obłokami gęstego papierosowego dymu. Równie efektownie prosił mnie do tańca, przyklęknąwszy na kolano. Znaczył mój policzek mokrym buziakiem. Więził drobną rączkę w czerwonej, spoconej łapie i wymachiwał nią, jakby miał zamiar ją wyrwać z zawiasów.

Daddy, daddy cool!

– A synek gdzie?

– Chyba na dworze się bawi...

– Radek ma gorączkę, leży w łóżku! – wołała matka z przedpokoju, znad burej ściery do podłogi.

Znów jej nadeptali!

Wtedy mój brat spędzał większość czasu, biegając z kolegami. Tak się wybiegał, że trochę schudł. Podczas choroby nie mógł znieść, że tkwi w domu. Strugi łez ciekły mu po twarzy, gdy dzieci przy trzepaku wołały chórem: „Kto się bawi? Paluszek pod budkę, bo za minutkę budka szklana, zamykana”. Mnie takie zabawy nie obchodziły. Nie wisiałam na trzepaku. Nie grałam w gumę. Nie startowałam w zawodach, kto dalej skoczy z rozbujanej huśtawki. Nie wdrapywałam się na drzewa. Sukienka by się poplamiała, falbanki przy skarpetkach porwały, a lakierki pozdzierały. Jak bym wyglądała podczas występu? Takie straty i jeszcze wrzaski matki do kompletu? Nie i jeszcze raz nie. Po szkole wychodziłam tylko do biblioteki. Serię o Ani z Zielonego Wzgórza czytałam całymi dniami i po nocach. Kochałam tę nierozważną i romantyczną dziewczynę. Drugie miejsce w moim sercu zajęła Pollyanna. Choć czasem żał mi było spędzać słoneczne popołudnia wyłącznie w towarzystwie złożonym z książkowych bohaterek. Już, już miałam ochotę włożyć paluszek pod budkę.

Ale czy dziewczynki mnie przyjmą, a rozrabiaki nie będą dokuczać?

Zazdrościłam innym dzieciom przyjaciół i normalnych rodziców, a nosa zadzierałam, żeby tego nie okazywać. Zawsze musiałam być najlepsza w nauce. Nawet gdy domek z kart padał z wielkim hukiem, nie mogłam mieć nieodrobionych lekcji czy przyjść nieprzygotowana na sprawdzian. Czekałam na ciszę i zarywałam noce. Pozwalałam koleżankom i kolegom spisywać prace domowe i ściągać na klasówkach. Dzięki temu darzyli mnie pewnym szacunkiem i nie wyzywali od kujonek. Albo robili to wtedy, gdy nie słyszałam. Nikogo nie przyprowadzałam do domu. Skąd miałam wiedzieć, w jakim stanie wróci ojciec i z kim? W jakim nastroju będzie matka? Nikomu nie dałam nawet numeru telefonu. Załóżmy, że zadzwoni, a w moim domu będzie trwała awantura. Rodzice by nie ucichli. Prymuska i cholery latające w tle jak talerze? Niezłe połączenie. Ze wstydu pewnie przez miesiąc nie pokazywałabym się w szkole.

W piątej klasie podstawówki przestałam tańczyć przy *Daddy cool*. Matka mnie poparła; akurat kłóciła się z ojcem od tygodnia. Jego koledzy nie kryli zawodu. On głośno się zastanawiał, czy nie zrobić sobie nowej córki.

W wakacje poprzedzające moje pójście do gimnazjum jego czułość z niewinnej stała się winna. Aż za dobrze pamiętam pierwsze takie zdarzenie. Stałam przy kuchennym blacie. Przygotowywałam kanapkę, a on przeciskał się do lodówki. Położył mi ręce na talii i otarł się o mnie. Później nie raz i nie dwa, a kiedy tylko mógł, przechodził tamtędy, gdzie właśnie stałam. Zwykle wtedy, gdy byłam odwrócona, nie miałam jak się ruszyć, a matka była w szpitalu (pracowała jako salowa). Chyba nie muszę dodawać, która część męskiego ciała przesuwiała się po moim tyłku? Na szyi czułam oddech o woni wódki, a ojciec chrypiał:

– Posuń się.

Kuliłam się w sobie. Jego oczy wwiercały się we mnie, kiedy nachylałam się nad odkurzaczem i przeciągałam go po dywanie.

– Z Magdy kobitka się robi – komentował z obleśnym

uśmiechem, zaglądając mi w dekolt.

Telewizja już dawno wyposażyła mnie w wiedzę o molestowaniu. Gdy przypominałam sobie ojców zakradających się do pokoi córek i inne sceny z programów, strach ścisnął mi żołądek. Ale w obawie przed wyśmianiem nie mówiłam o tym nikomu. Matka urządziłaby zadymę, jakiej nawet nasz dom nie widział. Trudno było przewidzieć, po czyjej stronie się opowie. To zależało od tego, czy akurat złościła się na męża, czy na mnie. Po raz pierwszy w życiu cieszyłam się, że śpię z bratem; uznałam, że dzięki temu ojciec na pewno nie odwiedzi mnie w nocy. Bałam się zostać z nim sam na sam nawet w dzień. Nasłuchiwałam, w jakim wraca stanie. Jeśli żartował od progu, był pijany. Wolałam go pochmurnego, więc przewidywalnego. Dopóki przebywał w kuchni, nie wchodziłam do niej. Uważnie nasłuchiwałam. Łup! – walnięcie drzwiami od lodówki. Bach! – upadek na krzesło. Czajnik gwizdże na cały regulator. Wyłączy, czy ja będę musiała pójść? – denerwowałam się. Wyłączył. Objął łyżeczkę o brzeg szklanki z herbatą. Człap, człap do pokoju. Zalegał na kanapie i chrapał.

Dopiero wtedy ogarniał mnie spokój.

W szkole zapisałam się do wszystkich kółek zainteresowań. Wstąpiłam do samorządu. Żadna akademia nie mogła się obyć beze mnie. Obawiałam się, czy dam radę, ale zadowolenie z późnych powrotów do domu brało górę – chroniła mnie już obecność brata albo matki. Mimo wszystko sporo się stresowałam i cięłam nadgarstki. Po domowych kłótniach, przed ważnymi sprawdzianami, przedstawieniami, różnie. Nie za głęboko, żeby rany goiły się w miarę szybko. Niewiele brakowało, a zauważyłaby je nauczycielka plastyki.

Po kółku plastycznym przyszła moja kolej na mycie pędzli i kubków. Inni uczniowie już wyszli. W łazience również panowały pustki. Nie chciałam zamoczyć grubego rzemyka, którym obwiązywałam rękę, by ukryć sznyty, rozsypałam go więc i porzuciłam na brzegu umywalki. Nie spodziewałam się wizyty nauczycielki. Zastygłam z pędzlami trzymanymi pod kranem. Ona

zakręciła wodę. Oderwałam dłonie od zlewu i opuściłam rękawy czarnej bluzki. Widziała, czy nie widziała? – dumałam. Chyba jednak nie widziała, skoro nie zaproponowała mi wizyty u psychologa, tylko udział w olimpiadzie z historii sztuki.

– Nie wiem, czy się nadaję? – wahałam się.

– Nadajesz się, jestem pewna. Jesteś taka aktywna na zajęciach i wycieczkach.

Chodziło o to, że w muzeach nie zachowywałam się jak znudzony mops. Zwykle miałam mnóstwo uwag i pytań. Nic nie budziło we mnie takiej ekscytacji jak sztuka. Nie rozumiałam mojej klasy, bez wyjątku złożonej z mopsów.

– Ale proszę pani, ja nie mam wiedzy na olimpiadę. I z czego będę się uczyć?

Uwielbiałam patrzeć na obrazy, lecz konkurs widział mi się średnio.

– O to się nie martw. Pomogę ci w przygotowaniach.

Przyjdiesz do mnie jutro?

Nie mogłam uwierzyć. Bardziej niż do zdobywania wiedzy zapaliłam się do wizyty.

Nie pożałowałam.

Dom plastyczki zachwyił mnie bez reszty. Królowały w nim drewno, wiklina, szydełkowe narzuty i serwety, które dziergała gospodyni. Na ścianach wisiały obrazy malowane na szkłe, również wykonane przez nią. Doznania tak mnie osaczyły, że z ulgą opadłam na miękką sofę. Nauczycielka usiadła obok. Przypadkiem stuknęłyśmy się kolanami; zadrżałam lekko. Ona zgrabnym ruchem przechyliła czajniczek nad filiżankami. Jej koszula rozchyliła się ponętnie, gdy podawała mi jedną.

Nigdy dotąd nie trzymałam w dłoni tak kruchej rzeczy jak porcelanowe uszko. Nigdy nie piłam równie dobrej herbaty. W tym domu wszystko miało wdzięk, jak w *Ani z Zielonego Wzgórza*.

Ustaliłyśmy, o czym będę się uczyć na dodatkowych lekcjach.

Na każdej z nich nauczycielka z ogromnym zapałem opowiadała mi o artystach i ich pracach. Puszyste włosy, ścięte na

pazia, opadały jej na twarz, gdy pochylałyśmy się nad ilustrowanymi albumami. Przypominała Bellę, żonę i męża Chagalla, jej ulubionego malarza. Ja lubiłam zwłaszcza obraz *Urodziny*. Wyobrażałam sobie, że za chwilę Bella odsunie usta od ust kochanka i włoży bukiet do wazonu. Przekąsi kawałek ciasta, oderwie czarny pantofelek od posadzki i odfrunie. Jej lekkie, rozwibrowane ruchem ciało wydawało się przygotowane na taki rozwój wypadków. Unosząca się kobieta śmiało wyciągnie do mnie dłoń, a ja nie będę miała innego wyjścia, jak tylko polecieć za nią.

Leciałam zatem za ukochaną plastyczką, za moją Bellą. Na ziemię schodziłam natchniona, naładowana wiedzą i ciepłem. Często zostawałam dłużej. Zdarzało się, że do naszych niekończących się rozmów przyłączał się pan domu. Mimochodem głaskał żonę po ramieniu albo ujmował jej dłoń. Aż dotąd nie sądziłam, że między małżonkami może panować taka harmonia. Żałowałam, że z nimi nie mieszkam, fantazjowałam o adopcji.

Nie zajęłam wówczas pierwszego miejsca w olimpiadzie, ale znalazłam się w pierwszej dziesiątce. Na podium stanęłam wreszcie w trzeciej klasie gimnazjum. Moja nauczycielka była bardzo dumna. Zaprosiła mnie na własnoręcznie zrobiony tort, by uczcić wspólne zwycięstwo. Ledwo powstrzymałam cisnące się do oczu łzy. Dyrekcja szkoły wysłała do rodziców list gratulacyjny.

W tym czasie bardzo wrogo odnosiłam się do matki i ojca. Wtrącałam się w ich spory wyłącznie dla samej kłótni. Gdy jednoczyli się przeciwko mnie, czułam przyływ niezwykłej siły. Wyzywałam ich od życiowych miernot i nieudaczników. Oni uważali mnie za pyską sukę i niewdzięcznicę. Nawet w najpiękniejszych dla mnie chwilach nie okazywali radości. W naszej domowej wojnie brat zachował neutralność; w tajemnicy przed rodzicami kupił mi czerwoną różę na długiej łydźce.

A ja okupiłam tę olimpiadę sporą liczbą sznytów. Zmądrzałam już jednak i cięłam się po udach, tak żeby nikt nie dostrzegł ran. Dobrze, że w szkole nie było przymusowych zajęć na basenie. Przed lekcjami WF-u i po nich zawsze przebierałam się

w kabinie toalety. Inne uczennice również, dlatego że damska szatnia była zbyt ciasna, by pomieścić nas wszystkie.

W liceum nie wystartowałam w podobnym konkursie. Nie znalazłam czasu i chęci. Miałam sporo nauki do matury, którą chciałam zdać perfekcyjnie. Wchodziłam w pierwsze nieudane relacje z mężczyznami. Związane z tym uczucia nie pozostawiały wiele miejsca na inne sprawy. Mimo to wciąż interesowałam się sztuką i spotykałam się z ulubioną nauczycielką. To ona doradziła mi wybór kierunku studiów. Rodzice, naturalnie, wyśmiali ten pomysł, ale babcia stanęła po mojej stronie. Żeby matka i ojciec nie mieli pretensji, że jestem darmozjadem, załatwiła mi wakacyjną pracę w drogerii u znajomej.

Dzień, w którym dowiedziałam się, że dostałam się na historię sztuki, wspominam jako przełomowy. Nie chodzi mi o satysfakcję, tylko o fakt, że oto dostałam ogromną szansę. Nie mogłam jej zmarnować, działałam więc szybko, z ogromną determinacją. Udało mi się zdobyć miejsce w akademiku i uzyskać stypendium socjalne. Matka i ojciec byli zdumieni, gdy poinformowałam ich o wyprawie – a niby czego się spodziewali? – jednak nie wykazywali nią żadnego zainteresowania. Pocieszałam się, że zapewne uznali taki bieg rzeczy za naturalny. Innym razem miałam wrażenie, że chcą się na mnie zemścić obojętnością. Wychodząc z domu, nie powiedziałam, że będę tęsknić. Miałam kłamać?

Brat, odprowadzając mnie na dworzec, ze smętną miną ciągnął walizkę.

– Masz mokre oczy – powiedziałam mu na ucho, gdy umieszczał bagaż w przedziale.

Nieporadnie otarł je dłonią. Podałam mu chusteczkę i po raz pierwszy w życiu padliśmy sobie w ramiona. Donosiliśmy na siebie jako dzieci, nie byliśmy zbyt wylewni jako nastolatki, ale zawsze czuliśmy silną więź. W końcu oboje wytrzymywaliśmy jakoś z naszymi rodzicami. Dzieliliśmy bardzo małą przestrzeń, lecz się nie pozabijaliśmy.

Radek obiecał, że po maturze także wybierze studia w Łodzi.

Z najpotrzebniejszymi rzeczami wyjechałam więc z zatechłego miasta do większego. Kiedy poznałam ją lepiej, Łódź również okazała się zatechła. Trzy lata później mój brat złożył papiery na tamtejszą politechnikę i też wyprowadził się z domu. Zdziwiłam się, że dotrzymał słowa, bo musiał się mocno starać. Dotąd prezentował podejście: biorę wszystko, jakie jest, wszystko jest cacy, po co cokolwiek zmieniać. Łatwo dostosowywał się do ludzi, a każdy mógł go kształtować jak plastelinę. Ja rosłam niepokorna, ale przy tym zbyt wydelikaccona. Z byle jakich powodów zdarzało mi się piszczeć w kąciku, podobnie jak myszki, pi, pi, i ronić łezki. Po różnych przejściach czasem pragnęłam być zbirem (jak ojciec) czy złością (jak matka). Chciałam poczuć w sobie moc! Budowałam ją stopniowo, nieopatrznie traciłam i musiałam odnawiać.

Przez rok nie odwiedziłam rodziców. A oni nawet nie znali mojego adresu. Tylko Radek zaglądał do akademika. Opowiadał mi, że ojciec nie urządza imprez, a matka scen. Podobno złagodniała. Przypuszczałam, że mój brat oszukuje. Jednak wzruszyło mnie, że w zawołowany sposób nakłania do odwiedzin w domu. Za jego namową w końcu się tam pojawiłam. Na Gwiazdkę.

– O, córcia! Tyle nauki miałaś, że cię nie było? – zapytał ojciec, gdy stanęłam w drzwiach.

– Tak, tak, bardzo dużo. Ledwo się wyrobiłam, a w wakacje pracowałam. Naprawdę nie miałam kiedy zajrzeć – wyjaśniałam radośnie, choć chciało mi się płakać.

Matka nie komentowała. Musiała zdawać sobie sprawę, że nie mówię prawdy.

Później wzięłam udział w dorocznej szopce, że jesteśmy normalną rodziną. Matka chodziła niespokojna, dopóki podłogi nie błyszczały jak lustra. Wszystko polerowała z jednakową zaciętością, a Radek pomagał jej wytrwale. Ojciec ubierał choinkę i wołał mnie do siebie; usiłowałam go wypłatać ze zwojów kabli i świecidełek. Już w liceum przestałam się go bać. Teraz miał jeszcze bardziej czerwoną twarz, jeszcze bardziej fioletowy nos i

zgaszone spojrzenie. Trochę mu współczułam.

– A gdzie jest czubek? – zapytał.

– Z was są czubki – odparła matka. – To nie wystarczy?
Oto jak złagodniała! – zirytowałam się. Szkoda, że synuś jej nie słyszy!

– „Cuda, cuda, ogłaszają...” – podśpiewywał ojciec.

Po wigilii, gdy znaleźliśmy się sami w naszym pokoju, zapytałam Radka o najszcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Opowiedział o niedzielnych zakupach w markecie. On, taki katolik? – zastanawiałam się, czy dobrze słyszę. Tłumaczył, że lubił je, bo wtedy naprawdę byliśmy razem. Całą rodziną. A jakie jest moje najszcześniejsze wspomnienie?

Nie, nie występy. Najbardziej lubiałam, gdy matka mnie czesała. Nigdy nie posadziła mnie na kolanach ani nie przytuliła, ale włosy dopieszczała na całego. Dotykała ich tak delikatnie, jakby przeplatała cienkie nici. Kiedy już uprzedła wszystkie pasma, upinała je. A wtedy anioł-mateczka ustępowała miejsca sekutnicy.

Nie potrafiłam jej wybaczyć tych ciągłych przemian. Chyba nie darowałam jej niczego. Już łatwiej mi było przymknąć oko na to, co robił ojciec.

W pierwsze święto zdjęłam z półki w segmencie albumy i zabrałam je do pokoju. Na zdjęciach matki, tych z młodości, zauważyłam, że swoje włosy zaplatała identycznie jak później moje. Odziedziczyłam po niej kruczoczarne pióra. Było mi szkoda, że je ścięła i nastroszyła się razem z ich resztką.

Wpadła do mnie. Jej oczy ciskały błyski. O, to wcale się nie zmieniło.

– Po cholere ci moje zdjęcia? – Wyrwała mi z ręki jeden album, a pozostałe zebrała i przycisnęła do piersi. – Wianasz mi po rzeczach?

Pomknęła do kuchni, a ja za nią.

– Zostaw to! – zawołałam.

– To są starocie do wyjebania!

Szarpałyśmy się, ale postawiła na swoim. Jedyne pamiątki po

tym, jak była piękna i pogodna, skończyły w kubie ze śmieciami.

Wreszcie wróciłam do akademika i ogarnęło mnie uczucie ogromnej ulgi. Odtąd nie pokazałam się u rodziców ani razu.

* * *

Słowa wypływały ze mnie jedno po drugim, jakby się śpieszyły. A Igor co? A Igor zero. Żadnych tam „tak wiele przeszłaś”, „szkoda mi cię” ani głaskania po główce. Stwierdził, że wychowywali nas tylko ludzie. Mieli swoje problemy, wady i zalety. A ja przeszłości nie zmienię. Argumentował, że wiele osób ma drastyczne doświadczenia, na przykład wojenne, i z nich wychodzi.

– Nikt mnie nie ganiał z karabinem, to nie mam prawa cierpieć? – zaprotestowałam.

Jego zdaniem ja również zawiniłam.

– Niezły z ciebie będzie terapeuta! – zdenerwowałam się.

Kazał mi pomyśleć, co mogę tu i teraz zrobić z tym, co dostałam w dzieciństwie.

Słowa były zbyt ogólnikowe. Pewnie wykuł je na blachę z podręcznika.

– Przecież robię – szydziłam. – Zaraz przekonasz się jak!

Gdy poznawał historię Magdy Łacharskiej, jego oczy zamieniły się w ślepie; plotkara z wesela miała rację, gdy wspomniała o takich. Aby stłumić ich pożądlivy blask, powiedziałam mu o żyletce. Poprosił, żebym do niego dzwoniła zawsze, gdy będę miała ochotę zrobić sobie krzywdę.

I wtedy wybaczyłam mu i uogólnienia, i ślepie. Poczułam akceptację. Stałam się lżejsza, mimo że zrzuciłam z siebie niecały ciężar. Pominęłam ucieczkę przez okno z domu gwałciciela i odłożyłam na bok biseksualizm. Ale nawet bez tego powiedziałam mu naprawdę dużo.

Czy żałowałam? Nie. Jeszcze nie.

Rozdział V

Fantazja

Telefonowałam do przyjaciela również wtedy, gdy pragnęłam posłuchać jego głębokiego głosu. Najpierw rozbrzmiewał w słuchawce, a później wewnątrz mojego ciała. Od tych wibracji przechodziły mnie miłe dreszcze. Niecierpliwie czekałam na rozmowy i na kolejne spotkania. On nigdy nie stawiał się na czas w umówionym miejscu – przeszkadzało mi, że traktuje mnie w ten sposób – jednak nie zignorowałam go ani razu. Wolałam nie ryzykować. Nie w każdy weekend pojawiał się w Łodzi. Nie darowałabym sobie, gdybym sprowokowała dłuższą rozłąkę.

Tym razem zasiedział się u znajomych, więc podał mi adres, żebym po niego wstąpiła.

Stałam na podwórku jakich wiele. Szkielet pordzewiałego trzepaka, metalowe śmietniki z uchylonymi klapami, poszarzałe kamienice, na których łuszczył się tynk. Już dawno powinien odpaść. Trzymał się ścian, jakby wisiał na ostatniej nitce. Pokrywały go bohomazy. Kibice znaczyli nimi swój teren, zupełnie jak bury pies obsikujący bramę. Po załatwieniu potrzeby podbiegł do śmietników, płosząc gołębie. Zwiesił łeb i wsadził nos w zatłuszczony papier, przywiany na bruk przez wiatr. Merdając puszystym ogonem, napełnił się zapachem tego, co zaschło w kilku plamach. Ale jego żołądek pozostał pusty.

Igor wciąż nie przychodził. Uznałam, że pora na to, żeby on na mnie poczekał, i opuściłam podwórko. W sklepie za rogiem kupiłam psu kilka plasterków wędliny. Jadł pośpiesznie, aż mu się uszy trzęsły. Wzięłam też bułki dla ptaków. Gdy mój przyjaciel wreszcie wybiegł z klatki schodowej, razem z nim wyfrunął gołąb; rozdrabniałam pieczywo, a on furkotał przede mną popielatymi skrzydłami. Niemal poczułam, jak ostry dziób rysuje mi szramę na twarzy. Niezgrabnie uchyliłam się i zakląłam. Niepotrzebnie zasłoniłam usta, bo tylko cofając czas, zatrzymałabym ulatującą z nich kurwę. Zapiękły mnie policzki.

Igor nie poświęcił uwagi mojemu zakłopotaniu. Powiedział, że szkoda mu miejskich gołębi, które walczą o przetrwanie.

Oszałamiał mnie intensywny zapach jego perfum. Próbowałam wziąć się w garść i stać się pewniejsza siebie, pyskata, jakakolwiek, byle nie zawstydzona i zadurzona. Odparowałam, że gołębie są podłe i chciwie rzucają się na każdy okruszek. On uważał, że stają się takie przez ciągłe wzajemne starcia. Że karmiąc je, trzeba podawać im bułki tak, by najadł się każdy.

Ja również czułam się niedokarmiona. Może wrażenie niedosytu nigdy mnie nie opuszczało?

Podobno ofiarom gwałtu trudno powrócić do pełni życia erotycznego. A ja chciałam osiągnąć ten stan. Skręcałam się z ochoty na seks, ale Igor jakoś go nie inicjował. Ja zresztą też nie. Przecież on zna moje przygody. A co, jeśli uważa mnie za zdzirę? Kto chciałby kochać się ze zdzirą? – zadręczałam się. Co ja się będę przejmować. Zostaniemy przyjaciółmi, tłumaczyłam sobie, by za moment sprzeciwić się temu. Jeżeli chcę z nim wylądować w łóżku, powinnam wystawić siebie niczym zdobycz, kombinowałam. I obserwować go, zachowując twarz pokerzystki. Dlaczego umiałam grać w tę grę tylko z tymi, których nie kochałam? Teraz, przez pomieszanie rozumu i zmysłów, sama nie wiedziałam, co robię, a co powinnam. Zagubiona, zdałam się na los.

Tego wieczoru nie dał mi szansy na sam na sam z ukochanym. Podesłał natomiast jego kolegów, z nowym zapasem piwa i ochotą na głośne słuchanie rapu. Uszy mi puchły.

– Załatwiłeś, co trzeba?

– Ja bym nie załatwił? Miał ostatnią porcję, ale po starej znajomości. – Igor sięgnął do kieszeni dzinsów. Wyjął stamtąd torebkę z suszem. Wziął trochę trawki, ubił w kulkę i wsadził do szklanej lufki. – Kto ma ogień? O, dzięki.

Zapalił i wyciągnął rurkę w moją stronę.

– Dziękuję, nie chcę – odpowiedziałam tekstem, którego nauczyłam się na szkolnych lekcjach z psychologiem. Na tablicy

widniał wtedy temat „Profilaktyka uzależnień”.

– Żartujesz? To czysta gandzia jest! Bardzo dobry towar. Spróbuj sobie.

Dokładnie takie scenki ćwiczyliśmy w parach. Zastosowałam zalecaną metodę „zdarłej płyty”.

– Nie, naprawdę nie. – Psycholog biłby mi brawo. – Nawet nie umiem palić.

Wpatrywałam się przy tym intensywnie we własne odsłonięte kolana, jakbym chciała przewiercić w nich dziurę wzrokiem.

Oparłam palce stóp o podłogę, a piętami kreśliłam w powietrzu koła. Psychologowi opadłyby czerwone od oklasków ręce, gdyby widział, jak okazuję niezdecydowanie.

– To nic trudnego. Nie chcesz się nauczyć?

– Nie. Nie najlepiej się czuję. – Nadal nie podnosiłam oczu.

Wszelkie używki kojarzyły mi się z jednym – z niszczącym nałogiem. Znałam jego skutki zarówno z teorii, jak i z praktyki. No dobrze, skutki zażywania narkotyków wyłącznie z teorii. Jednak *Dzieci z Dworca Zoo* i inne pamiętniki ćpunów, które pochłonęłam w gimnazjum, zrobiły swoje. Szczególnie przerażały mnie opowieści takiej treści: bohaterowie kochają się, są nierozłączni i razem przechodzą od miękkich narkotyków do twardych. Brakuje im pieniędzy, więc ona zaczyna się prostytuować. Sięgają coraz bliżej dna. Happy endu brak – jedno z nich umiera, drugie jedzie na sygnale na odwyk.

Czy aby jednak nie przesadzałam? Igor nie był zbiegiem z Monaru ani nie kazał mi zarabiać pod latarnią na działkę heroiny. Tylko i wyłącznie proponował marihuanę. Raz, nie zawsze. Kiedy więc zapytał: „A weźmiesz macha prosto ode mnie?” zmieniłam zdanie.

Powiedział, żebym przysunęła się bliżej; dla desperatki pragnącej owej bliskości los okazał się wyjątkowo litościwy. Nie zmarnowałam jego daru i przesiadłam się na kolana Igora. Otworzyłam usta, a wtedy on wpuścił dym między moje wargi. Zaciągaliśmy się i oddychaliśmy tym samym, choć nasze wargi się nie zetknęły. Magia!

Sytuacja wydawała mi się niesłychanie romantyczna.

Lufka wędrowała z rąk do rąk. Kiedy paliliśmy, wyobrażałam sobie namiętne sceny miłosne, wiadomo z kim. Na siłę powracałam do rzeczywistości, czyli następnej porcji zioła, a ono prowadziło mnie w coraz bardziej miękkie rejony, pozbawione kątów ostrych. Niesamowite! Pierwszy raz porozumiewałam się z całym towarzystwem bez słów. Później nawet wypiliśmy z nimi kilka piw. A rap zaczął mi się podobać; jego rytm uznałam za zmysłowy.

Podniosłam się z krzesła.

Moje zaproszenia do tańca nie pozostały bez odpowiedzi. Kokietowałam mężczyzn, nasycając się ich pożądaniem, którego nie dawał mi ten jeden jedyny. Wybrany. Nie dawał się nawet wciągnąć w tańce. Obserwował nas z powątpiewaniem. Popisywałam się zatem, by dostrzegł wreszcie, że mocno działam na innych, ale on wyszedł do kuchni. Pozostałam na miejscu i nadal się wyginałam, bez żadnej satysfakcji. Przypominałam klauna, który odstawia swój numer do końca.

Następnego dnia głowa pękała mi z bólu gorzej niż na kacu. Jako że po kolejnych zadymionych i zapitych spotkaniach miałam identyczne dolegliwości, przestałam palić. Jednak wkrótce wyszło na jaw, że opary marihuany działają na mnie równie źle.

– Twój problem – podsumował bezlitośnie Igor, gdy mu się przyznałam. – Możesz wyjść, jak zaczniemy jarać. Czego się, przepraszam bardzo, spodziewałaś?

Z trudem, bo z trudem, jakoś powstrzymałam złość. Już wtedy byłam nieźle uzależniona od tego faceta. A na zajęciach profilaktycznych nikt mnie nie przestrzegął przed takim typem nałogu, choć jest on najbardziej niebezpieczny. Żyłam w przeświadczeniu, że Igor to przyjaciel nie do zastąpienia. Jako człowiek, z którym stworzyłam głębszą więź, wniósł w moje życie wyjątkową wartość. Nieporównywalną z innymi wartościami, otrzymanymi od innych ludzi. Do tego stawał się powoli nieodłączną częścią mnie.

Miałam z tego zrezygnować? Wydawało mi się, że z czasem

to on zrezygnuje z używek. Dla siebie. Albo i dla mnie. Dla nas.

Zaprosił mnie do Warszawy; dostał tydzień urlopu i chciał go spędzić ze mną. Moja cierpliwość została nagrodzona!

Obiecał, że wyjdzie na dworzec.

Ciągnęłam walizkę przez tłum, pokrzykiwania, zaduch. Przeszłam Centralny wzdłuż i wszerz, rozglądając się na wszystkie strony, ale nigdzie nie zauważyłam Igora. Zastanawiałam się, czy znów czegoś nie pomylił. Termin? Godzina? Bo na pewno nie wystawiłby mnie do wiatru. Zachodziłam w głowę, co mogło się stać.

Wybrałam jego numer. Nie odbierał. Struchlałam. Spróbowałam raz jeszcze. Kiedy rozległo się: „Halo”, odetchnęłam przez chwilę. Pokajał się, że nie przyszedł, i jeszcze bardziej zmartwionym głosem oznajmił, że wywołał w domu pożar. Serce podeszło mi do gardła. Przecież mówi do mnie, czyli żyje, próbowałam się uspokoić. Najważniejsze, że żyje!

– Co stało w płomieniach?

– Kuchnia. Kuchnia gazowa.

Zostawił na niej garnek z gotującym się budyniem i wyszedł do pobliskiego sklepu. Kiedy wrócił, wszystko już było zadymione. Na szczęście nie spłonęło nic oprócz garnka.

Udzielił mi wskazówek, jak mam dojechać na jego osiedle na Pradze. Dodał, żebym kupiła cif i gąbki.

Nie sprzeciwiałam się. Jego problem był moim problemem. W głębi duszy liczyłam, że w miarę szybko doprowadzimy mieszkanie do porządku i będziemy mieć czas dla siebie.

Pod drzwiami doprowadził mnie swąd spalenizny. Nie wiedziałam, czy w progu powitał mnie osmolony diabeł w czerwonych bokserkach, czy Igor. Kuchnia prezentowała się jak po eksplozji – ściany i sufit pokrywały ciemne plamy, na podłodze kłębiły się brudne szmaty. A diabeł rzucił mi się na szyję i powiedział, że jestem kochana. Wielkodusznie wręczył mi własną podkoszulkę z Jamesem Deanem, żebym przebrała się do sprzątanania.

Miałam na sobie najnowsze rurki. Oцениwszy, że dół

koszulki nie sięgnie za blizny na udach, z żalem spisałam spodnie na straty. Weszłam na taboret i z całą energią zabrałam się do szorowania gąbką sufitu i górnej części ścian. Ręce mi więdły, więc się zmieniliśmy; gdy Igor zajął się górą, ja przeszłam na dół. Na głowę kapały mi cif i syf. Zwinęłam włosy w węzeł i przykryłam je reklamówką, związując jej brzegi przy karku.

Mimo absurdalnej sytuacji poczułam się całkiem swobodnie. Uruchomiłam laptop i na YouTube znalazłam piosenkę, która moim zdaniem najlepiej pasowała do tej chwili, *Moją fantazję*.

– Zabawiłeś się na całego, co? – dogryzałam, ale mój przyjaciel się nie obraził.

„Moja fantazja, lalalalala”^[9], nucił ze mną, komicznie naśladowując cienki głosik.

Jednak ściany pozostawały szare, a robotnikom ubywało sił. Tylko James Dean z nadruku na T-shircie trzymał formę, przystojny i zuchwały. Popatrzył na Igora wyzywająco, gdy zaproponowałam, żebyśmy wszystkie ściany przemaalowali na czarno, najlepiej z czerwonymi ognikami na dole. Wcześniej ustaliliśmy, że pokrycie farbą śladów po pożarze będzie najlepszym wyjściem, skoro zmywa się je z takim trudem. Doprowadziliśmy się do ładu i pojechaliśmy do Obi.

Na półkach z farbami czekały na nas: „alabastrowy ametryn”, „zwycięski aleksandryt”, „miłosne wyznanie number 5”, „różany radonit”, „wysmakowany aragonit”. Do wyboru, do koloru. Tyle że my potrzebowaliśmy zaledwie prozaicznej bieli. Igor poszedł po radę do obsługi, zostawiwszy mnie przy poetyckim regale. Do moich uszu dobiegły dwa głosy, damski i męski.

– Co bierzemy? „Pocałunek gejszy” czy „namiętny wieczór”?

Odwróciłam się z zainteresowaniem.

Kobieta stała bokiem. Od razu spostrzegłam, że nie włożyła biustonosza. Jej sutki sterczały tak, jakby chciały przebić ubranie. Przy wysokim mężczyźnie, podobnym do tyczki, wydawała się jeszcze bardziej cielesna.

– Sama nie wiem... – Nie potrafiła się zdecydować.

Jak to: nie wiesz? – pomyślałam. On pragnie twoich pocałunków pod osłoną nocy. Ja też chciałabym, chciała. Bierz obie farby!

Kobieta podrapała się po plecach, a piersi wyprężyły się maksymalnie. Wyobraziłam sobie, że pocieram je wnętrzem dłoni przez materiał. Aż w końcu ściągam z niej koszulkę i...

– Ducha zobaczyłaś? – Igor zamachał mi dłonią przed oczami; niósł wiadro z „bielą antyczną”. – Co nic nie mówisz? To twoi znajomi? – Wskazał na parę, która nie dawała mi spokoju. – Boisz się podejść?

– Nie, to tylko... To tylko piękna nieznajoma. – Wzięłam głęboki oddech i wyjawiałam mu kolejną tajemnicę.

Mój coming out odbył się wśród pędzli i wałków malarskich. Mój przyjaciel wybierał stosowne, a ja mówiłam, kiedy na nowo odkryłam swoje skłonności i jakie przeżywałam wtedy rozterki.

– Nie wstydz się bi. To twoja natura. Nie usypiaj jej, tylko ją rozwijaj.

Ujęła mnie ta tolerancja, dlatego po powrocie do mieszkania nie przestałam wspierać remontu u nieszczęśliwego malarza.

– Dobrze, że nie wysadziłeś bloku w powietrze – podsumowałam. – „Lalalala, fantazja, fantazja, twoja fantazja...”.

Odwróciłam się zamaszyście i nagle wpadłam na obcego mężczyznę. Ze zmarszczonymi brwiami i skrzyżowanymi ramionami nie wyglądał zbyt fantazyjnie... Na szczęście nie pochlapałam go farbą, która właśnie skapywała z pędzla na posadzkę.

– Co tu się dzieje? – warknął przybysz.

– Spaliłem garnek.

– No, nieźle.

– Pracujemy nad tym – zapewnił Igor.

Jego współlokator nie zapytał o nic więcej. Zostawił nas samych.

Malowaliśmy do północy – ja nieudolnie, mój przyjaciel całkiem sprawnie. Farba dobrze pobieliała ściany i po piekle nie pozostał ślad. Przy okazji pobieliliśmy się przypadkiem i my, z

tym że bliżej było nam do nieboskich stworzeń. Zwłaszcza po wyczyszczeniu lodówki, mebli, blatów i podłogi. Igor stwierdził, że nie może patrzeć, jak szoruję na kolanach, wzruszając mnie tym wyznaniem tak bardzo, że nie wstałam, dopóki posadzka nie lśniła czystością.

Po sprzątaniu wyszliśmy na balkon, żeby pooddychać świeżym powietrzem.

Po intensywnym dniu hałas silników był jak łagodny poszum fal. Pociemniałe niebo kojarzyło się z morzem nocą. Opływało nas ciepłe powietrze. Światła w oknach bloku naprzeciwko zapalały się i gasły, mrugając według nieznanego rytmu.

Igor przerwał ciszę wyznaniem, że obleciał go strach przed kolejną eksmisją. Wciąż się przeprowadzał. Powody? Beznadziejni współlokatorzy, podwyżka czynszu, zalanie przez sąsiadów, inwazje karaluchów, a teraz pożar. Pech, po prostu pech. Pocieszałam go, że kuchnia wygląda jak nowa, za co powinien otrzymać podziękowania. On nie był równie naiwny.

– Wypierdolą mnie na zbity pysk, zobaczysz. Wszystko mogło pójść z dymem... Nie można mi ufać.

Rozbroiła mnie ta nagła bezradność. Przytuliłam Igora, a on z uśmiechem zdrapał plamkę farby z mojej skroni.

Kiedy wyszłam z łazienki, na stole paliły się świece, oświetlając sarnią czaszkę; Igor całkiem niedawno pomalował ją na błękit i obsypał złotym proszkiem. Brokat zalśnił na dłoni, gdy dotknęłam kościstego łebka.

W miękkiej pościeli ogarniała mnie coraz większa błogość. W szybie rozmywały się odbicia ogników świec. Do snu kołysały mnie strugi wody za ścianą. To Igor brał prysznic.

Ocknęłam się, gdy poczułam na sobie męskie dłonie. Gładziły moją skórę niczym bezcenną tkaninę.

Niecierpliwie odsłanialiśmy ciała. Poznawaliśmy siebie dotykiem, ustami, językami. Otworzyłam zaciśnięte palce, by Igor wplótł pomiędzy nie swoje. Chwyciły. Popatrzyłam mu głęboko w oczy. Zobacz, jak w moich niespokojnie kołysze się woda. Wpadnij w mój nurt, myślałam. A on poruszał się we mnie

delikatnie, później coraz zapalczywiej, jednak nie boleśnie. Przez moje ciało przepłynęła wstrząsająca energia, przejmująca nade mną władzę. Stawałam się nią cała. Mogłam tętnić wraz z nią albo zniknąć. Jednak nie zniknęłam.

– Kocham cię – powiedziałam.

– Też cię kocham – usłyszałam w odpowiedzi.

Nadszedł nowy dzień, a my spędziliśmy go w łóżku.

Zatraciliśmy się w sobie. Nie mieliśmy już imion. Nie wiedziałam, gdzie jest „ja”, a gdzie „ty”. Nastąpiła noc i znów poranek, lecz dla mnie pory dnia już straciły znaczenie. Złąły się w jedno kosmiczne szczęście. Mój partner całował poczerwieniałe ślady po moich skaleczeniach i poblądłe blizny. Cieszyłam się, że oswoił mnie właśnie on. Mruczałam mu do ucha, uległa. Potrzebował poczucia, że dominuje.

Jako pierwszy uchylił mi drzwi do zmysłowego raju i pierwszy zatrzaskał je na cztery spusty. Stwierdził, że nie możemy tak spędzić kolejnego dnia. Zapytałam, czy w nas wątpi, i przylgnęłam do niego, a wtedy wyznał, że i on ma tajemnice.

Zmroził mnie niepokój. Odsunęłam się. Otulona w kołdrę zaciągniętą pod samą brodę wypytywałam, czy chodzi o studia, zdrowie, rodzinę. Zapewniałam, że można mi powiedzieć wszystko. Zwlekał. W końcu wykrztusił, że wcale nie wziął urlopu. Domyśliłam się, że go wyrzucono.

Okazało się, że zwykle w pracy spędzał miesiąc i szukał nowej.

Kelnerował w restauracji nad Wisłą, która w sezonie cieszyła się sporym powodzeniem. Ucinał tam sobie pogawędki z klientami i żartował; pochwalił się, że wręczali mu najwyższe napiwki. Ale jego szef denerwował się, że Igor obsługuje zbyt mało osób. Wyobraziłam sobie tę sprzeczkę – pewnie mój mężczyzna nie wytrzymał, uniósł się i po sprawie. Miał naturę artysty, więc z trudem dostosowywał się do wymagań.

Rozumiałam go doskonale.

Położył mi na kolanach ciężką, zmęczoną głowę, a ja przeczesywałam palcami jego włosy. Przymknął powieki. Miał

takie długie rzęsy! Pamiętałam, jak trzepotały na moich policzkach. W dzień były skrzydłami motyla, w nocy – ćmy. Czy to moje dłonie są zimne, czy jego czoło rozpalone? Nachyliłam się nad nim, aż kilka moich kosmyków opadło na twarz Igora. Odgarnął je i obsypał mnie pocałunkami. Potem przemawiałam do niego łagodnie, jakbym opowiadała mu bajkę na dobranoc, a nie przedstawiała nowy plan. Przekonywałam go, żeby jak najszybciej przeniósł się do Łodzi. Miał tam mieszkanie, więc tylko poszuka pracy i wszystko się ułoży. Nie wyjawiałam mu, że moim zdaniem pożar nam sprzyjał. Nie tylko nas zbliżył, ale też stworzył szansę, że częściej będziemy razem.

Już w akademiku odebrałam telefon, którego się spodziewałam – z wiadomością o eksmisji i przymusowej przeprowadzce. Mój ulubiony głos nigdy dotąd nie był tak smutny.

Pojechałam po ukochanego na dworzec.

Ledwie wróciliśmy, a poprawił mu się humor. Natychmiast dołączył do swojej paczki, „żeby trochę odsapnąć”. Wszyscy byli zadowoleni, tylko nie ja. Jego znajomi polubili mnie po niedawnych występach, więc czekali na kolejne. Cóż, nietrzeźwa zintegrowałabym się nawet z pniem drzewa i uznała go za bratnią duszę (co nie oznacza, że by nią pozostał). Nie przepadałam za paczką Igora, mimo to dałam się namówić na wspólną wycieczkę do podłódzkiego lasu w Łagiewnikach. Najwyżej sprawdzę, czy uda mi się porozumieć z pniami, pomyślałam.

Zatrzymaliśmy się na polanie wśród brzoź. Oni usiedli, ja wyciągnęłam się wśród traw. Przesuwałam opuszkami palców po suchych źdźbłach. Listek dmuchawca łaskotał mnie w kostkę. Mrówka wędrowała z mojego nadgarstka w stronę ramienia. Złapałam ją w połowie drogi i wsunęłam między wargi. Zawsze chciałam sprawdzić, jak smakuje; okazała się kwaśna. Pszczoły lgnęły do pachnących rumianków. Pieściło nas słońce. Byłam ociążała od promieni i upalnego powietrza.

Z góry leciały na mnie słowa.

– Niebo mnie wchłania.

– Nie mam pewności, czy jeszcze wrócę.

– Tak się nie wróci, jak było. Nie ma wtedy czasu.

– To jest kusząca nierzeczywistość.

W życiu bym nie przypuszczała, że oni tak poetycko pojmują świat. Złudzenia ze mnie opadły, gdy dowiedziałam się, skąd biorą natchnienie.

– Masz jeszcze kwas?

– Mam. Magda, chcesz?

– Nie. – Podniosłam się i otrzepałam ubranie. – Igor, mogę na słówko?

Odeszliśmy na bok.

– Ćpałeś z nimi? – wyszeptalam.

– Tak.

– Co ja tu robię?

– Mnie się pytasz? Nie podoba ci się, to idź. – Użył ulubionego argumentu.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do znajomych.

A ja pozostałam bezradna pośrodku lasu. Nawet nie wiedziałam, gdzie jest najbliższa droga do miasta.

– Zaczekaj! – podbiegłam.

Znów mu odpuściłam. Po raz kolejny nie okazywałam złości, żeby się do mnie nie zraził. Dobra, niech odreaguje! – przekonywałam samą siebie. Stracił mieszkanie, pracę, nie dostał się na ASP. Dręczy się niepowodzeniami. Potrzebuje akceptacji, wyrozumiałości. Minie mu chandra i znów będzie dobrze.

Wybaczenie przynosiło mi ulgę. Wierzyłam, że moje poświęcenie zostanie nagrodzone, jak wcześniej cierpliwość. Później wybaczałam coraz więcej, a i moja wiara stała się silniejsza. Teraz wiem, że takimi kretynkami bywają wyłącznie zakochane kobiety.

Wieczorem wróciliśmy do mieszkania Igora, gdzie wszyscy oprócz mnie palili zioło. Po godzinie zjawiała się blondyna, która również okazała się wierną fanką marihuany. Słodkawy dym zapłątywał się między włosami, osadzał na nosie, policzkach, wargach. Zaraz nim przesiąknę i rozboli mnie głowa, stresowałam się, jednak smugi leciały dalej, poza mnie.

Widziałam twarze przykryte maskami. Wycięte na usta otwory przypominały uśmiechy. Każda maska trzęsła się od sztucznej radości. Ich chichot hulał po mojej głowie. Stawał się nie do wytrzymania.

– Cóż, nie dziwię się, to nie jest nic przyjemnego do oglądania. Jak człowiek jest zjarany, to jest beznadziejnie głupio szczęśliwy. Mnie ta atmosfera zadowala, jest absurdałna i leczy złe samopoczucie – komentował moje pretensje Igor.

Tak się wyleczył marihuaną, że nawet znalazł nową pracę. Został dilerem. Teraz jarał zawodowo, by sprawdzić jakoś towaru.

– Magda, to tylko zioło. Od tego nie da się uzależnić. – Próbował mnie uspokajać, ale nic z tego. Właśnie przestałam stronić od konfliktów.

– Da się! Psychicznie! Czytałam o tym!

– To za dużo się naczytałaś, skarbie.

– Złapią cię, wsadzą do paki i wezmą na odwyk!

– Filmy też przedawkowałaś. Może będziesz mi wysyłać paczki?

– Przestań! – Ten cynizm na dobre wyprowadził mnie z równowagi. – Ty się chyba uczyłeś o nałogach? Nie mogę tego pojąć!

– Kochanie, ja też tego nie pojmuję. To i ty nie musisz.

Wtedy po raz pierwszy obraziłam się naprawdę. Przestałam chodzić z Igorem na imprezy i bywać u niego. Na każdej szybko znajdował chętnych na zioło i kwas. Naszą bliskość zastąpiły niedopowiedzenia, obojętność, wiadomości bez odpowiedzi.

Na odwyku od mojego mężczyzny czułam się nikomu niepotrzebna. Próbowałam sobie przypomnieć ciepło, które mi dawał; przymykałam powieki, przeciągnęłam policzkiem po ramieniu, czekałam... Pojawiały się tylko obrazy wspólnych chwil, ale ciepło nie przychodziło. A tam! Niech się dzieje, co chce, byleby mnie kochał! – stwierdzałam. A po tygodniu ponownie wspinałam się na palce i owijałam ręce wokół jego szyi. Czułam szorstki policzek na moim i pochłaniałam usta. Moje tętno przyspieszało. Obejmowałam wargami ucho. Język chętnie

odwiedzał zakamarki tego labiryntu, kąsały go zęby. Nie był ani twardy, ani miękki. Nie był ani elastyczny, ani nieruchomy. Próbowałam się odsunąć, by odpocząć od skomplikowanych i wciągających badań, lecz wtedy ukochany gryzł mnie w szyję. Rzucaliśmy się na siebie. Rano patrzyłam na skórę, poznaczoną namiętnością. Cieszyły mnie siniaki i zadrapania. Żałowałam, że niedługo znikną i te pamiątki.

Podczas kolejnego spotkania wybraliśmy się na zakupy do galerii handlowej. Pierwszy raz od dawna miałam chęć kupić sobie sukienkę, która nie byłaby czarna. Przebrałam się i wychyliłam zza drzwi przymierzalni. Poprosiłam Igora, by podszedł i zapiął mi suwak; zrobił to i opuścił ręce wzdłuż moich pleców. Zatrzymał je na talii. Wtulił twarz w moje włosy. Trwaliśmy tak przez chwilę. Gdy mnie puścił, okręciłam się, a szeroki dół kreacji uniósł się wysoko, odsłaniając nogi. Musiałam go przytrzymać, jak Marilyn Monroe na swoim najsłynniejszym zdjęciu. Igor przyłożył dłoń do mojej i przyciągnął mnie do siebie. Kiedy tak staliśmy twarzą w twarz, zielone listki i łądźki kwiatów nadrukowanych na materiale zlewały się z kolorem jego tęczówek. Pocałowaliśmy się. Oczywiście kupiłam tę sukienkę. Była naszą ulubioną. „Naszą”! Coraz częściej używałam tego nadzwyczajnego słowa.

Staliśmy właśnie na światłach, ale tramwaj nie miał zamiaru na nas czekać. Wybiegliśmy na mokrą ulicę, aż rozbryzgiwały się kałuże. Lecieliśmy na łeb na szyję; niech kierowcy nie trąbią, bo i tak się nie odwrócimy! Drzwi zasunęły się, niemal mnie ściskając, Igor robił wymówki, że omal się nie pozabijaliśmy. Tłum nas rozdzielił, ale on szukał moich oczu. Znalazł je i się uśmiechnął.

W tym czasie w ogóle nie myślałam o innych mężczyźnach. Ani o kobietach. On wystarczał mi za cały świat.

Dziwiłam się jednak, że nie chce mnie wpuszczać do swojej pracowni. Zachodziłam w głowę, co tam się stało. Czekałam na sprzyjający moment, żeby sprawdzić. A gdy ten moment nadszedł, jak gdyby nigdy nic wyciągnęłam mojemu mężczyźnie klucze z kieszeni i popędziłam do piwnicy. On za mną. Szamotaliśmy się przed drzwiami, ale dopięłam swego.

I zobaczyłam. Prace porozcinane nożem. Szramy na skórze się zabliznią, ale na płótnach – nigdy. Powstrzymując łzy, odwracałam do ściany jedno za drugim. Potknęłam się o siatkę, która opadła z mojego ulubionego obrazu.

Igor pozostał na schodach.

Gdy wyszłam z pracowni, objęłam go ramieniem. Wyobrażałam sobie, że opiera się na mnie, a ja wyprowadzam go z ruin przez most. Wytrzymaj, kochanie, jeszcze parę kroków. Uda się. Musi się udać. Zaraz przejdziemy na drugą stronę, do chatki z piernika. Czule cię opatrzę i zabandażuję ci rany. Ja, sanitariuszka, ja, morowa panna, uzdrowię cię moimi uczuciami, myślałam.

Odstawiłam żyletki. Nie tykałam ani kropli alkoholu. Wybór był oczywisty. Musiałam mieć dużo siły, by przywrócić Igora do życia, bo wciąż od nowa wypominał sobie porażki. Przygnębiony i zmarnowany, wymagał maksymalnej troski. Dragi niszczyły go dodatkowo, odbierały mu resztki energii. Pragnęłam mu ją przywrócić, osiągnąć sukces!

Bez wahania podłączyłam mężczyznę pod kroplówkę mojej miłości.

W wakacje pracowałam w księgarni w centrum miasta. Często zamykałam ją z myślą, że niedługo wtulę się w mojego mężczyznę. Po drodze do niego wszystko wydawało mi się piękne. Niebo lekko powlekały obłoki. Nurkowały w nich ptaki. Kamienice przypominały ozdobne pudełeczka udekorowane ornamentami. Uliczny gitarzysta brzdękał Wonderful life. Kobiety energicznie maszerowały po pasach, aż sprężynowały im łydki. Przebiegałam przez ulice, jakbym przebiegała przez sen. Był w nim i hałas, i tłum, a każdy w tym tłumie śnił własne sny. Czyż to nie wspaniałe?

Wstąpiłam po lody. Czy deser będzie równie apetyczny jak usta Igora? Czy polubimy film, który wybierzemy na wieczór?

Nie umiałabym nawet powtórzyć tytułu, a co dopiero streścić akcję. Nie dałam rady się skupić. Ukochany co chwila odwracał wzrok od ekranu i zanurzał łyżeczkę w pudełku z lodami, a następnie wyciągał ją w moją stronę. Przybliżyłam wargi do

chłodnego metalu i zlizywałam śmietankowo-wiśniową porcję. Daj więcej z wiśniami – mój wzrok podążał za łyżeczką. Śledziłam jej drogę od pudełka do ust Igora i moich. Ocierając się o ciało kochanka, dopominałam się kolejnych porcji rozkoszy.

Odstawił puste opakowanie na podłogę i zatrzymał film. Moje spinki sfrunęły na poduszkę; rozpierzchły się po niej razem z włosami. On rozrzutnie rozdawał pieszczoty, a ja odwdzięczałam się za każdą.

Słodkie sam na sam przerwał nam dzwonek domofonu. Zawinęłam się w zasłonkę i wyjrzałam przez okno. O nie! Znowu ta banda! Poprosiłam Igora, by nie otwierał, niech przyjdą kiedy indziej, jednak dla niego to było nie do pomyślenia.

– Mam nie wpuścić przyjaciół? Za kogo ty się masz? – zirytował się.

Rzucił mi ciuchy. Złapałam je w locie, gdy w jednej skarpetce przemykałam do łazienki. Czemu z niej nie ma tajnego przejścia na klatkę schodową? – rozpaczałam bezgłośnie.

Nie opisałam jego kolegów do tej pory i ich nie opiszę; byli dla mnie jak szara masa. Wyróżniała się tylko blondyna, która już doszła do siebie po rozstaniu z narzeczonym. Chyba pocieszała się jedzeniem, bo nieźle się spała. Przymyła bluzka opinała jej piersi, ciężkie jak dojrzałe jabłka i tak samo opadające w dół. Zapewne miały w sobie dużo mięszu. Który robaczek w niego wejdzie? Brr! Toczyła się przy chłopakach jak piąte koło u wozu. A może to ja nim byłam?

Wstyd mi było wyjść, gdy właśnie wchodzili, opanowałam się więc i siedziałam z nimi, podobna do mumii. Oprócz mnie wszyscy bawili się świetnie. Oglądali debili na YouTube, głupszych od siebie, co najwyraźniej sprawiało im wyjątkową radość. Lecz gdy Igor poczęstował nas LSD, ostentacyjnie skierowałam się do wyjścia, słysząc na pożegnanie od kochanka, że chyba właśnie przechodzę zespół napięcia przedmiesiączkowego. Towarzystwo ryknęło śmiechem, a najgłośniejszą blondyna.

Rozryczałam się dopiero w bramie. Wyłączyłam komórkę,

żeby jej nie odbierać.

Nie było o czym rozmawiać. Narkotyki nadal pozostawały na pierwszym miejscu, ja na drugim albo i trzecim. Albo poza podium. Tak mnie potraktował! Tak się odwdzieczył za moją miłość! Chyba straciłam rozum, że go pokochałam! – wściekałam się. Wkrótce jednak miejsce rozgoryczenia zajął strach. Zamiast go wyprowadzić z uzależnienia, jeszcze go w nie wpędzam! Co ja wyrabiam?

Po kilku godzinach uruchomiłam telefon. Zadzwoiłam do Igora i wyznałam, że się o niego martwię, gdy sięga po narkotyki. Odparł, że dragi od czasu do czasu nie wyrządzą mu krzywdy, a nadchodzący weekend będzie zupełnie trzeźwy.

Rozchmurzyłam się nieco. Ustaliliśmy, że spotkamy się w poniedziałek, a on opowie, jak było.

Stresowałam się w sobotę, stresowałam w niedzielę, ale nie pytałam o nic. Pragnęłam dać do zrozumienia, że nie jestem nadzorczą i mu ufam. Chciałam wierzyć, że w poniedziałek będzie ze mną szczerzy.

I był.

– Znajomi wyciągnęli mnie na imprezę. Wiesz, co było najlepsze? Poszedłem tam bez niczego, a na mieście spotkałem faceta, który poczęstował mnie koksem. Ale spoko, od dziś trochę wyhamuję – dodał.

Jednak zapasy mojej wyrozumiałości właśnie się wyczerpały.

– Ty mówisz jedno, a robisz drugie! Albo odwrotnie. Przechodzę przez ciebie totalne rozedrganie! Cały czas żyję w strachu, że zostaniesz ćpunem! O ile już nim nie jesteś!

– To może weź sobie wolne ode mnie? Ja nie chcę cię wyprowadzać z równowagi. Martwię się, że skończą ci się rezerwy psychiczne i źle się to na tobie odbije.

– Masz rację. Odstaw mnie dla koki i czego tam tylko chcesz! Nie troszczysz się o mnie, o moje uczucia, ale o dragi!

– Za to ja czuję się przytulony! Znów się kłóćmy! Ciebie nie interesuje wcale, co przeżywam!

– Interesuje! Ale nie takiego cię poznałam!

– A może nie wiesz o mnie tyle, ile ci się wydaje? Zawsze tylko Magda, Magda, Magda. Jesteś tak zaaferowana sobą, że masz mnie w dupie. Dbasz o nasz związek? Tak naprawdę tylko o siebie dbasz, żeby się lepiej czuć! Żeby nie być sama! A wiesz, czemu mi pomagasz? Bo wtedy nie myślisz o własnych problemach!

– Jesteś cholernie niesprawiedliwy!

Nie zaczekałam na ciąg dalszy.

Podniosłam torebkę z podłogi i skierowałam się do łazienki, żeby na szybko zrobić sobie parę sznytów. Moje postanowienia straciły ważność. Ja też miałam prawo odreagować.

Igor dobijał się do drzwi i dopytywał, kiedy wyjdę. Awanturował się, co robię za drzwiami tyle czasu.

– Spadaj! – wrzasnęłam.

Wtedy nacisnął klamkę.

Że nie przekręciłam zamka! Co za nieuwaga!

Popatrzył na moje obnażone udo, właśnie ściekała z niego strużka krwi, i usiadł obok, na brzegu wanny. Wyjął mi z ręki żyletkę. Sięgnął do apteczki po plastry i delikatnie nałożył opatrunek. Nie ruszałam się i nic nie mówiłam, bo co tu gadać? Czułam się bezwładna i bezwolna.

Po chwili mój mężczyzna podniósł mnie zdecydowanym ruchem i zabrał do łóżka jak smutną szmacianą lalkę. Obchodził się ze mną tak, jakby obawiał się wyrzucić mi krzywdę. Nakrył mnie białą kołdrą, dał całusa w czoło i usiadł w fotelu po drugiej stronie pokoju.

Pochylił się nad nim kielichowaty klosz lampy; włączył ją i czytał. A ja przekręciłam się na brzuch i podparłam łokciami. Obserwowałam, jak po czole, policzkach i szyi Igora przesuwa się łagodne światło. Tworzy na skórze wzory złożone z owali; zmieniały położenie z każdym jego ruchem. To nachodziły na siebie, to się odsuwały. On zdawał się tego nie zauważać.

To skupienie się na lekturze było urzekające. Zamknął książkę i spojrzał na mnie. Poprosił, żebym się nie poruszała, dopóki nie zrobi mi zdjęcia, ale nie miałam ochoty na pozowanie.

Odparłam, że czekam pod jego kołdrą na śmierć.

– Mogę poczekać z tobą? – zapytał, a ja pokiwałam głową.

Wsunął się pod pościel, objął mnie w pasie i przylgnął do mnie tak, że poczułam całe jego ciało.

– Jeżeli moje uczucie do ciebie nie jest miłością, to co nią jest? – zapytał.

Ze ściśniętego emocjami gardła nie wydostała się żadna odpowiedź.

Wymógł na mnie obietnicę, że nie tknę żyletki. A ja na nim, że nie tknie narkotyków.

Przyniósł mi śniadanie do łóżka i po porannej porcji czułości zaproponował, żebym wprowadziła się do niego. Na próbę, na tyle, ile ze sobą wytrzymamy.

Pragnęłam tej próby. Miałam dokąd wrócić w każdej chwili. Kate nie zostawała w Łodzi na wakacje, więc cały nasz „apartament” w akademiku należał wyłącznie do mnie. Panowała w nim samotność jeszcze większa niż zwykle. Za to w kawalerce Igora co krok wpadaliśmy na siebie. Dzieliliśmy pokój, małą kuchnię i łazienkę. Jeden stół i jedno łóżko. On świetnie gotował i był najlepszym kochankiem, jakiego miałam. A już najbardziej mnie roznamiętniał, gdy przynosił z zamrażarki kostki lodu. Dotykał mnie nimi tak, że czułam, jakby były wszędzie, na mnie i we mnie. Drżałam i przyciągałam go do siebie, by mnie ogrzał. Wtedy moja skóra się rozplątywała. Wszystkie narządy, mięśnie i kości, które pokrywała, topniały razem z nią, aż do spłynięcia. Zamieniłam się w plamę, która miała wyłącznie usta. A one ciągle wpijały się w Igora. Kolejne kostki zamrażały mnie ponownie; stawałam się bryłą. Gdy już odtajałam, pozwalałam się formować. Artysta modelował i drażył moje ciało, a nawet wydobywał z niego dźwięki. Kołysał mnie w ramionach i z powrotem odrzucał na łóżko, by przewrócić na drugą stronę. Niezdecydowany, nadawał mi kolejne kształty i pozy. Owijałam się wokół niego, bezwolna i miękka. Sunął kostkami lodu po moich plecach. Topniały. Nie miałam kręgosłupa, lecz odzyskiwałam brzuch; jeszcze nie odpływał ode mnie, skoro ukochany go całował...

Czułam tylko to, co mi dawał. Doznawałam wyzwolenia od siebie. Nie dawało się tego porównać z żadnymi przeżyciami.

Rankiem przed wyjściem do pracy zostawiałam buziaka na policzku mojego mężczyzny, a na stole w pokoju kładłam małą karteczkę. Po jednej stronie rysowałam serce, po drugiej pisałam, za co go kocham. On wstawał później. Zatrudnił się właśnie w jednym z lokali na OFF-Piotrkowskiej. Szybko nawiązywał kontakty, więc znalazł tam mnóstwo nowych znajomych. A ze współpracownikami prowadził naprawdę szczere rozmowy. Podczas jednej z nich wyszło na jaw, że ma koleżankę bi.

Igor nie tracił czasu.

– Możemy się z nią umówić u nas, poznacie się – oświadczył luzackim tonem.

Zaskoczył mnie.

– Jak to: możemy? Randka w trójkę?

– Co tylko będziesz chciała. Nie cieszysz się?

Mimo bujnej wyobraźni jakoś nie docierało do mnie, że mogę dzielić się moim kochankiem z inną kobietą. Lub moją kochanką z innym mężczyzną. Rozpętałam aferę.

– Nie! Spodobała ci się i chcesz mieć dwie baby w łóżku! O sobie myślałeś, nie o mnie! – Oddałam mu serce i ciało, a on nie docenił daru!

– Każdy ma swoje fantazje. Proszę o prawo do moich – odparł bardzo spokojnie.

Moje zranione uczucia wcale go nie przejęły.

– Jest różnica między fantazją a realizacją fantazji! – krzyknęłam jeszcze głośnie.

– To zrealizuję moje, jak nie będziemy razem. – W jego głosie zawibrowała groźba.

– Nie szantażuj mnie! Nie będę się kochać z nieznaną dziewczyną. Ona musi być wyjątkowa!

Wydawał się nie rozumieć moich rozterek.

– Może cię zauroczy? – odparł, uśmiechając się pod nosem.

Postanowiłam zgasić ten uśmiech.

– Tak bardzo, że chętnie popatrzę, jak się pieprzycie?

- Nie chcę się z nią pieprzyć.
- „My” nie dzieli się przez trzy. Koniec tematu.

Pomaszerowałam do kuchni i trzaskałam naczyniami, zmywając. Później z łomotem chowałam je do szafki. Najwięcej hałasu robiły wrzucane do szuflady sztućce.

W odpowiedzi on puścił rap.

Od tamtej rozmowy częściej pozwalałam sobie na małe kobiece przyjemności – wizyty w salonach piękności i zakupy. Najpierw przez oszkloną witrynę podpatrywałam, czy manikiurzystka jest młoda i ładna. Uwielbiałam moment, gdy kładła moją dłoń na swojej. Z przyjemnością dotykałam wypielęgnowanej jasnej skóry powleczonej cieniutkimi żyłkami, które przypominały delikatne gałązki. Nie mniej misterne były wzory na jej paznokciach. W takich momentach męskie dłonie wydawały mi się szczególnie toporne. Pożałowałam, że dotąd tylko takie przesuwały się po moim ciele, ale co poradzić? Zastanawiałam się, czy umówić się do masażystki. Obawiałam się, że moje lesniezaspokojenie wówczas się pogłębi, podczas gdy manikiurzystka tylko pochyli drobną zgrabną główkę, przymknie różowe powieki i ze skupieniem przeciągnie po paznokciach pędzelkiem z lakierem. A ja zajrzę w jej opalony dekolt...

Podobne okazje trafiały się i u fryzjerki, gdy myła mi włosy. Znajdowałam się między jej gładkimi ramionami, niemal wtulona w pulchną pachę. Zdarzało mi się również zaczepiać sprzedawczynie w butikach, najchętniej te w opiętych spodniach. Na moją prośbę wędrowały ze mną między półkami, szukając kolejnych rzeczy, a ja zachwyciałam się naturalnym i zmysłowym kołysaniem krągłymi pośladkami. Udawałam, że potrzebuję porady, i później razem wybierałyśmy, która apaszka pasuje mi najbardziej. Komplementowałam ich gust i radowałam się ich entuzjazmem. W przymierzalni prosiłam ekspedientkę, by pomogła mi zapiąć zamek na plecach; tego lata miałabym wiele wspólnych tematów z Kate, bo znałam wszystkie trendy. Niezobowiązująca bliskość z kobietami raz mnie pobudzała, a raz odprężała. A naprawdę potrzebowałam wtedy wyciszenia.

W mojej pracy przewijali się klienci bardziej marudni niż ja. Władczym tonem wymieniali nazwisko autora. Z powątpiewaniem patrzyli na wskazany regał. Nic nie wybierali z całej sterty powieści, którą rozkładałam przed nimi. Potrzebowali innej książki. W innej okładce. Chyba białej. „Tytuł? Nie pamiętam”. W Internecie szukałam więc takiej pozycji danego pisarza, która miała białą okładkę. Nadal niepewność – nie miałam pojęcia, co powinnam zamówić. A klienci oczekiwali ode mnie daru jasnowidzenia, a nie odesłania z kwitkiem. Wychodzili obrażeni. Z kolei niektórzy rodzice zachowywali się tak, jakbym była winna wysokim cenom podręczników. Jak cierpliwy terapeuta wysłuchiwałam ich skarg na niskie zarobki i rozbrykane dzieci, które i tak zniszczą drogie książki. Rozumiałam ich żal, ale co mogłam poradzić? Próbowałam pocieszać, że dzieci wyrosną, dorosną, zmadrzeją.

W domu również nie miałam ani chwili spokoju. Odwiedzało nas coraz więcej osób. Poznawałam różne gatunki niebieskich ptaków: początkujących malarzy, fotografów, aktorów, muzyków. Igor spotykał ich w pracy albo po pracy, gdy przesiadywał w knajpach na OFF-ie. Przyprowadzał do mieszkania, a oni później wracali. Nie dziwiłam się, bo jego otwartość i wrażliwość zjednywały mu oryginałów. Podziwiałam ukochanego za ten magnetyzm, ale im więcej rozmów prowadziłam z jego znajomymi, tym mocniej bywałam rozczarowana. Niebieskie ptaki okazywały się kurami nielotami. Ci pseudoawangardowi artyści dreptali po wydeptanych ścieżkach, powtarzali cudze pytania i odpowiedzi, uznając je za własne. Nie tworzyli nowych. Nie zajmowali się sztuką po to, by przekształcać świat i zmieniać życie. Prowadzili bananowy żywot, zwykle kosztem bogatego partnera i/lub rodziców. Te kury pochodziły z bardzo szczęśliwego chowu, a ich głównym powołaniem było kręcenie dupkami na imprezach. Zawsze wracały prosto z wernisażu, premiery w teatrze, premiery niezależnego filmu, koncertu alternatywnej kapeli. Nie wypadało dzielić się z nimi uwagami o kulturze popularnej, choć moim zdaniem one też konsumowały kulturę i

podążały za tym, co modne w ich kurniku. Nie zauważały, że są częścią systemu pełnego nierówności. Pewne szanse dostawały z przydziału. Nie urodziły się w biednych rodzinach, nie pochodziły z miejsc, gdzie jedyną atrakcją były występy orkiestry strażackiej na procesji Bożego Ciała albo potańcówki przy disco polo w remizie. Po prostu otrzymały pewien bagaż kulturowy. Obnosiły się z nim, jakby pozjadały wszystkie rozumy.

Nie miałam pojęcia, za co Igor tak wielbi tych ludzi, ale on uważał, że dzięki przebywaniu z nimi nareszcie się rozwija. Natomiast ja przez nich uprzedziłam się do sztuki. Jeżeli ona ich przyciąga, jeżeli oni ją współtworzą, to gdzie w niej miejsce na bunt i na bezlitosną prawdę? Marcel Duchamp miał rację, gdy rzucił zajmowanie się tym perfumowanym gównem i został szachistą.

Podczas dyskusji mój mężczyzna często zarzucał mi, że z zasady krytykuję wszelkie style życia inne niż moje. A on z zasady starał się przypodobać każdemu – przestał mi imponować łatwym zawieraniem kontaktów – po prostu wchodził ludziom w dupę wypróbowanymi sposobami. Zadawał pytania świadczące o tym, że słucha i jest zaintrygowany rozmówcą, jego poglądami, pracą, hobby. Prawił komplementy. Kto by go nie polubił? Rap i oglądanie meczów z kumplami z podwórka wydawało mi się bardziej szczerze niż spędzanie czasu z artystami ze spalonego teatru. Poprzednia paczka mojego faceta jawiła mi się teraz jako cudownie bezpretensjonalna.

W sobotę zaprosił nowych przyjaciół na domówkę, zawiadamiając mnie o tym na dwie godziny przed. Pewnie dlatego, żebym nie zdążyła zaprotestować. Nie darował mi, że kiedy wyciągnęli kokainę, kazałam im ją schować.

– Co oni o mnie pomyślą? – wypominał mi w kuchni. – Że siedzę pod twoim pantoflem?

Anarchista, a zwraca aż taką uwagę na opinię otoczenia?

Podśmiewałam się, że zachowuje się jak mieszcza, i przypominałam mu jego niedawne przyrzeczenia. Wzruszał ramionami. Poświęciłam tyle siły, by pomóc mu wyjść na prostą, a

on wrusza ramionami! Nastraszyłam go, że jak będzie cokolwiek brał z tymi ludźmi, wyprowadzam się natychmiast.

– Ciszej! Mów ciszej! – skarcił mnie.

Wprawdzie odpuścił, ale po minie widziałam, że jest niezadowolony. Czułam się podobna do matki, która z trudem wychowuje syna łobuza. Jego znajomi mieli mnie za nietolerancyjną żonę. Egzaltowane panienki ściągały usta w ciup, zasmucone, że nawet nie zapalą u nas marihuany. Tłumaczyły, że ona daje im inspirację, poszerza spojrzenie na sztukę i rzeczywistość. Nie wierzyły, że tego nie doceniam.

Zatem zaniosłam się kaszlem. Wytłumaczyłam, że mam astmę i uduszę się, nawet gdy zapalą zwykłe papierosy. Igor, skoro ćpanie odpadło, kursował po mieszkaniu jak nakręcony, by nikogo nie pominąć i każdemu dogodzić alkoholem. W końcu usiadł, błogosławiony między niewiastami rozklapionymi na naszym łóżku. Kate padłaby trupem, gdyby zobaczyła, jak te modniary zmiksowały wzory i kolory! Popijały drinki, zajadały się koreczkami, które przygotowałam w ostatniej chwili, i wdzięczyły do mojego mężczyzny. Nie wdzięczyłam się razem z nimi. Podzielałam uczucia kota, któremu obcy zajmują posłanie. Szkoda, że nie mogłam dzielić łapką tych cwanych, nierówno wymalowanych lał!

Demonstracyjnie odizolowałam się od towarzystwa. Naciągnęłam na „naszą” sukienkę czarny zmechacony sweter. Przyniosłam lusterko, ostre nożyczki i zasiadłam w ulubionym fotelu Igora. Lekko odchyliłam się i przycinałam grzywkę, tuż ponad brwiami. Zdmuchiwałam spadające na twarz kosmyki. Potrząsałam głową, przeczesywałam włosy nożyczkami i ciąłam dalej. Trzymałam przed sobą lustro i byłam lustrem, gdy spoglądałam sponad niego. Dawna królowa imprez przeistoczyła się w niemego świadka. Dobrze, że nie wbiłam sobie nożyczek do oczu. Odzwierciedlałam w nich popisujące się marionetki, czując ulgę, że nie muszę razem z nimi odstawić przedstawienia. Zastanawiałam się, kiedy ja-lustro wyląduję na śmietniku, skoro u mojego mężczyzny przestały bywać osoby, które całkiem

niedawno nazywał przyjaciółmi.

Jeśli zbyt długo rozmawiał z panienką, poddawałam ją uważnym analizom. Jakie ma spojrzenie? Elektryzujące? Nie, bez wyrazu. A usta? Kuszące? Tak, z wydatną dolną wargą, niczym u Angeliny Jolie. Bardziej puszyste włosy? Nie, posklejane lakierem. Większy biust? Tak. I zadbany dekolt. Znakomicie dobrała eksponującą go kamizelkę. Szczuplejszą talię? Nie, za bardzo wystaje brzuch. Dłuższe, zgrabniejsze nogi? Tak, ale na wysoko odsłoniętych udach, tuż pod nogawkami postrzępionych spodenek, widać cellulit. W mojej głowie trwał nieustanny konkurs piękności bez rozstrzygnięcia.

Później poprowadziłam także *Miliard w rozumie*. Przez pogłośnioną muzykę niedokładnie słyszałam rozmowy. Odkładałam nożyczki i przesiadałam się na łóżko. Dziewczyna z różowym warkoczem opowiadała, że pasjonują ją mięciutkie plecy Hitlera, gdy siedzi tyłem, pochylony nad talerzem zupy. Reszta napawała się jej słowami, choć powtarzała je po Salvadorze Dalim. Tyle że ja nie potrafiłam jej zdemaskować i z niej zakpić, wytracona z równowagi przez te kretynki. A Igor przy mnie prawil im komplementy. Miałam wrażenie, że już wcale nie wprawiam go w podziw. Niczym. Czyli – nic nie jestem warta. Odkąd się poznaliśmy, wyznaczał moją wartość.

Z tej beznadziei nie chciało mi się nawet upić. Tymczasem coraz więcej panienek podrygiwało, aż pobrzękiwały ich zwariowane bransoletki. Ciasnota nie przeszkadzała nikomu.

Nade mną stanął całkiem atrakcyjny mężczyzna. Miał pociągłą twarz, kilkudniowy zarost i włosy w kolorze mocnej kawy. Wyciągnął do mnie rękę jak rycerz przybywający na ratunek zdetronizowanej królowej. Byłam mu niesamowicie wdzięczna. Objął mnie w talii, a ja niepewnie położyłam dłoń na jego ramieniu. Poruszał się z ogromnym wyczuciem. Moje ciało instynktownie odpowiadało na jego ruchy, jakby należało nie do mnie. Prowadził mnie, jak chciał, a ja tylko podążałam za jego rytmem. Schlebiał mi, że tańczę z niezwykłym wdziękiem. Zapytał, gdzie się nauczyłam.

– Nigdzie. Preferuję własny styl. A ty?

Uczęszczał na kurs salsy. Poprosiłam, żeby pokazał mi kroki.

– Zaczynasz od prawej nogi i stawiasz ją do tyłu, na raz. Na dwa lewa stoi w miejscu. Na trzy wracasz prawą nogą. Na cztery jest pauza. Na pięć stawiasz lewą do tyłu. Na sześć stoisz w miejscu. Na siedem wracasz lewą nogą. I na osiem pauza.

Pilnie powtarzałam tę wyliczankę, ale nie zapamiętałam z niej niczego. Tancerz wykonał więc kroki jeszcze raz i zasugerował, żebym spróbowała samodzielnie. Ociągałam się, na powrót zmieszana, a wtedy on podsunął pomysł, żebyśmy od razu zatańczyli w parze. Przedtem udzielił mi wskazówek, że w salsie kobieta ma być zmysłowa i utrzymywać kontakt wzrokowy z partnerem. Wnikliwie spoglądał na mnie oczami, które zmieniały kolor. Raz wydawały się zielone jak łąka na mojej sukience, raz niebieskie jak jego koszula. Każde dłuższe spojrzenie intrygowało mnie i przeszywało. A on uśmiechał się, mówiąc, żebym postarała się bardziej rozluźnić.

Ściągnęłam sweter. Specjalnie rzuciłam go prosto na Igora, siedzącego tuż za nami. Nie zareagował. A ja w końcu załapałam kroki. Już nie liczyłam ich, nawet w myślach. Nie tańczyłam w mieszkaniu w Łodzi, lecz na kubańskiej ulicy. Seksownie kołysałam biodrami, a partner w tańcu obracał mnie, aż fruwała sukienka. Królowa powróciła! Nareszcie rewelacyjna zabawa!

Syciłam się zazdrością Igora i stawałam się jeszcze bardziej zalotna dla mojego utalentowanego tancerza. Nagle on wziął mnie na ręce i okręcił się razem ze mną. Mocno trzymałam go za szyję, zaśmiewając się na cały głos. Potem wyszliśmy na balkon, gdzie pochłonęła nas rozmowa.

Po raz pierwszy od początku wakacji ktoś inny niż mój facet podarował mi tyle uwagi. Szczerej, niewymuszonej wspólnym mieszkaniem czy kolejną sprzeczką.

– Powiedz mi jeszcze jedno...

– Co takiego?

– Czemu masz tak czarne włosy jak nikt inny. Jesteś jak czarna kocica!

Trafnie odgadł moje wcielenie.

– Uważaj, bo wyciągnę pazurki – wyszeptalam na wzór bohaterki Harlequina.

– Za późno. – Przyciągnął mnie do siebie.

Zatraciliśmy się w zapalczywych pocałunkach. Przywarł do mnie jeszcze mocniej. Przesunął dłonie na moje pośladki. I wtedy powiedziałam:

– Wracamy.

Igor zachowywał się tak, jakby nic go nie obchodziło, i nie odzywał się do nikogo. Lecz kiedy zostaliśmy sami, w końcu przemówił. Jego zdaniem mój tancerz wyczuł, że jestem łatwa. Ty też to wyczułeś? – miałam ochotę zapytać, ale się powstrzymałam. Jednak wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju, wyznałam więc, co wydarzyło się na balkonie, oczywiście nie wdając się w szczegóły.

Wtedy on wpadł w szal. Nigdy jeszcze nie widziałam go równie wzburzonego. Buchały z niego płomienie. Nabrałam ochoty, aby zadzwonić po straż pożarną, zanim będzie za późno.

– Czuję, że coś się święci, jak cię tam zaciągnął! Jak mogłaś na to pozwolić?

– To był impuls! Wyłącznie impuls! – broniłam się. – Weszłam w nurt chwili, pozwoliłam się ponieść. Tańczyliśmy, był dla mnie miły...

– Lieżesz się z każdym, kto jest dla ciebie miły?

– Ty ostatnio mi okazujesz zero zainteresowania!

– Czy jesteś dzieckiem, że mam się tobą zajmować?

– Ale zostawiłeś mnie samą i zabawiałeś inne! Zresztą widziałeś, że z nim idę!

– Tak, to moja wina, że się puszczasz!

– Nie puszczałam się! To on mnie pocałował!

– Czy cię dotykał? Mów prawdę! No, mów! I gdzie?

– Nigdzie – zaprzeczyłam szybko, ale chyba nie uwierzył.

– Już ja się z nim policzę!

– Proszę, nie rób tego, to zupełnie bez sensu. Nic takiego się nie stało. – Pogłaskałam go po ramieniu.

– Odwal się! – Strząsnął moją rękę. – Nic się nie stało? Obłapiasz się z kimś pod moim bokiem i wmawiasz mi jeszcze, że nic się nie stało?

– Błagam cię, zostaw tę sprawę. I nie denerwuj się tak. Dostałam nauczkę. Uległam chwili. Zawsze na imprezach szalałam...

Zażądał, żebym zamilkła. Ciskał się i wrzeszczał, że nigdy nie słyszał głębszych wymówek. Zaczął rozkładać łóżko, rozrzucając poduszki nie po nim, tylko po całym pokoju.

Staralam się nie wchodzić mu w drogę.

Pożar w jego duszy wygasnął powoli, a ja znów musiałam zająć się jej remontem. Straszliwie wymagającym remontem, więc poprzedziłam go relaksującą kąpielą. Później skropiłam się uwodzicielskimi piżmowymi perfumami. Jedwabna, kusa nocna koszulka bardziej odkrywała, niż zakrywała moje ciało.

Zrobiona na bóstwo, wsunęłam się pod kołdrę.

Mój mężczyzna odsunął się na drugi koniec materaca i pokazał mi plecy. Przytuliłam się do nich i prosiłam o wybaczenie. Przyznawałam, że jest dla mnie najważniejszy na świecie. Nie reagował, więc złożyłam samokrytykę, że znów myślałam wyłącznie o sobie. Obiecałam, że nigdy więcej nie zachowam się podobnie. Poruszył się niespokojnie i zagadnął, czy chcę naprawić to, co zrobiłam. Jasne, że chciałam. Na moje słowa Igor podniósł się. Usiadłam naprzeciwko. Wzięliśmy się za ręce. Zapytał, czy tej nocy zrobię dla niego wszystko.

Pytanie było podchwytliwe, więc najpierw upewniłam się, że przestanie mi wypominać nieszczęsną sytuację. Dodatkowo wytargowałam, że pozostawi w spokoju mojego nauczyciela salsy.

Przyrzekł, że tak będzie. Wtedy zrealizowałam jego pierwsze życzenie.

Uklękłam przed nim i wyjęłam jego penisa. Przesuwając wargami w górę i w dół czułam, jak męskość Igora napręża się w moich ustach. Poddałam się sile, która ją rozpierała, nadając tempo ruchom warg. Mój kochanek zatracił się w fundowanych przeze mnie przeżyciach, kontynuowałam więc zapamiętałe, z pełnym

oddaniem. Jednak on nie chciał orgazmu. Kiedy znudziła mu się pieszczota, pogłaskał mnie po głowie jak dobrą sukę, która umiejętnie wykonała sztuczkę.

Ale następne polecenie „mojego pana” wprawiło mnie w osłupienie. Od gwałtu nie chciałam uprawiać seksu analnego, zastanawiałam się zatem, czy zgodzić się nań teraz. I doszłam do wniosku, że moja udręka będzie najwłaściwszą karą za sprawienie Igorowi cierpienia. A on zyska należną satysfakcję. Zgodziłam się zatem i kołysałam się wraz z nim, i odliczałam, zupełnie jak tamtej przerażającej nocy. Igor przesuwiał dłonią pomiędzy moimi udami. Narastające podniecenie mieszało się z upokorzeniem i bólem; te ostatnie wcale nie minęły.

Kiedy skończył, nie przytulił mnie. Uśmiechnął się triumfalnie, położył i zasnął. A ja nie przestawałam obwiniać się o „zradę”. Byłam winna również pragnieniu poniżenia mnie po incydencie na balkonie. Żeby poczuć się lepiej, wmawiałam sobie, że upodlona zostałam nie ja, lecz ktoś zupełnie inny.

W niedzielę Igor jak zwykle chrapał do południa. Ja wstałam o wiele wcześniej i zapytałam samą siebie: „Co to za melina?”. Włożyłam buty, żeby nie pokaleczyć stóp o potłuczone szkło ani nie przykleić się do podłogi. Aż do teraz nie miałam pojęcia, że kulturalne towarzystwo może zostawić po sobie tak niekulturalny rozpiżdziel. Inaczej nie dawało się tego nazwać.

Poszłam do kuchni po worek na śmieci. Zbierałam puste butelki. Wsadzałam do zlewu szklanki i talerze. Zmywałam przez ponad godzinę. Później starannie wyczyściłam kuchenne blaty i podłogi. Szczęście w nieszczęściu, że nikt niczego nie zarzygał.

Pozbierałam walające się po kątach ubrania i wrzuciłam je do pralki.

Miałam wrażenie, że oto moja rodzina dokonuje telepatycznej zemsty. Stałam się podobna do matki, a Igor do mojego ojca. Niezła perwersja. Taką cenę płaciłam za to, by letnie wieczory i weekendy nie były rozpaczliwie puste. Za to pusta była lodówka. I znów to ja musiałam iść na zakupy, bo ja byłam głodna. Po raz kolejny kupiłam wszystko za swoje pieniądze, bo ilekroć

pytałam mojego kochanka, czy się dołoży, odpowiedź brzmiała: „Jutro”. U niego zawsze było „jutro”, z wyjątkiem zakupów w monopolowym, gdy termin ten zmieniał się na „dzisiaj”, a nawet na „zaraz”. Tyle dobrego, że mój facet przyrządzał obiady i zostawiał mi do odgrzania; nie umiałam gotować, nie stałam więc przy garach. Jednak gdy tylko dostałam wolny dzień, jeździłam na szmacie, prałam, czyściłam okna i byłam na sobie coraz bardziej zła. Czasem zastanawiałam się, gdzie podziła się moja pewność siebie, ambicje, indywidualizm? Listy gratulacyjne? Medale? Najlepszy licencjat na roku? Gdzie to wszystko jest? Chyba wrzucone do pralki razem z brudami... A magisterka Igora była w proszku, mimo że powinien ją napisać już rok temu.

Tępo patrzyłam na wirujący bęben automatu. Nie chciałam tak spędzić życia. Rany, życia! Co za wielkie słowo!

Mogłam wrócić do siebie, do akademika, wywieźć tam trochę dobrych wspomnień, a resztę wyprzeć. Tak jak wczasowicze postarać się zapamiętać ciepło słońca i wody, a nie to, że na plaży były śmieci, a dzieci sypały im w oczy piachem. Albo że pensjonat był beznadziejny i pogryzły ich pchły, które wylazły z materaca. Nauczeni doświadczeniem już nigdy więcej nie wracają w tamto miejsce.

Mnie chyba pogryzły pchły.

Żałuję, że nie wyprowadziłam się tamtego dnia, ale to by oznaczało, że wyolbrzymiam, poddaję się i nie ratuję związku. Przecież nadal kochałam gospodarza pensjonatu.

On nie urządził już żadnej domówki. Na imprezy wychodził na miasto, beze mnie. Nie miałam ochoty, zwłaszcza że musiałam wcześniej wstawać do księgarni. Igor pracował od południa, dlatego spał o wiele dłużej. Nie chciałam ograniczać jego wyjść, mówiąc: „Zostań ze mną”. Bałam się, że oskarży mnie o egoizm. Wieczory, gdy zniknął, spędzałam z książką albo z Facebookiem.

Zdecydowałam, że jeżeli tak będzie dalej, w październiku wyprowadzam się definitywnie. W kawalerce Igora czułam się nieswojo. Ta przestrzeń była jego, nie moja. Co ją posprzątałam, na powrót potykałam się o porzucane rzeczy. Kojarzyły mi się z

wypełzającymi spod ziemi robakami. Światelka choinkowe zawieszane nad oknem opadały swobodnie; zastanawiałam się, kiedy spadną mi na głowę. Jeden z nowych znajomych mojego faceta pokrył ścianę w pokoju jadowitym graffiti, w którym nie odnajdywałam ładu ani składu. Ten burdel na kółkach przestał mi się podobać.

Igor wracał z pracy około pierwszej, drugiej w nocy i budził mnie natychmiast. Skoro żyłam w jego burdelu, sięgał po moje ciało, kiedy tylko przyszła mu ochota. Nigdy nie odmawiałam, bo tylko w łóżku byliśmy naprawdę razem. Nie, nie miałam już dumy. Nie miałam niczego. Pragnęłam tylko miłości i lękałam się, że już nie potrwa długo. Łapczywie spoglądałam w jego oczy i widziałam kołyszące się trawy.

Podczas seksu w ruchach mojego partnera wciąż była prawda, którą tracił w kontaktach z tamtymi ludźmi.

W pierwszy piątek września, kiedy wyjątkowo został w domu, przygotował mi wieczorną kąpiel. Umyślnie brałam ją krócej niż zwykle, pewna, że mój kochanek coś kombinuje. Intuicja mnie nie zawiodła – gdy wyszłam z łazienki, krążył po pokoju jak nawiedzony. Z jego chaotycznych ruchów aż biła nienaturalność. Otwarte na oścież okna i balkon wpuszczały powietrze upalnej nocy.

Charakterystyczny zapach poczułam dopiero po chwili.

– Jarałeś! – powtarzałam jak zepsute radio.

On bił się w piersi, że chciał wziąć tylko jednego macha wieczorem, dla relaksu po zapracowanym tygodniu.

Zdecydowałam, że wracam do siebie natychmiast, a rzeczy zabieram jutro. Ale Igor zastawił drzwi wyjściowe własnym ciałem. Przysiadłam na podłodze i czekałam, aż raczy się ruszyć. Ciągłe mówił, że nie wypalił dużo, i przekonywał, żebym została. Próbował mnie objąć. Wzdrygnęłam się. Wypomniałam mu, że po raz kolejny nie dotrzymał słowa. Chciał mnie udobruchać, więc przymilnym głosem poprosił, żebym zdjęła buty i wróciła do łóżka.

– Ty mi je zdejmij. – Wyciągnęłam przed siebie nogi.

Przykucnął, nachylił się do moich stóp i pociągnął za sznurówkę. Chwycił czerwony trampek przy pięcie i próbował go zsunąć. But nie chciał zejść. „Życzliwie” podpowiedziałam, żeby poluzować sznurowadła.

Z drugim trampkiem poszło mu łatwiej.

A później wziął mnie za rękę i zaprowadził do pokoju. Usiedliśmy obok siebie na łóżku.

– Kochanie, wybacz mi.

Tym razem to on szeptał i głaskał mnie tak, jak lubiłam najbardziej. Nie protestowałam, gdy ściągał ze mnie ciuchy, a jego pieszczoty stały się coraz bardziej intensywne.

– Zostałaś tylko po to, prawda?

Pokiwałam głową, rozpalona.

Nie przestawał mnie dotykać. Zapewniał, że zaspokoi mnie wtedy, gdy pierwsza dam mu przyjemność. Nie zgodziłam się. Chciałam, żeby wszedł we mnie jak najszybciej. Straciłam świadomość, gdzie, jak i co się ze mną dzieje.

– Nie dręcz mnie tak! – wołałam bez opamiętania. – Słyszysz? Pieprz mnie!

– Powtórz.

– Pieprz mnie!

– Powtórz to i dodaj jeszcze jedno słowo na „b”.

– Na „b”? – Nic nie przychodziło mi do głowy.

– To słowo oznacza prośbę – podpowiedział.

– Błagam, pieprz mnie...

Dawno nie czułam się tak zaspokojona jak wtedy. Może traktowaliśmy się zbyt instrumentalnie? Może tkwiłam w chorym związku? Nasza więź była atawistyczna, nieracjonalna, zbuntowana.

Rankiem Igor po raz kolejny zapierał się z ręką na sercu, że nic już nie weźmie. Nic a nic. Czasem jednak jedna osoba kłamie, by uchronić się przed pretensjami drugiej. Druga wie, że pierwsza kręci, ale udaje, że jej wierzy. Czyli również oszukuje. I tak kłamstwo połyka własny ogon. W milczeniu.

Jego kłamstwo było właśnie takie.

Wciąż popełniał te swoje grzechy, o których nawet Facebook wiedział więcej niż ja. Nie zdążył się odznaczyć z imprezowych zdjęć, na których leżał w łóżku z dwiema brzydunami. A wmawiał mi, że wychodzi tylko na OFF! Spojrzenia całej trójki były rozbawione i otepiałe zarazem. Promienieli, zadowoleni po dobrym jaraniu. Albo i po dobrym seksie. Wszyscy już ubrani – one raczej skąpo. Z odsłoniętych ciał tych pączków niemal skapywał tłuszcz. Ta niezgrabność upokarzała. Mocno, jeszcze mocniej. Może gdyby mój mężczyzna zdradzał mnie z pięknosciami, zrozumiałabym chwilę słabości. Urządził mi „pokutę”, a sam co? Nawet polubił to zdjęcie!

Wymusiłam wyjaśnienia.

– Kochanie, jak facet się widzi na zdjęciu z dwiema dziewczynami w łóżku, to... O rany, to on to lubi – tłumaczył mi jak na wykładzie z cyklu „Mieszkańcy Marsa i ich zwyczaje w erze Facebooka”.

– Wybierasz tłuste lampucery i robienie ze mnie idiotki? Czy dobrze rozumiem? Jak chcesz się pierdolić z tamtymi, zadbaj chociaż o ukrycie dowodów!

– Nie pierdoliłem się z nimi! To tylko zdjęcie!

– I jesteś z niego dumny?

– Owszem.

– To zdjęcie... Ono dodało ci pewności siebie. Dlatego tak ci się spodobało! – szydziłam.

– Odpieprz się! Wolisz, żebym był niepewny? – Chodził od ściany do ściany. – Co jeszcze chcesz mi zabrać? Myślałem, że masz szersze horyzonty...

– Nic nie chcę ci zabierać. Jesteś ze mną w związku, do cholery! Takie zdjęcia mnie poniżają! I stój, do cholery, albo siadaj jak człowiek, a nie...!

Wyjątkowo posłuchał i usiadł. Ale nie na tapczanie, tylko naprzeciwko mnie, na krześle.

– To my jesteśmy w związku? Nie wiem, w czym żyjemy – rzucił bez troski.

Podniosłam się i podeszłam do stołu. Zsunęłam z blatu

klucze do piwnicy. Szlochając, w samej koszuli nocnej, wybiegłam po walizkę.

– Dzwoniłem do dziewczyn. Usuną to zdjęcie. Zadowolona?
– zapytał, gdy wróciłam.

Otarłam łzy wierzchem dłoni.

– Och, jakąż spłynęła na mnie łaska! Śpiewajcie, aniołowie!
– zawołałam, otwierając szafę.

Wyciągnęłam z niej moje ubrania i rzuciłam na podłogę.

Śmiech Igora zabrzmiał nieprzyjemnie. Miałam po prostu spakować się i wyjść, jednak nie wytrzymałam. Pochylona nad walizką wypominałam mu, że właściwie nigdy mnie nie szanował i nie okazywał wdzięczności za to, co dla niego robię. Nawet za remont. I wtedy dowiedziałam się, że w garnku, który się spalił, gotował, owszem, budyń dla mnie. Tyle że z marihuaną.

Zagotowałam się i ja. Odwróciłam się w jego stronę.

– Smakoszkę zioła chciałeś ze mnie zrobić?!

– Patrz, jakie szczęście miałaś, że cię nie otrułem! A remont...
To część przygody bycia ze mną. Nie podobało ci się? Nie wiedziałem, że ktoś może być dla mnie tak wyrozumiały i miły. Nie wiedziałem, że można to dostać od drugiej osoby. Dla ciebie ta sytuacja to argument, jaki jestem zły.

Dobrze znałam ten trik. Był winny, ale pragnął przerzucić swoje poczucie winy na mnie. Nie dam się więcej na to nabrać!

– Bo jesteś zły! Chcesz tabunów kobiet i bycia cholera wie kim! Prawdziwy mężczyzna dba o uczucia swojej kobiety, a nie ją rani! Nie jest niegrzeczny na pokaz, jak nastolatek! Bo ty masz inne rozrywki! Bo ty nie znosisz, gdy nie piję i nie palę! A jeszcze bardziej nie znosisz mojego smutku – podsumowałam, już nieco opanowana.

– No sorry, ale nie jestem odpowiedzialny za twoje odjazdy. Bardzo denerwujące są, nawet ten teraz. Zresztą te dziewczyny nic dla mnie nie znaczą. Te zdjęcia też nie. Wyglądam na nich jak kozak i tyle.

Zamknęłam walizkę i podniosłam się z klęczek. Narzuciłam na koszulę sweter. Stałam nad Igorem jak kat nad zgębnioną duszą

i wciągałam rajstopy.

– Nie jesteś żadnym kozakiem. I nie byłeś! – powiedziałam, pociągając za nogawkę tak mocno, że przez całą jej długość poszło oczko. – Jesteś kłamcą i tchórzem, który robi tak, jak mu wygodnie!

Wyturlałam walizkę do przedpokoju. Zgarnęłam z łazienkowej półki kosmetyki i dorzuciłam do ubrań.

Igor chodził za mną krok w krok.

– Wnerwia cię mój smutek, tak? Nie jestem nim opętana, wiesz? Inne osoby doceniają mnie taką, jaką jestem. Mam je wymienić?

Zatrzymał się i wsadził ręce w kieszenie.

– Pewnie pójdziesz z nimi do łóżka, jak już nie będziesz ze mną – wycedził. – Ja wiem, że ty się podobasz, i wiem, do czego jesteś zdolna. A skoro już jesteśmy szczerzy...

– To co? – zapytałam, wsuwając stopy w baleriny.

– Muszę ci powiedzieć, że... Że ja cię chyba nie kocham.

– Jeszcze całkiem niedawno mnie kochałeś!

– I całkiem niedawno przestałem.

– Czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Po co mieszkaliśmy razem?

– Wahałem się. Mężczyzna potrzebuje kobiety, to są prawa biologii. Ale ty nigdy nie będziesz kobietą mojego życia. Teraz to wiem.

– PIERDOL SIĘ! – (Zapisuję to wielkimi literami, bo takimi to wykrzyczałam).

Igor popatrzył z wyższością.

– Nie lubię, gdy kobieta używa takich słów – powiedział pogardliwie.

– Znalazł się elegant i wielbiciel dam!

Zabrałam bagaż, z całej siły rąbnęłam frontowymi drzwiami i tyle mnie widziano.

Cała się trzęsłam. Nie wiem, jak udało mi się dojechać do akademika. W autobusowej szybie zobaczyłam kobietę przypominającą zbiega z domu wariatów.

Rozdział VI

Siostrzyczka

To, że Igor przestał mnie kochać, nie mieściło mi się w głowie. Nosił mnie na rękach, a teraz upuścił na podłogę. Rozbiłam się; dobre uczucia wypłynęły ze środka niczym wnętrzości. On wcale się tym nie przejął. Do tego zabrał moje historie, histerie i porzucił je, cholera wie gdzie. Nazywałam go sukinsynem, zjebem, popierdoleńcem. Z całą mocą wrócił do mnie język, którego, chcąc nie chcąc, uczyłam się w domu. A tak bardzo chciałam go zapomnieć. Przecież wolałam wyrażać się w zupełnie innym stylu, ładnie i starannie, z przecinkami i kropkami. Wyjątki robiłam w naprawdę skrajnych sytuacjach.

Kiedy w ramach takiego wyjątku wyładowałam emocje, przesłałam byłemu paczkę. W środku była „nasza” sukienka, podarta i porozcinana. Liczyłam, że on zareaguje, zadzwoni, napisze. Nic z tego. Nie odzywał się. Pragnęłam nie myśleć o nim tak wiele. Przecież spędziliśmy ze sobą nie lata, tylko jedno lato. Z tym że bardzo intensywne.

Teraz moje życie zasnuł jeden wielki smutek, jedna wielka cisza. Płakałam krwią spływającą z ponacinanej skóry. Dużo spałam, marząc, że ukochany przyjdzie we śnie. Nie przychodził. Zaczęłam więc wyobrażać sobie, że umarł. Sądziłam, że dzięki temu będzie mi łatwiej. Nie było. Bez niego umierałam. Towarzyszył mi rodzaj takiego bólu, który wytrwale śledzi każdy krok. Gdzie miałam przed nim uciec? Do kogo?

Wydawało mi się, że jestem stworzona do cierpienia. W imię czego tak cierpiałam? W imię czego znów dałam się nabrać na miłość? Wspominałam, jak z Igorem wracaliśmy z Warszawy do Łodzi. Uważałam tę podróż za symboliczną. Kiedy mój ukochany pakował rzeczy, był bardzo niespokojny. W pociągu wzięłam go za rękę i gładziłam po niej lekko. Miało być tylko lepiej. A jednak ten związek nie okazał się szczęśliwy, podobnie jak wszystkie inne. Uważałam się za życiową niedojdę, bez zawodowej przyszłości.

Czym się zająć po studiach? Oto było pytanie. Pisać mogę, ale co poza tym? Skończy się na jeżdżeniu na szmacie i tyle. Bo przecież jestem szmatą, wstrętnym wyciruchem. Wszystko pasuje.

Świat za oknem poszarzał. Długie dni były bezpieczne, długie noce stały się zagrożeniem. Bałam się egipskich ciemności późnej jesieni. Zmuszałam się do wyjścia z akademika. Moi dawni kochankowie nie mieli szans mnie rozpoznać. Długie włosy, z których zawsze byłam taka dumna, chowałam pod kurtką i czapkę naciśniętą na oczy. Przygarbiona, z rękami w kieszeniach, ze spojrzeniem wbitym w chodnik wyglądałam jak chłopak. Nad wąskimi ciemnymi ulicami unosiły się chmury brudnego pyłu. Opadały na ściany kamienic. Po ich mieszkańcach pozostał odór moczu. Oni nie byli już ludźmi. Rozpływali się, gdy znikali za rogiem. Snuli się po zaułkach. Próbowалаm przejrzeć się w kałuży, by sprawdzić, czy nadal jestem człowiekiem, ale ponad grudami błota nie zobaczyłam niczego.

Wstrętne krajobrazy ubarwiały wyłącznie ładne kobiety. Włóczyłam się za nimi bez celu. Wciągałam do płuc ich zmysłowe wonie. Kiedy się zmęczyłam, wsiadałam w pierwszy lepszy autobus. Przez brudną chropowatą pajęczynę na oknach obserwowałam gnijący świat.

Byłam pewna, że tylko Igor obudzi mnie do życia.

Po raz pierwszy od lat poszłam do kościoła, pomodlić się o jego powrót. Oślepiły mnie złote ołtarze i kryształowy żyrandol, ogłuszył zawodzący śpiew. Wzdłuż głównej nawy ciągnęła się kolejka – ksiądz udzielał komunii. Przypomniałam sobie, jak żartowaliśmy z Igorem, że wybierzemy się na mszę, a on przytrzyma hostię w ustach. Później ukradkiem ją wyjmie i schowa. I natychmiast wybiegniemy, by się nie rozpuściła, zanim wsadzi ją we mnie. My to mieliśmy pomysły! Teraz przepraszałam za nie Boga i błagałam na klęczkach, by mi pomógł. Niech Igor znów otworzy na mnie serce, niech ze mną będzie na zawsze, Panie Boże, Panie Boże... ukrywałam twarz w dłoniach, przetykając łzy. Panie Boże, Panie Boże...

Urwał mi się watek. Było mi wstyd za hostię.

Wysłucha, nie wysłucha?

Przed zupełnym zwątpieniem uratował mnie nie Pan Bóg, lecz sztuka, jedyny pewnik w moim rozchwianym życiu. Wróciłam do niej. Każdy odbiera ją, jak chce, więc co mogłam poradzić na cudzy nieszczerzy odbiór? Tak bardzo potrzebowałam piękna. Uroiłam sobie, że dzięki niemu zagłuszę ból, i to był całkiem dobry pomysł. Zimą całymi popołudniami przesiadywałam w ciszy i ciepłe biblioteki uniwersyteckiej. Najczęściej przeglądałam albumy z obrazami, fotografiami i popijałam lurowatą kawę. Cudze barwne wyobrażenia zastąpiły mi własną wstrętą rzeczywistość. Stałam się lepszą studentką. Prawie najlepszą na roku.

Główną konkurencję stanowił niezwykle czytany i inteligentny sztywniak. Skończył już historię i dołączył do nas na dwa lata studiów magisterskich. Typ zupełnie nie w moim typie. Bardzo wysoki, bardzo chudy, w przykrótkich spodniach i kraciastych marynarkach, wyglądem przypominający Fagota z *Mistrza i Małgorzaty*. W myślach nigdy nie nazywałam go inaczej, mimo że brakowało mu diabolicznej przewrotności, cudacznej pomysłowości, szalonej ironii. Nie miał nawet odrobiny polotu. Podczas dyskusji na zajęciach wydawał jedynie słuszne wyroki na każdy temat. Czuł się sędzią najwyższym w niebiesiech. Tak, niebiesiech, bo w różnych wystąpieniach używał górnolotnych wyrażeń rodem z dziewiętnastowiecznej powieści. Jeżeli w pierwszym zdaniu nie pojawiło się „aczkolwiek”, mogłam być pewna, że usłyszę je w drugim. Kiedy się z czymś zgadzał, mówił „w rzeczy samej”. Zaprzeczał słowami: „Takie rozumowanie jest nie do przyjęcia”. Wtedy nerwowym ruchem odgarniał na bok bujną grzywę. Wyróżniał się zmanierowaniem. Jednak jego twarz rozjaśnił całkiem ujmujący uśmiech, gdy odbierał esej od profesora. I gratulacje z powodu interesującego tekstu z dużą liczbą przypisów. Następnie profesor zwrócił się do mnie, oznajmiając, że moja praca była niemal tak samo dobra. Porównanie to ścigało mnie jeszcze, gdy zbiegałam ze schodów po zajęciach. „Prawie”, ciągle cholerne „prawie”! A tak się starałam!

Cholera jasna!

Z całej siły walnęłam drzwiami od toalety; omal nie wyleciały.

Żyłka była na swoim miejscu, plaster też.

Kiedy już się uspokoiłam, wpadłam na pomysł, jak pokonać przeciwnika.

Dawniej szkoda byłoby mi tracić czas na czytanie dziewiętnastowiecznych powieści i na zdobywanie dziewiętnastowiecznych mężczyzn. Tym razem poświęciłam się jednak dla dobrej sprawy. Wreszcie miałam cel i on mnie pobudził. Znowu dbałam o urodę, starannie malowałam się i ładnie ubierałam. Na wykładach siadywałam ramię w ramię z Fagotem. Po zajęciach buszowaliśmy w bibliotekach i wymienialiśmy się materiałami (szczerzył się nad zdobyczą, podobny do myszy kradnącej kawałek sera). Najbardziej łączyło nas to, że zamierzamy udzielać się w niedocenianym zawodzie. On zwierzył mi się, że nawet księdzu na kolędzie musiał tłumaczyć, dlaczego zdecydował się na takie właśnie studia.

Zdołałam wtącić, że obecnie zajmowanie się sztuką jest rodzajem masochizmu. Jej historycy są gatunkiem na wymarciu, żaden Greenpeace ich nie ochroni. Niechby spróbowali zastrajkować i zagrozili, że zaprzestaną pracy! Ludzie spoza branży w ogóle nie zwróciliby uwagi na protest. Co innego, gdyby Beyonce albo Jennifer Lopez oświadczyły, że przestaną bujać tyłkami. Rozpaczałyby miliony, niczym za księżną Dianą.

Fagot śmiał się i przyznawał mi rację. Zapunktowałam!

Nabrałam go, że przeprowadziłam się w jego okolicę.

– Okazja. Bardzo niski czynsz, zadbana kawalerka, właściciel wyjechał na rok – łągałam. – Namówiłam współlokatorkę i stało się.

Dzięki temu kłamstwu jeździliśmy tym samym autobusem. Wysiadałam przystanek przed nim. Wytropiłam, w którym sklepie robi zakupy. Wpadałam tam na niego niby przypadkiem, ale nie za często. A po dwóch tygodniach rzuciłam od niechcena, że idę obejrzeć nową wystawę w Muzeum Sztuki. Zapytał, czy może

pójść ze mną.

– Oczywiście! – Prawie go uściskałam z radości.

Gdy oglądaliśmy obrazy, słuchałam z uwagą jego słów i chwaliłam wnioski. Myślę podobnie, cieszyłam się, nawet jeśli myślałam inaczej. Miałam wrażenie, że idąc przez życie, odtwarzam kolejne role. Teraz grałam kogoś, w kim zakocha się Fagot. Dreptałam obok niego w pantofelkach na obcasach, taka potakująca, taka łagodna, taka kobieca. Niech żyją stereotypy! Wytrwale szukałam z nim po antykwariatach okazów do kolekcji męskich zegarków. Tam dopiero się mądrzył! Zupełnie jak smerf Ważniak. W tych samych pantofelkach wchodziłam w park z wierzbami płaczącymi nade mną i nad nim. Podarował mi wiersz; gdy czytał o moim „ciemnym jak noc włosie”, „jedwabnym głosie” i „Kleopatry nosie”, z trudem zachowywałam powagę. Udawałam zachwyt i wdzięczność. Chyba całkiem przekonująco, skoro spoglądał na mnie cielęcymi oczami. Ale cielątko wciąż nie wypasało się na moich pastwiskach. Jedynie całowaliśmy się, lecz i to nie za długo i nie za głęboko.

Na jednym z naszych spacerów przypomniało mi się, jak uczyłam się chodzić w szpilkach. Stopy krwawiły, palce bolały, ale szłam, coraz dalej i dalej. Gdybym się zatrzymała, zaprzepaściłabym dotychczasowy wysiłek. Teraz również się nie poddawałam.

Wzruszaliśmy się na wieczorkach poetyckich, wernisażach i koncertach w filharmonii. Naprawdę budziły we mnie emocje i naprawdę dobrze mi się z nim później rozmawiało. On brał udział w tych wydarzeniach z wewnętrznej potrzeby, nie zaś po to, żeby móc się później chwalić, jaki to jest kulturalny. Miałam wyrzuty sumienia, że niedługo go stracę i naprawdę mocno zranię, wyłącznie w imię celu, ale też nie chciałam się wycofywać.

Zwłaszcza że w końcu zaprosił mnie do siebie.

Palily się świece, dymiły aromatyczne kadzidelka, sypały się płatki róż, oczywiście czerwonych. Typowy sentymentalny romantyzm do potęgi entej. Zdecydowanie wolałam ten wykurwisty, którego mistrzem był Igor. Z perspektywy czasu

pamiętny remont kuchni jawił mi się jako wykurwiście romantyczny. W tamtym kontakcie obecne było wszystko, co nieujarzmione.

Brakowało mi tego.

Spodziewałam się, że seks z Fagotem będzie o wiele bardziej drętwy.

Spotkanie naszych warg i języków trwało wyjątkowo długo. Jego dłonie rozczesywały mi włosy dokładnie, pasmo po paśmie. Od nasady niemal po same końce, niczym w reklamie. I znów. Muskałam go po uszach i karku, aż miałam dość. Minęła chyba godzina, zanim ściągnął mi bluzkę. Całował szyję, ramiona i dekolt, jakby postępował według planu, punkt po punkcie. Biust omijał starannie. Nie rozpiął mi nawet stanika. A specjalnie włożyłam bardzo ponętny, z przezroczystej koronki. Niemożliwe, by nie dostrzegł, że naprężone piersi czekają na pieszczoty...

Odpływałam.

Moje nadzieje odpłynęły również. Fagot podał mi bluzkę i oznajmił, że zaraz będzie tu jego siostra. Wydawało mi się, że stchórzył, ale co zrobić? Na pożegnanie dałam mu gorącego całusa. Przegrałam bitwę, ale nie wojnę.

Na kolejną randkę umówiłam się, gdy moja współlokatorka wybrała się do kina na noc filmową. Ubrałam się w najkrótszą spódniczkę. Pod elegancką koszulę włożyłam czarny gorset, kupiony specjalnie na tę okazję – z przodu obszyty koronką i ozdobiony wstążkami, kusząco podkreślał biust i wyraźnie zaznaczał talię. Moja desperacja była równie mocna jak gorsetowe sznurowanie. Zaklinałam los, żeby nie zachorować. Zaraz po powitaniu oznajmiłam:

– Trochę za lekko się ubrałam. Przemarzłam. Ty też?

Przytaknął.

– A co powiesz na grzańca? Znasz dobry lokal?

Znał. Zadałam, żebyśmy wypili za dużo, i zaprosiłam go do akademika.

Po schodach wchodziłam jako pierwsza. Z tyłu spod mojej spódniczki wystawały koronki pończoch i klamerki

przytrzymującego je pasa. Kiedy zamknęłam za nami drzwi, Fagot przycisnął mnie do nich. Szybkimi, nerwowymi ruchami zdjął mi kurtkę i koszulę. Raz w życiu poszedł za impulsem! Proste, wypróbowane metody są jednak najbardziej skuteczne! – triumfowałam. A może dodawane do grzańca goździki to rzeczywiście skuteczny afrodyzjak?

Tak jak się spodziewałam, Fagot oniemiał na widok gorsetu. Pociągnęłam go za sobą na łóżko.

Znajdowałam się w stanie dorównującym wygłodzonemu ludożercy. Nie wierzyłam, że udało mi się tyle czasu wytrzymać post. Ścisły. Zachłannie kosztowałam ciepło, zapach i smak męskiego ciała przepelnionego podnieceniem. Kiedy robiłam fellatio, w głowie słyszałam wierszyk, którego nauczyłam się w przedszkolu. Sylabizowały go chórem dziecięce głosy:

„Grały żaby w błocie.

Jedna na fagocie,

druga na flecie,

trzecia na klawirze”^[10].

Siłą woli powstrzymywałam się, by nie zarechotać.

Rozrzuciłam nogi wśród poduszek.

Fagot był czuły, lecz nie namiętny. Ale kiedy zawładnęłam nim ja, podarowałam mu całą namiętność, jaką miałam. Włosy zwilgotniały mi od potu. Oblepiałam kochanka sobą, jakby wyciekł ze mnie sok gromadzony przez miesiące; tak szybko dopiął swego, że za nim nie nadążyłam – zresztą nawet kiedy spacerowaliśmy, gnał do przodu jak uczestnik marszobiegu – ogarnęło mnie jednak zadowolenie.

Tak długo marzyłam o tej chwili!

Okazało się, że dla mnie, właśnie dla mnie, Fagot złamał główną ze swoich zasad. Powtarzał, że uprawia seks wyłącznie z kobietami, które kocha naprawdę. Przy nim nie wypadało powiedzieć „pieprzyć się”; grzywka by mu się zatrzęsała z oburzenia! A mnie przecież nie kochał, więc po odpoczynku pieprzyliśmy się raz jeszcze.

I nadal umawialiśmy się na randki. Miałam mu powiedzieć,

że założyłam się sama ze sobą, że zaciągnę go do łóżka? I że wygrałam zakład? Nieustannie dokuczało mi poczucie winy. A on traktował mnie dobrze. Aż za dobrze. Przeklinałam siebie, że nie potrafię się w nim zakochać, natomiast Fagot wydawał się podbudowany tym związkiem nie związkiem. Powtarzał, że wciąż go zaskakuję. Przyznawałam, że on mnie też, po czym posyłałam mu drewniany uśmiech. Miałam wówczas wrażenie, że wydłuża mi się nos, i na wszelki wypadek dotykałam jego końca, by sprawdzić, czy jest na swoim miejscu.

Był.

Kiedy Fagot miał nastrój, chętnie pomagałam mu nadrobić erotyczne zaległości. Jednak niełatwo było go nastroić do seksu. Musiałam się przełamywać i stosować jego ulubione pseudoromantyczne sztuczki: ubierać się w wykwinną bieliznę, dymić świecami i kadzidełkami. Podłóż mi poduszki pod biodra (może szybciej dojdę na haftach Richelieu?), wezmę cię na jeźdźca, teraz 69, czekaj, posmaruj mnie miodem i zlizuj, o tak, chodź do łazienki, przecież cała się lepię, przy okazji pokochamy się pod prysznicem, a spróbujemy na stojąco? – komenderowałam. Spróbowaliśmy, lecz nie dał rady mnie utrzymać i obtłukł mi plecy o ścianę. Nie wiem, gdzie chował swą męską dumę, gdy bez mrugnięcia okiem robił wszystko, co chciałam. Traciłam do niego resztki szacunku.

Już nie kryłam się z moim prawdziwym ja, bo ile można? Nie chciałam przed Fagotem, gdy osiągnęłam wszystko, na czym mi zależało. A on uznawał za prawdziwych Polaków tylko tych ultrakatolickich, ultrapravicowych i heteroseksualnych. Nie miałam pojęcia, że w moim pokoleniu zdarzają się takie osoby. Dopiero później okazało się, że jest ich więcej, a jeszcze więcej w pokoleniu młodszym. Mój kochanek na przykład oburzał się, że geje są „zbyt widoczni”.

– Mają być niewidzialni? – oponowałam.

– Nie podoba mi się, jak obnoszą się po ulicach. Te ich stroje, parady równości! Po co to wszystko? – fuknął.

Odparłam, że to nie żadne obnoszenie się. Że oni po prostu

wykraczają poza schemat, a przy okazji prowokują do przekraczania go inne osoby. Może to tak boli? A homoseksualiści z parad stanowią część społeczności LGBT, tę najbardziej widoczną, ale przecież nie jedyną. Fagot natomiast uważał, że niedługo „normalni ludzie” będą musieli organizować własne manifestacje, by obronić się przed zalewem „homoseksualnej kultury”. Argumentowałam, że w kulturze nie chodzi o walkę, lecz o odnalezienie wspólnego miejsca i podjęcie różnych wątków. Orientacja seksualna to sprawa natury, psychiki, przecież tyle się o tym mówi.

– Co tu oskarżać? – zastanawiałam się na głos.

Nic z tego. Uznał mnie za obrońcę homoseksualistów.

– Jeśli już, to jestem obrończynią – poprawiłam.

Wtedy przechodził do atakowania feminizmu.

Podobne dyskusje prowadziliśmy godzinami. Fagot nigdy nie podnosił na mnie głosu, ale nigdy też nie dawał się przekonać do moich racji. Jego upierdliwość dorównywała mojej.

– Takie rozumowanie jest nie do przyjęcia – słyszałam nieustannie.

Przy okazji odzywała się w nim wreszcie męska duma, co nawet mnie intrygowało. Odważniej zachowywał się w łóżku. Widocznie potrzebował czasu, by poczuć się pewniej ze swoją seksualnością i ze mną. Lubiałam doświadczać tych podniecających chwil, gdy stawał się wolny od zasad, uprzedzeń i poddawał się instynktom.

Niedługo potem zapragnął zająć pierwsze miejsce w moim życiu. Nalegał, żebym dla niego zmieniała swoje plany. Chciał kontrolować mój czas i nastawiać mnie jak zegar z kukułką. Niech kukułeczka kuka, kiedy tylko będzie miał ochotę ją usłyszeć. Skarzył się, że dostarczam mu zbyt mało dowodów uwielbienia. Uważał, że zakochani powinni się czcić.

– Co, mam piszczeć, gdy cię zobaczę? – drwiłam, a on się nadymał.

Fantazjowałam, że wbijam w niego szpilkę i wypuszczam powietrze, jak z balonika. Nie wiem, czemu ode mnie nie odfrunął,

bo nadymał się coraz bardziej. Lecz wciąż nie pękał! A poza tym nie był durniem. Uważał, że chyba nie wiem, kim jestem. Tłumaczyłam mu, że nawet nie zamierzam się nad tym zastanawiać. Jestem podwójna, zmienna, nieokreślona. Całe moje życie przypomina grę w klasy, przeskakiwanie z jednego stanu w drugi na jednej nodze.

Coraz trudniej było mi określić, kiedy tkwiłam w roli, a kiedy byłam sobą. Jako urodzona cyrkówka potrafiłam roztaczać czar, do którego inni chcieli powracać. Moja wina, że on także się na toabrał?

Czerpałam jeszcze jedną przyjemność z naszej farsy. Otóż Fagot miał siostrę bliźniaczkę, Laurę. Mieszkali razem, a rodzice przelewali im pieniądze na utrzymanie. Dowiedziałam się, że mój kochanek pochodzi z rodziny prawniczej. Wreszcie jasna stała się dla mnie jego skłonność do osądzania, chociaż wyłamał się i jako jedyny studiował historię i historię sztuki. Akurat tą odmiennością mi zaimponował. Poza tym mógł okazać się przydatny adwokatom – przecież na wokandzie toczą się także sprawy o skradzione dzieła.

Siostrzyczki długo nie dane mi było poznać. Zawsze była na wykładach, na jednym z niezliczonych kursów językowych albo u równie mądrych znajomych. Dopiero po dwóch miesiącach regularnych spotkań z Fagotem zastałam ją w mieszkaniu. Weszłam do niego sama. Kochanek dał mi klucze i jeszcze skrzył do sklepu.

Laurę zobaczyłam przez szparę między ścianą korytarza a uchylonymi drzwiami do jej pokoju. Ściągała bluzkę. Tkanina trzepotała nad nią przez chwilę, zanim została zgrabnie odrzucona za plecy. Nie śmiałam przerywać tego czarującego spektaklu. Długie, jasne jak len włosy rozpięzły się na boki, zapewne podobne w dotyku do włosów Fagota. Ile razy przesuwałam po nich palcami, miałam wrażenie, że rwę na strzępki pajęczynę. Dziewczyna została w białym staniku, który ładnie podnosił piersi. Zmieściłyby mi się w dłoniach. Żebra wystawały trochę zbyt mocno, jakby miały za chwilę przebić skórę. Laura miała długie i

szczupłe nogi; z niesamowicie wąskich nogawek dżinsów wychylały się białe stopy. Czy dywan łaskocze ją w pięty podczas przechadzki po pokoju? – zastanawiałam się.

Narzuciła na siebie inną bluzkę. Oczywiście, że spłoszyło ją „cześć”, które wtedy powiedziałam. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Miałam okazję przyjrzeć się jej twarzy. Zauważyłam kolejne podobieństwa do brata: błękitne oczy, wydatne kości policzkowe, blade wargi. Do kobiet bardziej pasuje taka subtelna uroda. Porozmawiałyśmy chwilę, nie pamiętam o czym, obie równie zmieszane. A przecież nie mogła wiedzieć, że ją podglądałam.

Seks z siostrzyczką za ścianą okazał się najbardziej udanym numerkiem podczas romansu z Fagotem. Podrzuciłam mu pomysł, by wziął mnie od tyłu; wtedy nieobecne spojrzenie nie mogło mnie zdradzić.

Wpatrywałam się w okno. Niebo miało ciemnogrnatowy kolor chłodu. Ośnieżone drzewa na mrozie przybrały barwę srebra. Wyobrażałam sobie, że wyłania się zza nich Laura ubrana w obszerne futro. Popycha mnie w śnieg, pochłania niecierpliwymi ustami, rozbiera równie zachłannymi dłońmi. Futro się rozchyła. O moją skórę ocierają się piersi, po nodze przesuwa się wilgotna wagina. Ten miłosny krajobraz doprowadzał mnie do szału. Nie czułam się podle wobec partnera. No dobra, trochę. A może jego o wzwód przyprawiła wizja kupionego okazjnie roleksa? Albo ulubionego obrazu?

Po seksie odwrócił się. Nie do mnie, tylko do ściany.

– Masz wybujały temperament. Nie gwarantuję, że sobie z nim poradzę – przemówił w stronę tapety.

– Mój były mówił, żebym poszukała sobie drugiego kochanka na mieście – wymusnęło mi się.

Fagot milczał, zacięty. Zachichotałam, by pokryć zmieszanie.

– A daj spokój, to był dowcip – próbowałam naprawić wpadkę.

Wtedy wreszcie na mnie spojrzął. Uniósł niemal białe brwi i zrobił tak ponurą minę, jakby mieszkał w krainie, gdzie wiecznie

panuje ciemność, a jej mieszkańcom szczeni się nawet widoku zorzy polarnej.

Przed snem nie zamieniliśmy już ani słowa.

Podczas śniadania Laura przemknęła obok nas. Miałam ochotę klepnąć ją w pupę, gdy wycofywała się z kubkiem i talerzem. Wtedy chyba by się zatrzymała? Podobały mi się jej smukłe palce. Czy ona wsuwa w siebie migdałowe paznokietki? A jakby mnie nimi podrapała...?

Delektowałam się tymi i podobnymi myślami.

Kiedy mój obiekt westchnień zostawił nas samych, Fagot wyjął z szuflady pod blatem nóż i deskę. Położył na niej duże jabłko przypominające mutanta z fabryki idealnie okrągłych i czerwonych owoców. Poprosił, żebym je pokroiła, i poszedł do pokoju siostry. Nie było go długo, a mnie się nudziło, więc poszatkowałam jabłko w wiele cienkich plasterków. Układałam je obok siebie w półkoliste wachlarze na białym porcelanowym talerzu.

– Dlaczego wzięłaś Rosenthala? – usłyszałam za sobą gniewny głos. Oczywiście, musiał wymienić markę. – Nie mogłaś dać mi po prostu kawałka jabłka?

– Nie mogłam. – Wyczułam okazję. Zsunęłam plasterki na blat i rzuciłam talerzem o podłogę. – Teraz lepiej?

Tym gestem potłukłam całe burżujstwo Fagota. To jego mlaskanie nad wszystkim, co dobrze wykonane i kosztowne, tę porcelanową wrażliwość na własnym punkcie i zarozumiałstwo.

Tego już nie zniósł.

– Zniszczyłaś Białą Marię! – lamentował, zbierając jej zwłoki. – A dopiero co ją kupiłem! Jesteś nienormalna, od początku wiedziałem!

On wiedział wszystko. To ja nie wiedziałam o mojej nienormalności, choć z czasem się dowiedziałam. Białej Marii i jabłku niech będą dzięki! Jeżeli ono zakończyło rajską sielankę, to nic dziwnego, że i mniej sielską relację też. Po tym incydencie rozstaliśmy się z inicjatywy Fagota. Na uczelni omijał mnie szerokim łukiem, jakbyśmy się rozwiedli z orzekaniem o winie.

Naturalnie mojej.

Nikt się już nie wtrącał w moje życie, z nikim się nie awanturowałam. Przez tydzień towarzyszyło mi ukojenie. Następnie jego miejsce zajęła samotność. Znienawidziłam ciało, które nikomu nie dawało rozkoszy. Stało się puste i martwe. Atakował je ból, rozdzierający od środka. Wdzierał się do wnętrza coraz głębiej i żywił się mną, a ja mu się oddawałam. Tak się objawiał kolejny napad choroby na brak miłości. Przechodziła na krótko, by później od nowa atakować nieodporny organizm.

Zima była tak długa, że chyba wszyscy tracili siły. Nie byłam wyjątkiem. Po prostu zniechęcenie spadało na ludzi wraz z płatkami śniegu. Roztopiało się i spływało za kołnierze kurtek. Jego mokra struga ciekła po karkach i plecach.

A mną wstrząsały dreszcze. Potykałam się o nierówne płyty chodnikowe. Uważałam, żeby się nie poślizgnąć na śniegu i nie wpaść w świeże gówno.

Wpadłam i tak.

Rozdział VII

Niespodzianki

Pod koniec zimy odebrałam telefon, na który czekałam od miesięcy.

Bóg mnie jednak wysłuchał! Moje oczy błędziły po niebie, ale nie rozstępowało się ono ani nie sfruwały z niego cherubiny. Za to Igor anielskim głosem oznajmił, że dłużej nie wytrzyma tęsknoty za mną. Od naszego rozstania nie ruszył narkotyków. Żadnych. I właśnie zdobył się na odwagę, by mi o tym powiedzieć. Uwierzyłam w tę jego przemianę, skoro mówił tak dojrzałe i pierwszy wyciągnął rękę do zgody. Miałabym ją odrzucić? Nigdy!

Za dwa dni zamierzał przyjechać do Łodzi.

Skakałam z radości, że oto skończy się moja samotność. Ukochany wraca razem z wiosną! To znak, na pewno znak! Wyobrażałam sobie, że znajdę się wreszcie na swoim miejscu, w przytulnym domu jego ramion. Podpiszę na niego akt własności. I nigdy – przenigdy! – go nie opuszczę.

Szłam na spotkanie z nim jak nieprzytomna. A gdy go zobaczyłam, dopadła mnie obawa, że nadal śnię. Że sen się skończy, a on rozplynie się w powietrzu. Oboje mówiliśmy niewiele, jakby zdumieni sobą.

To ty? To my, znów razem?

Zaprosił mnie do mieszkania, w którym znałam każdy kąt. Wszystko wydawało się niezmienione od mojej wyprawki. Czas się cofnął. Popijałam aromatyczną herbatę, a Igor krążył po kuchni w tę i z powrotem. Opowiadał, jak jego znajomi postrzegali nas jako parę. Czy dawali nam szansę, czy byli zaskoczeni rozstaniem, co sądzili o planowanym przez niego powrocie. Omawiał temat z zacięciem godnym psychologa, który przeprowadza przełomową ankietę. Pomyślałam, że jeżeli dorzuci zdanie paskud ze skandalicznego zdjęcia, natychmiast wychodzę, lecz on zauważył moją niechęć i przerwał przyciężki monolog. Przystanął i oparł się o blat. Czy teraz liczył na mnie?

Cisza stawała się coraz trudniejsza do zniesienia.

– Wyczuwam napięcie – przerwałam milczenie.

– Rozładuj je – odparł.

Kto kogo sprowokował?

Zbliżyłam się i złożyłam na ustach Igora namiętny pocałunek. On wsunął dłonie pod moją spódnicę. Nasze języki drażniły się ze sobą. Napierał na mnie, a ja cofałam się coraz bliżej stołu. Oparłam się o blat. Wystarczył jeden ruch, bym została pozbawiona rajstop. Poddał się zamek z tyłu spódnicy. Opadła na podłogę. Usiadłam na krawędzi stołu i zsunęłam majtki. Igor przykleknął między moimi nogami; położyłam mu je na ramionach. Jego język przesuwiał się po moich udach, aż musnął czubkiem najbardziej gorącą część ciała. Zadrżałam. A on wcisnął go głębiej. Poruszał nim sprawnie. Uniósł głowę i zajrzał mi w oczy. Co w nich zobaczył? Pochylił się ponownie.

Nie wiedziałam, czy to jego wzrok, czy język doprowadziły mnie do pasji. Jęczałam, wstydząc się, że tak mnie ponosi.

Kiedy ochłonęłam, podniosłam z podłogi bieliznę i rajstopy.

Igor chciał mnie przytulić, ale się wywinęłam. Dopięłam spódnicę, poprawiłam włosy i pociągnęłam usta błyszcznikiem. Powiedziałam, że śpieszę się na popołudniowe zajęcia, i wyszłam.

Na ulicy przechodnie oglądali się za mną, jakby moją skórę podświetlał wewnętrzny blask.

Niewiele brakowało, a spóźniłabym się na wykład. W drzwiach sali zderzyłam się z Darią, która również wpadła w ostatniej chwili, jedną z bardziej wyrazistych osobowości na roku. Intrygował mnie kontrast między jej zainteresowaniami a stylem bycia. Nie znałam innej punkówki odnawiającej kościelne wnętrza. Po jej interwencjach połamane, pobladłe figury, niewyraźne malowidła i odprysnięte zdobienia odzyskiwały dawny splendor. Oglądałam zdjęcia przed renowacjami i po. Na jednym z nich Daria siedziała na metalowej barierce rusztowania – za nią fresk i witrażowe okno – w czarnych, poplamionych farbą ogrodniczkach i dresowej bluzie z kapturem. Smukłe dłonie okrywały grube rękawice. Pochylała rudą głowę nad wyświetlaczem telefonu.

Kontrast z miejscem był niesamowity. „Nie będzie mnie na zajęciach, drapię ołtarze”, pisała do mnie często. „Pierwszy raz zebrałam opierdół, że za dobrze pracuję”, chwaliła się w swoim stylu. Ale kiedy pojawiała się na wykładach, zabierała głos w prawie każdej dyskusji. Często nie zgadzała się z profesorami, a oni komentowali jej opinie jako śmiałe i oryginalne. Zazdrosne koleżanki nazywały ją „wyszczekaną awanturnicą”, lecz ona ignorowała otoczenie i pozostawała sobą. W cytatach na Facebooku zamieściła słowa Oscara Wilde’a: „Każde wrażenie, jakie się wywołuje w świecie, stwarza nam nieprzyjaciela. Aby być popularnym, trzeba być miernotą”^[11].

Za siłę, niezależność i swobodne łączenie pozornych sprzeczności podziwiałam Darię od dawna. Ale od całkiem niedawna zaczęła mi się podobać. Odkąd ścięła włosy, nie mogłam oderwać od niej oczu – z jednej strony twarzy wygolone do kilku milimetrów, z drugiej dłuższe, zmierzwione. Fryzura odsłaniała szczupłe rysy, małe uszy i długą szyję. Daria prezentowała się w niej zarazem delikatnie i drapieźnie.

Ta niejednoznaczność wprawiała mnie niemal w ekstazę, siadywałam zatem za plecami koleżanki, żeby tego nie zauważyła. W ten sposób jednak już nie tylko piękna szyja nie dawała mi spokoju. Z równowagi wyprowadzał mnie również zarys odsłoniętych ramion. Jeszcze bardziej ponętne były nagie wystające łopatki przedzielone paskiem bokserskiej koszulki. Czy ona zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest seksowna? Jak gdyby nigdy nic przewracała kartki notatnika, a we mnie szelest papieru wywoływał dreszcz. Czułam się nie w porządku wobec Igora. Sądziłam, że po jego powrocie przestanę pożądać Darii.

– Jak ja mu to powiem? – rozmyślałam. Nie powiem! – postanowiłam.

W kolejnych tygodniach spędzałam z nim czas podobnie jak przed rozstaniem. Wciąż stanowiliśmy duet przyjaciół i kochanków. Niestety, początkowa euforia minęła. Podczas seksu wydawało mi się, że po prostu odtwarzamy nasze najbardziej namiętne chwile. Energia Igora przepływała we mnie rytmicznie,

ruch po ruchu. On dojdzie, ja dojdę, gotowe. Moje ciało dawało odpowiedzi, lecz moja dusza nie. A on tego nie zauważał.

– Jesteś cudowną kochanką – przyznawał. – Nie znam drugiej tak zmysłowej osoby.

Sztuczny, starannie wyćwiczony uśmiech nie schodził mi z ust.

Bałam się, że zadławię się nim jak źle przełkniętym kęsem. Nasza relacja przytłaczała mnie coraz bardziej. Przede wszystkim odkryłam, że nie chcę już dłużej być samicą zdobywaną przez samca. Nie miałam pojęcia, czy była to kwestia bolesnych doświadczeń z przeszłości, czy wyłącznie ciekawości wobec tego, co nieznane. Dotąd, poddając się kochankowi, czułam się dobrze. Zdarzało się, że jako „nimfomanka” z premedytacją wchodziłam w rolę dla różnych korzyści. Teraz fascynowało mnie, że w miłości lesbijskiej partnerki okazują zarówno bierność, jak i aktywność, w różnych proporcjach. Moja seksualność domagała się zmiany, a mój partner hamował ten rozwój. Kiedy pragnęłam dominować, obrażał się, że neguję jego męskość.

Przyznawał, że pociąga go kobieca wyobraźnia. Czyli co, uważał, że ma inną? W uniesieniu tłumaczyłam mu, że wyobraźnia jest wolna i nie rządzi się żadnymi zasadami. Usiłował mnie uspokoić. Wyjaśniał, że po prostu powiedział, czemu lubi i mnie, i inne kobiety. Tylko mnie rozgniewał. Wrzeszczałam, że nie cierpię podziału na kobiece i męskie cechy charakteru, że wolę pojęcie różnych sił dopełniających się w człowieku. Najlepszym tego przykładem była Daria. Ona i inne kobiety wciąż czekały w przedsionkach mojego serca, rozgrzane i niecierpliwe. Zapewne wprawiłyby mnie w wibracje, jakich nie zaznałam do tej pory...

Im jednak mocniej złościłam się na Igora, tym mocniej on zabiegał o moją przychylność. Nie pojmowałam, co mu się stało. Śledziłam jego poczynania z chłodną uwagą.

Zorganizował niespodziankę. Otóż jego przyjaciel założył salon tatuażu. Miałam tylko wybrać i wydrukować wzór, jaki sobie życzę. Mój mężczyzna przekonywał mnie, że jego niesamowicie zdolny znajomy wytatuuje mi wszystko, o czym zamarzę, więc

zdecydowałam się na ważkę zajmującą połowę pleców.

Leciałam do salonu na jej skrzydłach. Igor był jak zwykle spóźniony.

Tatuażysta wnikliwie obejrzał wydruk, stwierdził, że wzór jest bardzo pracochłonny i jego wykonanie najlepiej rozłożyć na dwie sesje. Ja wolałam jedną, dłuższą. Ostrzegł mnie przed bólem, lecz zbagatelizowałam ostrzeżenie. W końcu kroiłam się nieraz.

– No, już jestem! – Wparował mój chłopak. – Rozbieraj się.
– Zawsze ci to mówi, jak przychodzi? – zażartował właściciel salonu.

Nie zdołał mnie rozśmieszyć.

Stanik zrzuciłam, dopiero gdy położyłam się na brzuchu, żeby nie miał widowiska.

Pochylił się nad plecami i zabrał do pracy. Igor siedział obok i trzymał mnie za rękę.

Na początku ból rzeczywiście mi nie przeszkadzał. Znałam całkiem podobny. Z tym że ten się przedłużał, a to i jego natężenie nie zależały ode mnie. Wydawało mi się, że ta męczarnia nigdy się nie skończy. Po upływie godziny przeklinałam w duchu mojego kochanka – chyba upadł na łeb, żeby mnie tu przyprowadzić! Ten to zawsze dojebie, kurwa mać! Jak prezent, to z gabinetu tortur! – ale twardo udawałam dzielną. Aż nie zapanowałam nad coraz bardziej skrzywioną twarzą. Igor troskliwie ocierał z niej pot i łzy.
– Rany, ile jeszcze? – myślałam. Nie wytrzymam! Zaraz zemdleję. Nie, przecież nie mogę wymieknąć. Dam radę!

I tak w kółko.

Wizyta kosztowała mnie tyle nerwów, że nie miałam siły podziwiać efektu. Dopiero po kilku dniach spokojnie obejrzałam tatuaż. Stałam tyłem do lustra, drugie trzymając przed sobą, i zobaczyłam.

Wypełnione misternym aazurem skrzydła rozciągały się aż na łopatki. Odwłok owada składał się z małych kuleczek przypominających perełki. Ważka miała ludzkie dłonie z długimi spiczastymi palcami. Wyciągała je w stronę szyi, jakby chcąc ją podrapać.

Artysta był, jaki był, ale talentu nie mogłam mu odmówić.
Gdy plecy się zagoiły, pojechałam odwiedzić brata w akademiku, żeby się pochwalić. Nie zapowiedziałam wizyty.
Na korytarzu na jego piętrze huczała muzyka. Czyżby te podkrecone basy dobiegały z pokoju Radka?
– O, Magda przyszła! – wrzasnął jego współlokator, gdy ujrzał mnie w progu. Zupełnie jak marynarz na bocianim gnieździe ostrzegający załogę przed niebezpieczeństwem.
Radek przyciszył muzykę i zdziwił się, co ja tu robię.
– Jakie miłe powitanie! Mój kochany braciszek! – Wytarrosiłam go za policzek.
Odsunął się z niechęcią.
Jego kolega padł ze śmiechu. Spojówki miał mocno zaczerwienione. Domyślałam się dlaczego, ale nie podejmowałam tematu. Podeszłam do biurka i zapukałam w szybę terrarium.
Próbowałam dobudzić jego mieszkańca, wypominając Radkowi, że tylko on mógł nazwać Mikim takiego potwora, a mój braciszek odszczeknął się, że tylko ja mogę mieć takie urojenia. Tymczasem tarantula pokiwała do mnie odnóżem. Szczerze ucieszyłam się, że mnie rozpoznała, i postanowiłam ją nakarmić.
Otworzyłam szafkę nad biurkiem, gdzie zwykle leżały różne suszone paskudztwa, ale znalazłam tam całkiem inny susz. Rzuciłam w szczeniaka dilerką. Mina mu zrzędła, ale nie stracił opanowania.
– Chcesz zajarać? Jak nie, to odłóż – powiedział dobitnie.
Nie chciałam robić scen w obecności świadka. Policzymy się później, stwierdziłam.
Z tego wszystkiego zapomniałam o tatuażu.
Radek zgłosił się do mnie z własnej inicjatywy już następnego dnia. Czy niewinny by tak postąpił? Nie. Tak zachowuje się tylko łgarz, do tego mało wprawiony w łganiu. Zarzekał się, że narkotyki nie należały do niego, tylko do współlokatora, ale nie nabrałam się na ten nędzny bajer. Zapytałam, skąd w takim razie mają zioło. I okazało się, że od Igora. Przyniósł je, mówiąc, że jemu jest niepotrzebne, a im może

się przydać. Radek wziął, oczywiście nie dla siebie, i natychmiast zapomniał o podarunku.

Tłumaczenie było gęste niczym syrop, którym matka poila nas na kaszel.

– Powiem ci jedno. Nie warto, żebyś się w to pakował – ostrzegłam.

– Nie pouczaj mnie. Zresztą, po co ta gadka? W nic się nie pakuję.

– Na pewno? Najpierw ziolo, później koks. I co dalej? W kanał będziesz sobie dawał? Ani się obejrzysz, a wpadniesz w bagno! – panikowałam, bo przecież chciałam dla niego jak najlepiej.

– Magda, siostra miłosierdzia, mnie będzie wyciągać. Tak jak swojego narzeczonego!

– Wynocha!

Za Radkiem trzasnęły drzwi, a ja natychmiast skontaktowałam się z „narzeczoną”. Opowiedziałam mu, co się stało, i zadałam pytanie, czy sprzedał Radkowi trawkę.

– No skąd, za darmo dałem. Miałem zapasy i się pozbyłem. Obiecałem zero palenia, to zero.

– Teraz mój brat ma jarać, tak? W przyrodzie nic nie ginie?

– Chłopak się przynajmniej wyluzuje. Raz, nie zawsze. A ty od razu dramat robisz. Ochłoń.

– Odpierdol się od Radka, rozumiesz? I ode mnie też! – Rozłączyłam się.

Tak, Igor wrócił do mnie naprawdę. Ze wszystkimi starymi problemami i z całym zapasem nowych.

Jednak największa sensacja była dopiero przede mną.

* * *

Po zakupach w drogerii ścisnęłam w dłoni małe kartonowe pudełko z nadrukowanym bobasem. Z buzią otwartą ze zdziwienia.

Miesiączka spóźniła się podejrzanie, bolały mnie piersi i podbrzusze. Czułam się opuchnięta i miałam mdłości.

Pochłaniałam szalone ilości jedzenia, a mimo to nieustannie

doskwierał mi głód. Pocięszałam się, że objawy PMS są bardzo podobne do ciąży. Oto kolejna złośliwość biologii wobec kobiet!

Tabletki brałam od lat, odstawiłam je dopiero po rozstaniu z Igorem. Ostatnio zabezpieczaliśmy się prezerwatywami. A jutro miało się okazać, czy mnie również antykoncepcja zawiedzie do krainy pieluch. Wedle zaleceń z ulotki test należało wykonać rano.

Ledwie wstałam, poszłam się odlać. Znów byłam jak suka. Nie, suka nie odmierzyłaby pipetką kropel moczu! Wsiąkły i... Jest! Jedna jedyna kreska! Za kilka minut to samo.

Jedna! Hurra!

Dlaczego zatem przez kolejny tydzień nie dostałam miesiączki? Dotkliwe skurcze brzucha nie dawały mi spokoju. Fora internetowe pełne były informacji, że na początku wielu kobietom testy wychodzą negatywnie, a za dziewięć miesięcy z ich brzuchów wydostają się noworodki.

Miałam dość zadręczania się w samotności. Wysłałam Igorowi wiadomość, że koniecznie musimy się zobaczyć, ale nie wtajemniczałam go, o co chodzi. Umówiłam się z nim w Warszawie, bo miał na głowie dużo spraw i nie mógł przyjechać do Łodzi.

Tym razem odebrał mnie z dworca, nawet punktualnie, i autobusem udaliśmy się do jego kolejnego mieszkania. Żaden z nowych współlokatorów nie wrócił jeszcze z zajęć ani z pracy, więc usiedliśmy przy kuchennym stole. Ze stresu wyginałam palce pod blatem. Na pytania, co u mnie i jak sobie radzę, odpowiadałam półsłówkami. W końcu jednak rozbroiłam ładunek i oznajmiłam, że chyba jestem w ciąży.

W pierwszej chwili zamarł. Nic nie mówił. Myślę, że czekał na rozwinięcie tematu.

Opowiedziałam mu i o swoich objawach, i o wynikach testu. A wtedy z Igora wylał się wodospad słów. „Ulga” była odmieniana przez wszystkie przypadki, padały dowcipy o ciąży urojonej.

To podejście mnie zaszokowało. Zapytałam, co zrobimy, jeżeli naprawdę spodziewamy się dziecka.

Machnął ręką.

– Będziesz w ciąży, to będziemy się martwić.
– A jeśli już jestem?
– Nie jesteś.
– Nie wiesz.
– Ty też nie. Idź do ginekologa.
– Dasz mi kasę na prywatnego?
– Skąd?
– Mam czekać miesiąc na wizytę w przychodni? Super.
– Zrób drugi test – powiedział lekko.
Nie wiem, czy był dobrej myśli, czy tak się objawiała bezmyślność, ale wciąż nie doceniał powagi sprawy.
– Zachowujesz się tak, jakby ciebie to nie dotyczyło! – oskarżałam. – Rodzice z nas będą świetni! Współczuję temu dziecku.
– Magda, jak coś, to są różne metody, żeby...
– Żeby co? O czym ty mówisz? Chcesz je zabić, tak? – Ośloniłam brzuch dłońmi. Wstałam z krzesła i odsunęłam się na drugi koniec kuchni, byle jak najdalej od zabójcy. – Nie chcesz mnie i naszego dziecka! – Ze łzami spływały ze mnie strach i wściekłość.
– Opanuj się. – Igor podszedł bliżej i wyciągnął ramiona.
– Zostaw mnie! Zostaw! – Wyrywałam się.
On chce skrępować mnie sobą!
– Kochanie, przecież nic nie wiadomo...
– Żadnego kochania tu nie ma! Żadnego! Odsuń się!
Natychniast! Co ja mam zrobić...? – Osunęłam się na podłogę. – Jak my sobie poradzimy?
Igor przyklęknął obok i mnie przytulił.
– Magda, posłuchaj. Jak już się upewnimy – zaakcentował to „my” – razem zadecydujemy. Tak?
Potwierdziłam.
– Wstań. No! – Próbował mnie podnieść. – Masz chusteczkę, wytrzyj się. Czy ja mam cię wytrzeć? No, chodź.
Był tak rozczulający, że od nowa zaniósłam się płaczem. Jego fala mnie porwała. Nie widziałam brzegu.

– Nie zostawisz mnie? Nas? – upewniałam się.

– Nie, kochanie, nie zostawię.

Udało mu się wyciągnąć mnie z hysterii, lecz nie na długo. W Łodzi nie miałam żadnej zaufanej osoby, by się jej zwierzyć. Wizytę u ginekologa wyznaczono mi nawet nie za miesiąc, tylko za półtora. Ten poślizg oznaczał szmat czasu wypełnionego utrapieniem. Kolejny test wypadł negatywnie, ale jego wynik nie zwabił miesiączki. Nie odstraszył także moich dolegliwości. Wystarczyło, że się pochyliłam, a już zbierało mi się na wymioty. Zadręczałam się, czy to tylko nerwy, czy może ono? Nie mam warunków na dziecko. Nie mam pracy, pieniędzy, wsparcia rodziny. Usunę. Igor miał rację, to jedyne wyjście. Niechciane dziecko to nieszczęśliwe dziecko. Nie będę ryzykować, że je skrzywdzę.

Podjęłam decyzję i natychmiast zaczęło mi się wydawać, że wiedzą o niej wszystkie niemowlaki – w sklepach, na ulicach, w autobusach i tramwajach. Trzepotały wywiniętymi rzęsami. Śmiały się, aż wypluwały smoczki. Klaskały w rączki. Wyrywały się matkom w moją stronę. Przemawiały w swoim języku, by przekonać mnie, jakie są słodkie. Do moich uszu dolatywały też słowa dorosłych: „Ciężki miała poród, oj, ciężki! Współczuję. Cesarkę jej robili”. Rany, a mój? Jaki on będzie? – wzdrygałam się ze strachu. „Najważniejsze, żeby było zdrowe”. A jak moje będzie chore? „O, jaka ładniutka, wykapaną mamusia”, „Nasze kochane maleństwo”, „Rośnie jak na drożdżach. Ile już ma?”. A moje? Ile ma ono? – nie przestawałam się katować. Wydam na nie wyrok śmierci? Na pewno tego chcę? To straszny grzech! Całe życie będę mieć wyrzuty sumienia!

I stwierdziłam, że jednak urodzę. Zamieszkać z Igorem, obojętnie, czy w Warszawie, czy w Łodzi. On będzie pracował, a ja odchowam dziecko. Później oddamy je do żłobka. Zaocznie skończę studia, wszystko się ułoży.

Nic się nie ułoży, od razu zaprzeczałam sama sobie. Po pierwsze, przestałam kochać Igora. Po drugie, nigdy nie uwijemy ciepłego gniazdko. Dziecko będzie patrzeć na nasze awantury?

Płakać przez nas? A jak jego ojciec znów zacznie ćpać? O nie, nie spędzę z nim życia, ani nie skażę na nie dziecka!

Postanowiłam, że po porodzie zamieszkam w domu samotnej matki. Później usamodzielnię się i wyprowadzę. Igorowi założę sprawę o alimenty. Będę kochać to maleństwo ze wszystkich sił, za nas dwoje.

Ciągle płątałam się w planach. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym, tylko o mojej rzekomej ciąży.

Do znajomych odzywałam się niewiele. Mijałam obojętnie nawet Darię. Wstydziłam się, że narasta we mnie przygnębienie. Mało jadłam; każdy posiłek rósł mi w gardle.

Po tygodniu życia jak w amoku zemdlałam w holu akademika. Ocuciła mnie sprzątaczką. Skłamałam, że lecę się na anemię. Łamiącym się głosem wyznałam wszystko Igorowi przez telefon. Łudziłam się, że go wzruszę i że wróci do Łodzi.

– Magda, wiem, że ci trudno, ale naprawdę nie mogę.

– Obiecywałeś, że mnie nie zostawisz!

– Mam do zaliczenia testy, praktyki, wszystko naraz. Słuchaj, podobno ziele ruty przyśpiesza miesiączkę – powiedział. Z takim ożywieniem, jakby właśnie wynalazł lekarstwo na AIDS.

– Specjalista od zioła, no tak... Mojemu bratu też doradziłeś.

– Znów zaczynasz?

– A zaczynasz, zaczynasz! I nie skończę! I nasz horror się nie skończy!

– Kup w aptece rutę, zalej wrzątkiem i pij! – zniecierpliwił się.

– Wielki powrót do średniowiecza?

– A masz lepszy pomysł?

Nie dało się dalej gadać.

Z mieszanymi uczuciami poszłam do najbliższej apteki, by sprawdzić, czy sprzedaje rutę. Nie sprzedawała. I pięć innych też nie. Aż w końcu jeden mądry farmaceuta polecił mi sklep zielarski na Wschodniej. Dzięki niemu od niedzieli do niedzieli dwa razy na dzień piłam wywar, który śmierdział wymiocinami na świeżo skoszonej trawie. I nic.

Zajrzałam do Internetu. „Rutę często stosuje się w medycynie naturalnej, na przykład przy bólach menstruacyjnych, zaburzeniach trawienia, nadciśnieniu, palpacji serca, chorobie wieńcowej, artretyzmie, katarze siennym, wielu stanach zapalnych. Kobiety w ciąży powinny unikać wyciągów z ruty, gdyż mogą one sprzyjać wystąpieniu poronień”. Ostatnie zdanie sprawiło, że dostałam palpacji serca.

Łkając, wypominałam Igorowi, że specjalnie kazał mi zażywać to świństwo, żebym poroniła. Wyzwałam go od skrytobójców. On twierdził, że zwariowałam. Przekonywał, że skoro dwa testy wyszły negatywnie, na pewno nie jestem w ciąży. Poradził, żebym dalej piła tę cholerną rutę, to dostanę miesiączki i przestanę go wkurwiać.

Rozłączyłam się.

Z rozżaleniem myślałam o tym, jak ludzie potrafią urządzić sobie życie. Mieć dobre związki, zaręczać się, ślubować sobie miłość i wierność, rodzić kochane dzieci. Ja jak zwykle płynęłam pod prąd. Tylko co zrobię z dzieckiem? Boże, z dzieckiem... Ja i dziecko? Paradoks! Najbardziej ciążył mi brak wsparcia i miłości. Przetrawanie kolejnego dnia stawało się coraz trudniejsze, bez zyletki wręcz niemożliwe. Moje ciało było płótnem, moja krew farbą. Malowałam zapamiętałe kolejne prace, wyrażając w nich obawy, podłość, tęsknoty.

Kiedy dzwonił telefon, dekoncentrował mnie przeszywający dźwięk sygnału. Nikogo nie ma w domu! Igor? Znowu? Jak on śmie! A niech dzwoni! Niech się dodzwoni do piekła, bo do mnie nie ma szans!

Gdy komórka zabrzęczała ponownie, rzuciłam nią o ścianę. Nie rozbiła się.

Coraz mocniej dokuczała mi bezsenność. Pocieszałam się, że jeszcze trochę i poczuję zmęczenie. Będzie czwarta nad ranem, może zjawi się sen? Skulona patrzyłam w okno. Sen nie przychodził. Przewracałam się z boku na bok pod natłokiem zdań, obrazów, jakbym w głowie tworzyła prezentację. Tylko o czym? Usypiałam dopiero wtedy, gdy musiałam wstać za trzy godziny.

Potem w lustrze widziałam kwiat urody, krokusowe sińce pod oczami. Po wielu nieprzespanych nocach uznałam wreszcie, że znalazłam się w tak wyjątkowej sytuacji, że odpuszczę sobie wychodzenie z akademika.

Uczelnia przestała mnie zajmować. Na szczęście w tym semestrze miałam niewiele egzaminów do zaliczenia. Kończyło się jedzenie, a Kate była zbyt zajęta własnymi sprawami, by tracić czas i nerwy jeszcze i na mnie. O zakupy nie zamierzałam jej prosić.

O nie, nie miałam ochoty poniżyć się przed nikim!

Ledwie wysunęłam się spod kołdry, przeszło mnie zimno. Zawinęłam się w ulubiony czarny sweter, ten, który przeżył komunę i wszedł do wolnej Polski na plecach mojego ojca. Wyciągnęłam go z szafy podczas gwiazdkowej wizyty. Czułam się w nim bezpieczniej, a mimo to wciąż mną telepało. Może jestem naprawdę chora?

Co z tego, jeżeli Igor nadal wykazywał druzgocącą obojętność na moje nieszczęście? Do niego nic nie trafiało, nie obchodziła go już żadna panikarska wiadomość.

Wracając z supermarketu, wstąpiłam do apteki.

Po kolacji zrobiłam sobie kąpiel i dokładnie wydepilowałam całe ciało, jakbym miała wziąć udział w wyborach Miss Bikini. Natarłam je balsamem. Włożyłam najładniejszą halkę do spania, z satyny haftowanej w maki. Pomalowałam paznokcie w kolorze kwiatów. Dokładniej niż zwykle wyczesalam włosy. Rzęsy też umalować czy nie? Umalowałam, bo przecież raz się żyje.

Kate wyglądała na zdziwioną, ale nie skomentowała moich osobliwych przygotowań do snu. Poprosiła tylko, żebym zgasiła światło.

Zgasiłam, odczekałam godzinę i wstałam. Skradałam się po mieszkaniu na palcach, jak złodziej. W kuchni nalałam wódki do ulubionego kubka; tym razem miała posłużyć jako popitka. Stałam przy otwartym oknie. Patrzyłam na punkciki na niebie. Wyobrażałam sobie, że gdy ogarniam je wzrokiem, należą do mnie. Klosz latarni przypominał pomarańczę. Nie, raczej

mandarynkę. Jego szkło było gładkie i błyszczało podobnie jak jej skórka. Najciszej jak mogłam odsunęłam szufladę. Wyjęłam trzy pudełka.

Wyciskałam tabletkę po tabletkę. W aptece wybrałam kilka rodzajów środków przeciwbólowych, najłatwiej dostępnych i najtańszych. Byłam pewna, że w takiej ilości mnie nie zawiodą. Zamknęłam je w dłoniach i potrząsnęłam, by się wymieszały. Wychyliłam się przez okno, szybko wdychałam duszne powietrze. Moje serce chciało wyskoczyć z piersi. Już, już przedarło się przez cienką koszulkę i weszło na parapet.

Wyciągnęłam przed siebie dwie garści tabletek i sypnęłam nimi w noc. Serce wróciło do domu.

Odetchnęliśmy.

Tak dobrze nie spałam od miesiąca. Nie wiem, czy to był efekt mojego niedoszłego samobójstwa, rutyny, czy tajemnych rytuałów Igora nad sarnią czaszką, ale rano wreszcie dostałam okres.

Napisałam o dobrej nowinie, ale mój kochanek nie odpowiedział. I bardzo dobrze. Koniec z nami. Obiecałam sobie, że zaczynam nowe, zupełnie nowe życie, bez niego.

Byłam ocalona.

* * *

Tygodniowy wyjazd studencki do Wrocławia spadł mi wtedy jak z nieba, równie bezchmurnego jak to nad Starówką w pierwszym dniu zajęć terenowych. Odbywaliśmy je co roku w ramach programu studiów, zawsze w innym miejscu. Poznawaliśmy historię i architekturę miasta.

Spodobało mi się, że nowoczesne budowle nie przytłaczają zabytkowych, tylko z nimi współgrają. Średniowieczne kościoły przeglądały się w szklanych taflach prostopadłościanów. Przestrzeń Wrocławia wydawała mi się otwarta, jasna, barwna. W porównaniu z nią Łódź jawiła się jak ciasny niski grób zasypany czarną ziemią.

Po skończonych zajęciach chodziliśmy po Rynku. Mijane

kamienice wyglądały jak malowane. Mój nastrój stawał się pastelowy, zupełnie jak ich fasady i wiosenne sukienki przechodzących kobiet. Niektóre z nich przysiadły na ławkach w pobliżu lazurowej fontanny, wyciągając twarze do słońca.

To był inny świat.

Zrzucałam w nim ponure ego jak wąż skórę. Dawałam sobie szansę na nowe ja. Żyłam jak w narkotycznym ciągu, wciąż pełna wrażeń; zmieniały się niby kolorowe szkiełka w kalejdoskopie. Czasem wydawało mi się, że zwariowałam. Nie potrafiłam uporządkować własnych przeżyć. Żyłam tym, co dzieje się teraz, by uratować się przed cierpieniem.

Podczas spacerów trzymałam się Pauli, dziewczyny, z którą zwykle pracowałam w grupie. Dowiedziałam się, że w hostelu dzieli pokój z Darią, ale nie dałam po sobie poznać, jak mocno podzielała na mnie ta informacja. Najzwyczajniej w świecie zapytałam, czy mogę do nich zajrzeć wieczorem z butelką wina, ale miały inne plany. Zamierzały dołączyć do grupy studentek, które wybierały się do klubu karaoke położonego kilka przecznic od naszego kwaterunku. Zaproponowałam, że się przyłączę.

Umówiliśmy się wieczorem w recepcji.

Gdy pojawiła się Daria, oniemiałam. Dotąd widywałam ją wyłącznie w podkoszulkach, bojówkach i martensach, lecz tym razem miała na sobie sukienkę. I to jaką – głęboko odsłaniającą dekolt, opinającą piersi i swobodnie spływającą do ziemi! Odcień przypominał wody zimnego morza. Wokół nóg naprzemiennie biegły szerokie czerwone paski i węższe, białe. Gdy moja koleżanka pochyliła się, by dopiąć sprzączki brązowych sandałków, okazało się, że ma nadzwyczaj drobne stopy. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, wydała mi się tak krucha. Wyprostowała się i uśmiechnęła, lekko unosząc kąciki ust.

Po drodze porównywałyśmy wrażenia z wycieczki. Ona podzielała moje zdanie, że Łódź jest depresyjna. Czyżbyśmy we Wrocławiu obie odczuły odrodzenie i wolność?

W klubie wybrałyśmy największy stolik. Obsługa dostawiła nam krzesła. Dziewczyny wyrywały sobie z rąk spis utworów.

Kłóciły się, która wystąpi za moment. Najlepiej śpiewała Aga, poza tym była starościną roku, więc jej należała się palma pierwszeństwa. Chciała wykonać *Piosenkę księżycową* – osobiście wolałabym coś weselszego, a nie taki lament – tyle że musiała odczekać parę minut, żeby wyjść na scenę. Resztę aż skręcało z niecierpliwości.

„Śpisz pięknie tak/Po kątach cisza gra”^[12], zaczęło się dramatycznie, a Paula szepnęła, że Aga chyba odkryła w sobie ducha Violetty Villas. Zachichotałam. Wykonawczynie na pewno nas nie słyszała, ale spuściła z tonu. Zawtórowałyśmy jej przy refrenie. „Kiedyś znajdę dla nas dom/Z wielkim oknem na świat/Znowu zaczniesz ufać mi/Nie pozwolę ci się bać”. Znów miałam poczucie kobiecej wspólnoty, podobne do tego podczas modlitwy u babci. Ono przegnało moje rozgoryczenie. „Kiedyś wszystkie czarne dni obrócimy w dobry żart”.

Piosenka wzruszyła mnie na tyle, że wpadłam na pomysł, by odezwać się do byłego. Nie, do cholery, nie! Nie obrócimy! – przegnałam natrętną myśl. „Już nie śmiejesz się jak kiedyś/Wszystko jest inaczej”. Właśnie! Między nami już nigdy nie będzie tak samo. Nigdy. Niech moja chora miłość choruje sobie dalej, ale beze mnie. Ja chcę świetnie się bawić, a nie zatapiać w myślach o Igorze. Takie numery mi odstawiał, a ja mam przez niego nie korzystać z życia?

Poszłam zamówić drinka.

Niektórzy ludzie przy barze wydawali się doklejeni do krzeseł nie wiadomo po co i czekali nie wiadomo na co. Barman nosił bordową koszulę dopasowaną kolorystycznie do ściany. Pianka jasnego piwa przelała się przez brzeg kufła i popłynęła cienkim strumieniem po wypolerowanym blacie. Nagle zapragnęłam ją zlizać i poobserwować reakcję gości. Zrezygnowałam. Wyczyny z repertuaru Łacharskiej raczej nie zrobiłyby dobrego wrażenia na Darii, która właśnie się do mnie przysiadła. Tymczasem barman wycierał blat.

Spokojnie czekałam na dzin z tonikiem, który zamówiłam dla nas obu. Na zdrowie!

Didżej przerywał występy co kilka utworów.

Po opróżnieniu drinków ruszyliśmy na parkiet. Zatraciłam się w muzyce, zupełnie jak dawniej, bez zastanowienia. Tańczyłam tuż obok Darii. Skrzyżowałam ręce przy nadgarstkach, ona zrobiła to samo. Mocno chwyciliśmy się za dłonie i wirowaliśmy. Znajomi wznoszący toasty przy stolikach. Płaszące na parkiecie pary. Barman przyrządzający kolejne napoje. Didżej zmieniający płyty za konsolą... W naszych oczach wszystko zatraciło zarysy i kształty. Stało się smugą kolorów, która migotała i obracała się z nami; najwyraźniej widziałam ogromne brązowe oczy. Teraz istniały tylko one. Daria się śmiała, mrużyła powieki, marszczyła nos. Robiły się jej małe dołeczki w policzkach.

Czy muszę dodawać, jak bardzo byłam nią urzeczona?

Kolejna piosenka, wolniejsza i bardziej zmysłowa, jak zniewalający szept. Nasze ramiona, piersi i biodra kręcące się w tym samym tempie, szepczące do siebie. Giętkie ciało Darii, co chwila stykające się z moim...

Zarzuciłam jej ręce na szyję, wciąż nienasycona przeobrażeniem zawiadackiej dziewczyny w seksowną kobietę. Darię również cieszył nasz bliski kontakt. Wiele hetero tańczy ze sobą w taki sposób, często dla zgrywy. Może ona również się zgrywa? Nie poruszałam tematu, bo nie dałabym rady o tym mówić. Zresztą w imprezowym zgiełku nie miało to najmniejszego sensu.

Obróciłyśmy się. Zauważyłam, że mężczyźni nie odrywają od nas oczu. A niech was rozniesie pożądanie, teraz ona jest moja! I tylko moja! Mocniej przyciągnęłam do siebie moją tancereczkę. Pogładziłam po króciutkich włosach, przesunęłam dłoń na jej kark i niżej. Przez cienką tkaninę dotknęłam zagłębienia między łopatkami, a później linii kręgosłupa.

Nareszcie!

Wciąż jednak było mi mało. Wyobrażałam sobie, że wodzę dłonią po nagim ciele...

Później do tańca poprosił mnie wysoki barczysty mężczyzna. Zgodziłam się, żeby odetchnąć i nie zwariować z podniecenia.

Bawiłam się całkiem nieźle, dopóki gość nie zrobił się natarczywy.

– Muszę skoczyć do toalety – podałam pierwszą lepszą wymówkę.

– Leć i szybko wracaj – odparł, po czym klepnął mnie w tyłek.

Wpadłam w szal. Wiadomo, co chodzi mu po tym zboczonym łbie! – złościłam się. Ciekawe, ile kobiet już zgwałcił, albo zgwałci zaraz! A masz, skurwysynu! Za wszystkich skurwysynów!

Rozległ się trzask mojej dłoni na jego policzku.

– Ty... Ty... – wykrztusił. Chyba uciekły mu inne słowa.

Nagle chwycił mnie za ramiona i potrząsnął kilka razy. Jego twarz poczerwieniała.

– Ratuunkuuu! – wydarłam się na całe gardło.

– Co jej robisz? – Dopadł do nas ochroniarz.

– Nic! Niech się sama zastanowi, czego chce! – Mój oprawca odzyskał głos.

Obaj zeszli z parkietu, ja wycofywałam się krok za krokiem, powoli, żeby nie zwrócili uwagi, że się oddalam. Skręciłam za barem i zniknęłam w głębi sali. Odnalazłam stolik, przy którym siedziały znajome.

– Idziemy! Raz, dwa, bez ociągania! – Zdejmowałam z wieszaka i rozdzielałam torby dziewczyn.

Patrzyły zdziwione, co się stało, ale nie traciłam czasu na tłumaczenia. Obiecałam, że wszystko dokładnie wyjaśnię po wyjściu.

W końcu się udało. Co bardziej wrażliwe wyglądały na wystraszone moją opowieścią; cóż, czego się spodziewać po panienkach z dobrych domów i wiecznych bibliotekarkach? One wróciły na nocleg, druga część bawiła się nadal.

Oczywiście, ja się w niej znalazłam.

Przed jedną z restauracji grała orkiestra. Kilka osób podrygiwało. Wśród nich długowłosa brunetka w spódniczce z cienkich pasków. Równie skąpa bluzka odsłaniała rowek między piersiami i sprężysty brzuch. Dziewczyna wyglądała, jakby przed

chwila wróciła z Rio. Dołączyłam do niej i dałyśmy popis. Nie przejmowałam się niczym. Byłam blisko piękności (co z tego, że podstawionej?) i tylko to się liczyło.

Noc obfitowała w atrakcje. Piłam już wszystko, co miałam w zasięgu ręki, nie odmawiałam żadnej kolejki.

Im bliżej poranka, tym mocniej przerzedzała się grupa. Nad ranem krzyknęłam:

– Wszyscy wchodzimy do fontanny. To jest wyzwanie!

Pierwsza pozbyłam się butów i zanurzyłam stopy w wodzie. Inne dziewczyny poszły za moim przykładem. Schyliłam się i chlapnęłam wodą na Darię; nie pozostała mi dłużna.

Wyszłyśmy z fontanny kompletnie przemoczone.

Padłam na łóżko dopiero o szóstej rano. A o siódmej obudził mnie głos Jona Bon Joviego, który śpiewał, że to jest jego życie. A nie, bo moje! I nie wydzieraj się tak! – przeklinałam go w myślach. Dopiero co wróciłam! Wyłączyć to! – nakryłam głowę poduszką. Jednak dziewczyny nie zwracały uwagi na moje protesty i bezlitośnie próbowały wyciągnąć mnie z łóżka. Chcąc nie chcąc, wstałam. Jęknęłam, gdy zobaczyłam się w lustrze.

O ósmej mieliśmy zbiórkę, by wyruszyć na oglądanie *Panoramy Raclawickiej*. Ledwie żywa czekałam w recepcji na resztę studentów, czytając po raz ostatni recenzję z wystawy, którą powinnam za moment oddać. Tekst jest chyba w porządku? A zresztą jestem tak zdekoncentrowana, że nie wymyślę nic lepszego.

* * *

Daria zachowywała się co najmniej dwuznacznie również kolejnego wieczoru. Razem z Paulą zaprosiły mnie do siebie na nocne pogaduchy.

Moja krótkowłosa ulubienica właśnie wróciła z łazienki – siedziałam na jej łóżku – ułożyła się na boku i nakryła kocem. Przesunęłam się, by zrobić jej więcej miejsca.

– Magda, chodź bliżej – zachęcała.

Staralam się nad sobą panować, więc udawałam, że jej słowa

nie zrobiły na mnie wrażenia, choć dostawałam gęziej skórki, gdy niechcący trącała mnie, sięgając po kubek na stoliku. Pragnęłam znów poczuć ją przy sobie, tak blisko, blisko... Lecz mimo że roznosił mnie niepokój, nie zrobiłam niczego.

Moje fantazje tylko podsycaly to rozedrganie. W nich wylegiwałyśmy się razem. Porównywałyśmy, jak nasze ciała reagują na dotyk przez bieliznę, a jak przyjmują go, gdy są bez niej.

– Nad czym tak się zamyśliłaś? – zapytała Daria.

– A, nad niczym takim. Muszę już wracać do siebie, jestem zmęczona – ucięłam dyskusje.

Pożyczyłam koleżankom dobrej nocy i tyle mnie widziały.

Pocieszałam się, że niektóre kobiety preferują nieprzystępność i niedopowiedzenia, które sprawiają, że ich zaangażowanie wzrasta. Przekonałam się, że należy do nich również Daria, gdy następnego dnia usiadła obok mnie w autobusie. Wyjęłam z torby *Pięćdziesiąt rozkoszy złodzieja*, tomik z indyjską poezją erotyczną. Trafiłam na niego podczas buszowania po antykwariacie niedaleko rynku. Ona zażartowała, że mam dawne *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. Odparowałam, żeby nie porównywała badziewia ze skarbami sezamu. Zaglądała mi przez ramię, śledząc kolejne wiersze i ilustracje. Odczytała na głos jeden z utworów.

– „Wciąż mam w pamięci uśmiechniętą kochankę, zgiętą pod własnych piersi swych ciężarem, a wokół szyi od pereł białą, świetną, niby kwietna chorągiew na wzgórzu uciech bóstwa, które zbroi się w kwiaty”^[13].

Chichotałyśmy jak nimfetki. Ja dość panicznie. Skąd miałam wiedzieć, czy Daria ma na mnie taką samą ochotę jak ja na nią? Mężczyzn potrafiłam rozszyfrować od razu, w kwestii kobiet nie miałam wprawy. Czekałam na wyraźny sygnał. Tylko jak on miałby wyglądać? Może ona jeszcze nie odkryła, że jest les albo bi? Czyżbym wczoraj jej w tym pomogła? Co ja o niej wiem? O sobie wiedziałam tyle, że coraz mocniej pragnę otworzyć się na nieznany mi rodzaj erotyzmu. Niech dojdzie do głosu więcej

instynktów i intuicji! Niech moje ciało śpiewa! – rozmarzyłam się.
Naprawdę mi odbiło.

Z Wrocławia pojechaliśmy do Legnicy, gdzie czekał nas ostatni nocleg. Pokoje były czteroosobowe. Znalazłam się w jednym z Paulą, Darią i Agą. Uzgodniłyśmy, że na ostatnią noc koniecznie kupujemy mnóstwo szampana; Aga podśmiewała się, że w Legnicy na pewno zaoferują nam skrzynkę dom pérignona.

Targałyśmy bagaże po schodach. Weszłam do pokoju pierwsza i rozejrzałam się. Pod ścianą stały dwa piętrowe łóżka, a pośrodku okrągły stół i cztery krzesła. Wszystko wskazywało na to, że łazienka jest wspólna, na korytarzu; już formowała się przed nią spora kolejka. Paula z Agą dołączyły do ogonka, a ja i Daria uznałyśmy, że umyjemy się później. W kameralnej atmosferze rozgadałyśmy się na całego. Nawet gdy dziewczyny wróciły do pokoju, wciąż podrzucałam tematy rozmów. Determinacja po raz kolejny zamieniła mnie w katarynkę. Zbliżała się jednak północ, więc w końcu pomaszzerowałyśmy z Darią pod prysznic.

Wymusiłam na dziewczynach obietnicę, że nie będą pić bez nas.

Na białych drzwiach przy końcu korytarza wisiała tabliczka z napisem: „Prysznic damski”. Zapalone światło odbijało się w jasnych kafelkach. Wieszaki na ubrania były puste, a więc w żadnej kabinie nikogo nie było. Los się do ciebie uśmiechnął, po raz kolejny tego dnia, bo mu pomogłaś! Zrób wreszcie to, czego pragniesz! Sprostasz. Ona też tego chce. Zatraćcie się! – dopingowałam sama siebie.

Zaczęłam zdejmować ubranie, Daria również. Zrzuciłyśmy spodnie i zostałyśmy w bieliźnie.

Była niższa ode mnie. Miała niezbyt duże, ale kształtne piersi, wąskie biodra i smukłe nogi. Wydawała się podobna do filigranowego elfa. Nie wiem, czemu tak ukrywała to swoje piękno, zamiast je podkreślać. No i pochłaniała mnie wzrokiem.

Na chwilę zatrzymała spojrzenie na śladach po sznycach. Poznała sekret. Nie zareagowała. Odpięła haftki biustonosza i odwiesiła go na wieszak. Stałam naprzeciwko niej i wiernie powtórzyłam ten gest.

Po chwili jej majtki opadły na podłogę. Moje też. Zapytałam, czy umyjemy się razem. Pokiwała głową.

Zaciągnęłam za nami zasłonkę, podniosłam uchwyt baterii prysznicowej. Trysnęła lodowata woda. Zapiszczałyśmy. Szybko zakręciłam kran. Daria śmiała się, że zamarzniemy.

– Zaczekaj moment, a ożyjesz – obiecałam.

Wyregulowałam temperaturę. Sięgnęłam do drążka na ścianie, zdjęłam z niego słuchawkę prysznicową i poprowadziłam strumień wzdłuż sylwetki mojego elfa; spuszczone oczy śledziły bębniące o posadzkę krople. Zmieniłam ułożenie rączki w taki sposób, by woda leciała od dołu, i skierowałam ciepłą strugę między uda Darii. Oparła się o ścianę i przymknęła powieki. Kiedy je otworzyła, wyjęła mi z ręki słuchawkę i zawiesiła ją ponad nami. Zwiększyła siłę strumienia, ujęła w dłonie moją twarz i przywarła do mnie wargami. Oddałam pocałunek, przesuwając rękami po jej biuście. Ona gładziła mnie po plecach i pośladkach. Mokłyśmy. Woda wlewała się nam do ust. Bałam się, że za chwilę udusimy się sobą.

Przełożyłam dłonie na brzuch Darii; rozjeżdżały się w stronę talii i znów spotykały przy pępku. Później znalazły się niżej. I dalej. Mój palec łatwo wślizgnął się w najbardziej wilgotne miejsce. Gdy rozszerzyła nogi, wsunęłam w nią jeszcze jeden. Podziwiałam moknące ciało, które niebawem dozna spełnienia.

Daria sięgnęła po moje piersi. Ugniatała je i szczypała brodawki. Pobudzone masażem i wodą stały się niezwykle wrażliwe. Nie wytrzymałam. Pragnęłam we wnętrzu kochanki zmieścić całą dłoń, dyrygować jej ciałem. Ona wydawała krótkie urywane jęki, drapiąc moje plecy. Drżałyśmy. Woda szumiała głośno. Przycisnęłyśmy się do siebie, splotły się oddechy. Bałam się, że wymskniemy się ze swoich objęć i upadniemy.

Daria zakręciła wodę.

Wyszłam spod prysznicowej i sięgnęłam po ręcznik. Owinęłam nim kochankę, a później wytarłam się i zawinęłam włosy w turban. Naga pochyliłam się nad umywalką i nagle przeszły mnie ciarki od powiewu wydychanego powietrza.

Po moim karku błędziły usta. Oparłam dłonie na krawędziach zlewu, a Daria poprosiła, żebym nie zmieniała pozycji. Dotykała opuszkami palców linii mojego tatuażu, jakby ponownie zaznaczała je na skórze.

– Ważka symbolizuje nieśmiertelność, prawda?

– Tak, istotnie.

Zaczęła wodzić językiem po wnętrzu skrzydeł. Oparła jedną dłoń na moim biodrze, drugą przesunęła ku przodowi, wsunęła między nogi. Nie śpieszyła się i nie przestawała lizać tatuażu.

Oddałam się tej chwili. Pragnęłam, by nie kończyła się nigdy.

Kiedy wreszcie się odwróciłam, spróbowałam przyciągnąć do siebie Darię. Wywinęła mi się i uciekła w drugi koniec łazienki. Pobiełam za nią. Pogubiłyśmy ręczniki. Na jednym ona przejechała po podłodze i straciła równowagę. Wtedy dogoniłam ją i uratowałam przed upadkiem.

Wytarłyśmy się ubraniami, w których przyszłyśmy. Grzecznie włożyłyśmy piżamy i zebrałyśmy mokre ręczniki z podłogi. Wymyślałyśmy, co powiemy współlokatorce – opowieść o piciu herbaty w kuchni, którą przećwiczyłam przed Darią, brzmiała całkiem przekonująco.

Przed drzwiami naszego pokoju cmoknęłam ją w usta.

– Jeszcze zobaczą, jakie z nas perwersyjne lesby...

– A niech zobaczą! – Przyparła mnie do ściany i pocałowała gorąco.

Weszłyśmy do pokoju, próbując zachowywać się naturalnie. Oblekałyśmy kołdry w przygotowane poszewki i milczałyśmy. Nie, na pewno nie domyślają się, że uprawiałyśmy seks. Dlaczego więc patrzą tak podejrzliwie? Co ich zdaniem robiłyśmy? A może to po nas widać? – niepokoiliłam się. Że też nie mogłam przeżyć w spokoju nawet pierwszego razu z kobietą! Musiałam grać, ciągle musiałam grać. Nigdy w życiu tak długo nie oblekałam pościeli.

– Czemu was nie było tak długo? Już się martwiłyśmy, że się utopiłyście czy co – zapytała w końcu Paula.

W kilku zwięzłych zdaniach przedstawiłam przygotowaną wersję zdarzeń. By zająć ich uwagę czymkolwiek innym,

chwyciłam za pierwszego szampana.

– Wypijmy za wszystkie cudowne wieczory tego objazdu, a szczególnie za ten dzisiejszy – rzuciłam hasło.

Huknęło. Spojrzałam na Darię i pociągnęłam łyk z otwartej butelki. Podałam ją dalej.

Rozmowa nie kleiła się tak dobrze jak zazwyczaj. Rozklejała ją wisząca w powietrzu tajemnica.

Opróżniłyśmy butelki i położyłyśmy się do łóżek.

Po ciemku wsłuchiwałam się, czy biją we mnie dwa serca?

Jedno dla mężczyzn, jedno dla kobiet. Nie. Czy dla mężczyzn

istnieje zatem inny rytm, a dla kobiet inny? Nie, ten sam.

Pieszczoty Darii podniecały mnie nie mniej ani nie bardziej od

tych, którymi obdarzali mnie kochankowie. A jednak kobiece ciała

dawały więcej wrażeń. Z kochanką doświadczyłam prawdziwego

piękna. Przesuwałam po jej ciele ręce i usta. Nie, chyba nie

umiałabym żyć na co dzień w krainie takiego szczęścia... Nie

wierzyłam, że jestem pierwszą kobietą Darii, która zachowywała

się wobec mnie z niezwykłą śmiałością. Ale ja wobec niej

również! Lecz najwspanialsze było to, że płęć już mnie nie

ograniczała. Że przekonałam się, że mogę kochać się z

człowiekiem, bez względu na to, czym obdarzyła go natura.

Zastanawiałam się, co powiedziałaby na to Igor. Kpił w końcu

czasem, że jestem niespełnioną lesbą. Miałam ochotę zawiadomić

go o dzisiejszym spełnieniu, ale opanowałam ten odruch. Nie miał

najmniejszego sensu. Gdyby moje nowe ja realizowało równie

głupawe pomysły, pozostałoby tym starym.

Następnego dnia porozmawiałam z Darią dopiero w

autobusie. Zająłam dla niej miejsce obok. Oparłam twarz na jej

ramieniu. Przysunęła policzek do mojej głowy. Do elfiego ucha

wyszeptałam pytanie, czy miała już kiedyś dziewczynę, i

dowiedziałam się, że eksperymentowała w internacie, gdy uczyła

się w liceum plastycznym. Cóż, nigdy zbyt wylewnie nie mówiła o

sobie...

Na postoju przy stacji benzynowej zerwałam gałązkę

niebieskiego bzu. Później, podczas jazdy, głaskałam twarz

kochanki drobnymi kwiatami. Pachniały upojnie, choć nie tak upojnie jak ona.

Wysiadając, pożegnałyśmy się krótkim: „Na razie”. Wypadło to bardzo sztucznie. A potem podszedł do Darii zakapturzony mężczyzna i zabrał jej walizkę do bagażnika. Odjechali z piskiem opon. Zastanawiałam się, kto to taki.

Nigdy już nie zagadnęłam Darii, czy bliskość na wycieczce była dla niej bliskością jednorazową, czy czymś więcej. Nasza znajomość od początku do końca obfitowała w niedomówienia.

Na Facebooku Paula zamieściła kilka zdjęć z wyjazdu i oznaczyła mnie na nich. Na jednym stałam w czerwonej sukience na tle szyby w tym samym kolorze.

„Jak w Amsterdamie”, skomentowała Daria. „Wrzuć monetę i wybierz dziewczynę”.

„Mam nadzieję, że wrzuciłabyś monetę dla mnie”.

Niecierpliwie wyczekiwałam odpowiedzi.

„Wykupiłabym cię na wszystkie dni swojego pobytu. A wróciłabym tylko po to, żeby zarobić na kolejne”.

Kontynuowała flirt!

„To tak miłe, że zasłużyłaś na bukiet tulipanów. Albo i na dwa, rano i wieczorem”, wystukałam, z trudem powstrzymując drżenie rąk.

„Wystarczyłyby twój jeden uśmiech dziennie :)”.

Następny dzień rozpoczęłam od wizyty w kwiaciarni, gdzie kupiłam czerwone tulipany przewiązane szeroką atłasową kokardą. Lecz nie wylądowały w rękach Darii, tylko w koszu. Nie miałam odwagi podejść do niej z kwiatami, na dodatek przy wszystkich. Kto wyśmiałby mnie pierwszy?

Nasz kontakt stał się podobny do tego sprzed wycieczki.

Aż wreszcie się odprężyłam. Tak jak należy pogodzić się ze śmiercią, by czcić życie, należy pogodzić się z odejściem ukochanej. By czcić miłość. Tłumaczyłam sobie, że Daria nie była nawet moją miłością. Najpierw – niespełnionym pragnieniem. A po jego spełnieniu – już mniej pożądanym. Najważniejsze jednak były dwa fakty: oto wreszcie zbliżyłam się do kobiety, a mój pierwszy

raz okazał się naprawdę wyjątkowy.

Dwa tygodnie po powrocie z Wrocławia poznałam Majkę.

Rozdział VIII

Syreny

Otworzyła się przede mną nowa przestrzeń, rozległa, lecz nie pusta. Zajmowała ją Majka i nasze przeżycia.

Nigdy dotąd moje życie nie było równie wspaniałe. Nie zmagalam się ze smutkiem. Wszystko wydawało się lekkie i proste. Liczyła się tylko Majka. I miłość. Poznawałyśmy nasze ciała, wciąż na nie zachłanne i nimi zdumione. Jej skóra była cieńsza i delikatniejsza od jedwabiu, aksamitu, muślinu. Nie mogła jej dorównać żadna materia. Mężczyźni nie byli już dla mnie, zdenerwowanej, że porady psychologiczne i erotyczne w kobiecych magazynach dotyczą wyłącznie relacji z nimi.

Wszędzie czai się dyskryminacja.

Nie wspominałam znajomym o mojej orientacji, bo i po co? Czy oni wykrzykiwali o swojej? Postanowiłam, że coming outu będę dokonywać wyłącznie przed ludźmi, z którymi połączy mnie szczególna nić porozumienia, przebiegająca pod skórą. Zbliża ich do siebie bez względu na płć.

Jak dotąd najmocniejszą więź czułam z ukochanym, teraz – z ukochaną. Do niego nie odzywałam się wcale. Odrzucałam każde połączenie. Podczas gdy na telefony od Mai czekałam z równą niecierpliwością jak na ten pierwszy.

W czwartek oznajmiła, że w weekend nie widzimy się u Louisa; akurat kończył ważny projekt i nie chciał się rozpraszać (rozumiałam go, mnie nimfetka również rozpraszała). A na piątkowy wieczór przygotowała niespodziankę. Kupiła nam bilety na Strachy. Nam? Naprawdę? Strachy dla nas? Znaki zapytania zamieniły się w wykrzykniki, bo wydawało mi się, że chodzi o noc horrorów, ale młoda wyśmiała mnie i wytłumaczyła, że Strachy to kapela rockowa.

Nie znałam ani jednej ich piosenki i nigdy nie byłam na koncercie rockowym. Kojarzył mi się z niemiłosiernym hukiem, piskiem i wrzaskiem tłumu nacierającego ze wszystkich stron.

Oczami wyobraźni widziałam, jak ten tłum zakleszcza mnie w sobie. Ludzie poubierani w powyciągane sprane koszulki z napisami *Punk's not dead*, klejące się do cuchnących potem ciał. Wspólny wieczór tak, wspólny koncert nie. Jak najbardziej nie.

– Nie pękaj, wyhulamy się za wszystkie czasy! – przekonywała Majka.

Podalam kolejny argument przeciw, najbardziej typowy z typowych – że nie mam co na siebie włożyć. Odparła, że się tym zajmie i będziemy – tradycyjnie! – wyglądać jak siostry. Zamierzała wpaść po mnie przed imprezą.

Nie dała mi wyboru.

Cóż, pozostało mi się cieszyć, że spotkamy się poza „pracą”. I to z jej inicjatywy.

W piątek powitałam ponętą dziewczynę w króciutkich spodenkach, z nogami zarazem osłoniętymi i odsłoniętymi oczkami kabaretek. Na obcisłą bluzkę Majka zarzuciła rozpiętą ramoneskę. Ale najbardziej ekstrawaganckie były czerwone martensy sznurowane do kolan. Moja pięknotka zamieniła się w punkówkę i chciała w nią zamienić także mnie.

Przez chwilę pomyślałam o Darii.

– No, nie gap się tak! – Głos Majki odciągnął mnie od wspomnień. – Wciągnij to! – Wręczyła mi spory pakunek.

Przybywała niczym rockowa wróżka z ciuszkami dla mdłego Kopciuszka.

– Te spodenki ledwo zakryją moją tłustą dupę! – zaprotestowałam.

– Co ty gadasz? Masz całkiem zgrabną dupę.

Dostałam klapsa.

– To w dowód uznania?

– Nie gadaj tyle. Ile mam na ciebie czekać? – Majka zapaliła papierosa.

Przebrałam się i przeciągnęłam długą sznurówkę przez ostatnią dziurkę ciężkiego buciora. Stałam przed nią jak przed wyrocznią.

– Wystrzałow! Jesteśmy megaseksi dupery!

– Ile ci oddać za zakupy?
– Nic. Balujemy za hajs Louisa. Miałam kupić kolorowe ciuchy, co nie? No ale ty czcisz czarny, jako córka szatana. Ave Satan!

– A niech cię diabli wezmą!
– Wystarczy, że będziesz to ty... – kusiła.
Nie miałam ochoty ani na flirt, ani na szybki numer, zanadto przejęta koncertem, choć się do tego nie przyznawałam.

Zaraz po wejściu na salę młoda zaciągnęła mnie pod samą scenę, do epicentrum hałasu i ścisku, których tak się obawiałam. Miałam wrażenie, że oto wsiadłam na karuzelę łańcuchową. Huśtały mnie melodyjne energetyczne piosenki.

– „Gdybym mógł być jak duch/Mieszkałbym w twojej kieszeni od jesieni do jesieni znów i znów/Gdybym mógł”^[14] – śpiewałam do ucha mojej towarzyszki refren, który zapamiętałam.

Kołysaliśmy się przytulone. Nie miałyśmy jednego obserwatora, lecz całą ich masę. Jeszcze bardziej rozkoszowałam się faktem, że ciało nimfетки jest dziś tylko moje.

– Idź-cie na sce-nę! – skandowali nasi kibice. – Jesteście sto razy lepsze! Dawajcie na falę!

– Co to jest fala?
Zanim usłyszałam odpowiedź, zwinne i silne ramiona pochwyciły mnie i uniosły w górę.

Płynęłam na rękach tłumu, a Majka tuż obok. Chwyciłam jej dłoń. Podawano nas sobie z rąk do rąk, nie zrywając tego połączenia.

Czyż nie tak zawiązuje się nić?
Kiedy koncert dobiegł końca, nogi uginały się pode mną. Jak pozbawione rusztowania z kości i wypełnienia z mięśni. Trudno mi było do siebie dojść, w ogóle uczynić krok, więc nimi powłóczyłam. Zregenerował mnie dopiero zimny prysznic. Natomiast energia nastolatki okazała się niewyczerpana. Majka szczerze obdarowywała mnie podnieceniem i zaspokajała je jednocześnie. A ja wciąż nie potrafiłam określić, czy wolę ją jako wulgarną kurewkę, czy jako słodką lolitkę. Co rusz zmieniała

wcielenia, działając na mnie w każdym. Niepokoiłam się, czy na jej ciele nie zabraknie miejsca dla czułości.

Nie zabrakło.

Uśpiona wydawała się bardzo łagodna, bez skazy.

Gdy się obudziłam, nie miałam do kogo wyciągnąć ramion. Gdzie ona się podziewa? Uff, na szczęście zostawiła rzeczy...

Uspokojona przysnęłam ponownie. A kiedy otworzyłam oczy, ona siedziała na łóżku i zajadała rogalik. Podała mi talerzyk z drugim i kubek kawy z mlekiem.

Po rockowej imprezie nastąpił przełom. Nie licząc wizyt u Louisa, widywałyśmy się tylko we dwie we środy, gdy miałam wolne. Młoda wpadała do mnie po lekcjach i zostawała na noc. Nie mam pojęcia, jak przemykała, żeby nikt się nie czepiał. Nasłuchiwałam, czy już biegnie po schodach.

Cokolwiek na siebie włożyła, wyglądała w tym równie dobrze. Mnie pociągałaby nawet w stroju astronauty. Jednak jej też dokuczały kompleksy. Skarżyła się, że ma zbyt pucołowatą twarz. Bzdura! Nie znosiła także piegów na nosie. Nie działał na nią argument, że całowało ją słońeczko. Smarowała ślady po tych całusach kremami, pokrywała je maseczkami, nacierała cytryną, ale nadal były widoczne. Nakładała więc dodatkowo kilka warstw pudru. Zlizywałam go z wilgotnego noska. I już budziła się we mnie namiętność. Kreśliłam językiem okręgi wokół jej sutków. Kiedy brałam je do ust, smakowały podobnie jak poziomki. Przed okresem nabrzmiewały. Wtedy leciutko trącałam je czubkiem języka. Nikt tak wprawnie nie zajmie się obolałymi piersiami jak druga kobieta. Miesiączki wyregulowały się nam do tego stopnia, że dostawałyśmy je w tym samym czasie. A gdy się kończyły, od nowa wdychałam odurzający zapach intymności. Wciąż nie mogłam się nasycić tym, jak delikatnie wargi Majki wchodzą w moje. A ona wprowadzała mnie w vibracje powoli, okrężną drogą. Jakby znęcała się nade mną, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że wolę szybko dochodzić do celu. Poznałyśmy się już na tyle, że prowadziła mnie na szczyt jak najsprawniejsza przewodniczka. Krew uderzała mi do głowy i między nogi.

Po ciągnących się godzinami miłosnych sesjach obie byłyśmy wykończone.

Kiedy wyhamowałyśmy, spędzałyśmy czas bardziej, hm, różnorodnie. Najpierw przez kilka godzin uczyłyśmy się razem. Czasami odrabiałam za młodą lekcje. Przyznała się, że ostatnią książką, którą przeczytała, była *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*, jeszcze w gimnazjum. Trochę żałowałam, że nie porozmawiamy o ulubionych powieściach. Na jej prośbę streszczałam obowiązkowe lektury. Słuchała uważnie, a ja łudziłam się, że dzięki temu sama zacznę więcej czytać.

Później pichciłyśmy obiad. Majka była szefem mojej kuchni. Z ulgą oddałam jej ster przy garach.

Matka nie dopuszczała mnie do gotowania. „Taka z ciebie pomoc, że ja pierdolę! Wszystko trzeba poprawiać albo robić od nowa”, powtarzała do znudzenia i załamania. W klasie prawie wszystkie koleżanki piekły ciasta, ale nie ja. Zbierałam od nich przepisy, własnoręcznie kopiowałam je do zeszytu z łabędziami na okładce. Marzyłam, że gdy mojej surowej nadzorczyńi nie będzie w domu, przygotuję pierwszy wypiek. No i trafiła się idealna okoliczność: obchodziłam właśnie dwunaste urodziny. Wybrałam jogurtowiec z brzoskwiniami, który wydawał się łatwy do zrobienia. Rano wzięłam od ojca pieniądze pod pretekstem, że idę z klasą do kina, a po lekcjach wybrałam się na zakupy. Odhaczałam z listy, co już mam. Czułam się dorosła i zaradna. Wracałam do domu radosna jak skowronek. Matki nie było, miała pomagać babci w porządkach. W kuchni raz-dwa zakrzętnęłam się przy pracy. Wyobrażałam sobie, że ciasto będzie wszystkim smakowało. Rodzina obsypie mnie pochwałami i raz na zawsze skończę z wizerunkiem niezdary.

Włączyłam mikser na full. Rozrobiłam jajka i cukier. Jasne kleksy rozbryzgiwały się po ścianie i podłodze. Nic takiego, wytrę później, bagatelizowałam. Po paru minutach składniki rzeczywiście przestały wirować, wariować i połączyły się w puszystą masę. „Dodać ostudzone masło, jogurt i aromat waniliowy. Krótco zmiksować”. Cały czas postępowałam zgodnie

z przepisem, pewna, że nic mnie nie zaskoczy i wszystko się uda. Dosypałam mąki i znów wymieszałam całość. Tamtego dnia byłam wystrojona, w rozłożystej spódnicy podobnej do stroju baletnicy. Nie przejmowałam się, że pokrył ją biały pył. Chwyciłam puszkę brzoskwiń, zakręciłam z nią piruet, przykucnęłam i pociągnęłam za metalową zawleczkę opakowania.

Skaleczyłam się w palec. Rana nie była głęboka i nawet nie piekła. Wyprostowałam kolana, stanęłam przy blacie na palcach i wyjęłam owoce ze słodkiej zalewy. Pokroiłam je w kostkę i dodałam do masy. Wlałam płynne ciasto do brytfanki. Pośliznęłam się na podłodze, wsuwając blachę do piekarnika. Przysiadłam pod nim na niskim taborecie i pilnowałam ciasta, w obawie, że bez tego zniknie jak tancerka za kurtyną.

– Magda, co ty robisz?

Matka wróciła wcześniej, niż przypuszczałam.

– Piekę ciasto – odparłam wesoło, licząc, że udzieli się jej mój nastrój.

Przeliczyłam się. Matka natychmiast przystąpiła do ataku.

– Pozwoliłam ci? – zapytała gniewnie.

– Nie...

– A po cholere nam ciasto?

– Na moje urodziny. Zapomniałaś?

– A co to specjalnego, urodziny? Każdy ma urodziny. Ile to się już piecze?

– Długo. Ale jeszcze nie urosło.

– No ile?

– Półtorej godziny.

– Na mózg ci padło? – Matka wyłączyła piekarnik.

Otworzyła drzwiczki na oścież i wysunęła brytfankę. – Ale gniot, ja pierdołę! I tyle rzeczy zmarnowałaś! – Podeszła do zlewu. – Myj te gary, no już! Na co czekasz? Podłoga cała uklejona, a ledwo przed wyjściem zdążyłam umyć! Matko Boska, co ja się z tobą mam! – Załamywała ręce.

– Czemu znów się na nią drzesz? – W progu kuchni stanął ojciec.

– Nie włącz tu, bo rozniesiesz syf po całym domu! Ona nic nie umie zrobić jak trzeba! No nic!

– To ją naucz.

– Nie mam na nią nerwów! Nie dość, że zrobiła zakalec, to jeszcze go spaliła! To trzeba mieć talent! Radek, chłopak, młodszy, a sobie radzi. Nawet obiad przyszykuje, nie porozwala, nie nabrudzi. W nim mam wyrękę, w niej tylko udrękę!

Nawet nie zauważyli, że wyszłam. Zamknęłam się w łazience i podarłam na strzępy zeszyt z łabędziami.

Na półce pod lustrem leżało nowe pudełko z żyłkami do maszynki ojca. Zaciekawiałam się, czy skaleczenie od takiego ostrza boli i jak bardzo. Postanowiłam sprawdzić. Uznałam, że mogę zaryzykować, skoro i tak nikogo nie obchodzą moje urodziny i moje uczucia.

Wyjęłam żyłkę i przesunęłam po niej opuszką palca. Wyssałam krew z małej ranki. Nic nie było widać. Spróbowałam inaczej – przeciągnęłam ostrzem po nadgarstku. Kreseczka nabiegła czerwienią. Zaszczypała. O rany, ja to zrobiłam? Co ja zrobiłam? – spanikowałam.

Rano włożyłam bluzkę z długim rękawem. Do spania też była dobra, przede wszystkim dlatego, że przykrywała czerwony ślad. Brat dziwił się, że mi zimno. Zgasiłam światło.

– Tak. Bardzo zimno. Przesuwaj się na swoją stronę!

Zamknęłam oczy. Łzy piekły mnie w twarz.

„W nim mam wyrękę, a w niej tylko udrękę!”. To się matce udało.

Odtąd pomagałam w kuchni wyłącznie wtedy, gdy już nie miałam wyjścia. Radek i tak był ulubionym pomocnikiem.

„Pokroisz mamuni marcheweczkę?”. „O, jak pięknie, jak równiuteńko!”. „Daj, wrzucę do rosółku”.

Nie przypuszczałam, że matka potrafi zdrabniać słowa. Tylko najukochańszy synuś mógł je usłyszeć. Ja nigdy nie dostałam nawet okruszka pochwały.

Majka okazała się bardzo cierpliwą instruktorką gotowania. W życiu bym jej o to nie podejrzewała.

– Jeny, Magda, patrz, co robię, i rób podobnie. To chyba nie problem, co nie?

Chwaliła mnie i ze smakiem zjadała każde danie, nawet najprostsze. Jadła ładnie, nie tak łapczywie jak mój brat. Kiedy przeżuwała kolejne kęsy, przymykała oczy i odchyłała głowę, jakby przeżywała orgazm.

Marzyłam, że niedługo i ja znajdę się w jej dzióbku i w palcach.

Po deserze urządzała domowy salon piękności. Znosiła maseczki i peelingi, które koniecznie musiałyśmy wypróbować. Rozkładała na łóżku wachlarz kolorowych magazynów. Podglądała proponowane makijaże, fryzury i powtarzała je na mnie.

Nieraz drwiłam z Akademii Paznokcia Księżnej Kate, więc nie spodziewałam się, że takie spędzanie czasu mi się spodoba. Z nimfetką jednak dbałyśmy o urodę same, nie w grupie świergolących kobiet, bacznie obserwujących, która najlepiej zaświergoli i będzie wyglądać najpiękniej. To, co Majka robiła dla mnie, było zwyczajnie miłe. Znalazła nawet artykuł, z którego wynikało, że ona ma wiosenny, a ja zimowy typ urody. Według nich powinnyśmy dobierać kolory ubrań i kosmetyki.

Po tych rewelacjach salon dotknęła rewolucja.

Moją domeną była sztuka, dlatego chciałam nią zainteresować ukochaną. Pomyślałam, że świetnie byłoby razem pooglądać albumy różnych artystów, poodwiedzać wernisaże, wystawy. Na dobry początek pokazałam Majce uwodzicielskie malarstwo Klimta, bo kojarzyła *Pocałunek*. Zwróciłam jej uwagę na *Węże wodne*, mówiąc, że jest złocista, podobnie jak kobiety na tym obrazie.

Młoda nie wzdychała razem ze mną. Nie komentowała. A ja prawie dostawałam zawału z powodu jej ignorancji. Nie mogłam uwierzyć, że takie obrazy na nią nie działają. Nie chciała zobaczyć, co jeszcze namalował Klimt, bezlitośnie stwierdzając, że jej to nie interesuje i nigdy nie będzie mnie przypominać. A przecież nie musiała; ja po prostu pragnęłam, żeby poznawała nowe rzeczy,

cieszyła się nimi i znajdowała w nich coś dla siebie.

Dosadnie dawała mi do zrozumienia, że ona tego nie chce.

Mimo to w kolejną środę włączyłam mój ulubiony film o miłości lesbijskiej, *Aimeé i Jaguar*. Akcja dzieje się podczas II wojny. Wspólnie z Majką śledziłyśmy kształtowanie się uczucia między ukrywającą się Żydówką Felice a żoną niemieckiego oficera Lilly.

– Straszna jest ta scena, jak gestapo wlecze Felice po schodach...

– No.

– Zżyłam się z bohaterką. A ty?

– Ja też.

– Podoba mi się jej entuzjizm, charyzma, energia. Lilly nie jest w moim typie.

– Echeś.

– Obie jesteście jaguarami, jak Felice! Wolnymi, z dzikimi sercami.

– No tak.

Nie miałam pojęcia, czy Majka podziela moje opinie, czy zgadza się ze mną dla świętego spokoju. Trudno się z nią rozmawiało na inne tematy niż związki, muzyka, moda. Ale kiedy nie miała ochoty się wypowiadać, najwięcej wyrażała poprzez spojrzenia – radosne i zalotne, przygnębione i tajemnicze.

Wciąż najlepiej rozumiałyśmy się w łóżku. Lękałam się momentu, gdy zmysły prysną. Co pozostanie wtedy?

Na razie poszukiwałam kompromisu. Postawiłam na wycieczki i pikniki. Zabierałam na nie aparat. Nikomu nie zrobiłam tylu fotografii, lecz i tak nie zdołałam uchwycić czarnej mojej pięknotki.

Najbardziej lubię zdjęcie, które pstryknęłam jej w lesie.

Poprosiłam, żeby położyła się na ziemi i zamknęła oczy. Zaprotestowała, że się przeziębii. Po długich pertraktacjach i licznych obietnicach (erotycznych) udało mi się ją do tego nakłonić. Pod jej ciałem zaszeleściły suche liście. Jasne włosy splotły się z kępkami „naszych” kwiatów, konwalii; białe łebki

wychylały się spomiędzy ich pasm. Czarna sukienka w białe grochy odślaniała lekko opalony dekolt. Tuż obok na drzewo przemknęła wiewiórka. Dotykała chropowatej kory miękkimi łapkami i powiewała puszystą kitą.

Wywołałam tę fotografię i napisałam na odwrocie: „Chodź, owinę cię liściem. Wtul się w niego i zaśnij. Widzisz, jak ci dobrze? Ułożyłaś go na sobie niczym kołdrę. Uchyl jej rąbka i przygarnij mnie, Konwalio, jak najbliżej siebie, bo mało jest miejsca pod pojedynczym listkiem”.

Włożyłam fotkę w czerwoną kopertę i wręczyłam Majce, ale usłyszałam tylko, że jeszcze nikt tak do niej nie pisał.

Obudziła we mnie sentymentalny romantyzm, którego dawniej nie znosiłam. Nie poznawałam siebie. Mogłabym pleść wianki, motać Majce na szyi kolorowe chustki w motyle, o tak, z paziami królowej dla mojej królowej... Gdybym tylko miała pewność, że przyjmie hołdy bez parsknięcia śmiechem.

Wieczorami królowały alkohol i muzyka. Młoda grała na gitarze. W gimnazjum przechodziła rockowy bunt, jeździła do Jarocina i na Przystanek Woodstock. Znajomi udzielali jej lekcji gry. Efektywnie, bo według mnie była świetna. Przyciągała zainteresowanie moich sąsiadów. Bacznie obserwowałam, czy żaden nie zbliża się za bardzo. Wydrapię oczy każdemu kochasiowi! – groziłam im w duchu. Jestem kotem czy nie?

Oficjalnie uchodziłyśmy za najlepsze przyjaciółki. Wyłącznie wtedy, gdy zostawałyśmy same, dawałyśmy upust uczuciom. Gdy Kate wracała z zajęć, udawałyśmy przed nią siostry cioteczne. Maja miała z tego taki sam ubaw jak ja. Spałyśmy niewinnie, w „siostrzanych” objęciach.

Jednak szalone imprezy odstraszyły najpierw towarzystwo księżnej Kate, a później ją samą. Przeniosła się do dziewczyn piętro niżej. Miałam wyrzuty sumienia, że doprowadziłam ją do takiej decyzji. No dobra, nie doskwierały mi za bardzo, bo jednak po raz pierwszy w życiu miałam własny pokój! Nimfetka cieszyła się z tego nawet bardziej niż ja; gdy dowiedziała się o wyprowadzce księżnej, przyniosła mnóstwo alkoholu. Skacząc po

łóżku, piłyśmy za zdrowie dawnej współlokatorki i za to, żeby nie nakablowała administracji, że nocuje u mnie „siostra”. Po kolacji zmywałyśmy naczynia pod prysznicem.

Z Majką mogłabym nawet bujać się na zyrandolu.

Wpadała do mnie, kiedy tylko obie miałyśmy czas. Po kąpeli wychodziła z łazienki w samym ręczniku, brała do ust papierosa i siadała mi na kolanach. Podawałam jej ogień, a ona opierała stopę na moim ramieniu. Zupełnie jakbym była jej własnością. Oto nimfa pełna blasku! Na jej włosach zawsze tańczą jasne refleksy. Zabiera mnie poza czas, w oceaniczną głębię piękna. Najchętniej wpuściłabym jej rybkę między nogi, oczywiście złotą, żeby trącała ją pyszczkiem. Nie miałam rybki, więc sama dostawałam się w ponętną głębię. Na zewnątrz był wrogi świat, a ja pływałam pośród miłości.

Rano patrzyłam na wystającą spod kołdry różową piętę. Szkoda mi było wyrywać kochankę ze snu i tracić wspólny poranek, ale co? Znów nie pójdzie do szkoły? Potrząsałam lekko jej ramieniem i pytałam, czy wstaje, czy nie. Zwykle mamrotała, że ma same nieważne przedmioty, i przewracała się na drugi bok.

Przed pokazami u Louisa często zastanawiałam się, kto w tym układzie sprawuje władzę. My rządziłyśmy nim czy on nami? Ja nią czy ona mną? Majka nie przestawała przyprawiać mnie o miłosne dreszcze. Łudziłam się, że działałam na nią podobnie, a pieniądze stanowią teraz wyłącznie dodatek do uczucia. Marzyłam, że zabiorę ją na romantyczne wakacje do Paryża. A po powrocie znajdziemy normalne prace, zamieszkamy razem i tak dalej.

Wraz z zakochaniem się pojawiła się u mnie idealizacja, lecz moja kochanka mocniej stąpała po ziemi. Ponownie podjęła temat, czemu się tnę. Wyjaśniałam obojętnym głosem, że ona bierze papierosa, a ja biorę żyletkę. Po prostu taki mam sposób na rozładowanie stresu. Raz go potrzebuję, raz nie. Nimfetka stwierdziła, że jestem psycholką. Powiedziała, że kiedy Louis zobaczy sznyty, wyrzuci mnie na pewno.

Nie bałam się tej chwili. Za to Majka bała się, że beze mnie będzie zarabiać mniej. Wprawiała mnie tym w niesłychane

oburzenie. Wykrzyczałam, że skupia się na pieniądzach, a nie zastanowi się, że mnie rani! Mocniej od jakiegokolwiek ostrza!

Przeszła przeze mnie burza, gromy uderzyły w partnerkę. Młoda pobladła, zacisnęła usta. Jej oczy też rzucały gniewne błyski. Potrząsała lokami.

Skojarzyła mi się z obłąkaną lalką z horroru.

Po tej kłótni długo się nie odzywała; dotrzymywała Louisowi towarzystwa w delegacji. Jeszcze przed awanturą uzgodniłyśmy, że po powrocie odwiedzi mnie jak najszybciej, lecz nie spełniła obietnicy. Na pocieszenie dostałam kolejny list gratulacyjny od rektora za wyniki w nauce, mimo że balowałam z nimfetką i za mało się uczyłam, jednak nie zasługiwałam na żadne gratulacje. By sprawiedliwości stało się zadość, podarłam papier. Kiedy jednak pocięłam się i ochłonęłam trochę, poszłam po taśmę klejącą. Postanowiłam, że prześlę naprawiony list rodzicom. Przecież nie wyrządzali sobie/nam/mnie krzywd z premedytacją. Sami również nie byli szczęśliwi. Zrobiło mi się ich szkoda. Nie wiem, którego bardziej. Czasami nie dziwiłam się ojcu, że pije. Ja też zapijałabym każdy dzień spędzany z harpią, co ma harpun i wszystkiego się nim czepia. Jednak kto zna szczęśliwą kobietę żyjącą z alkoholikiem? Im byłam starsza, tym bardziej współczułam matce, że codziennie prowadzi beznadziejną walkę z brudem i z mężem, dźwigając siaty i współuzależnienie. Tak okrutne wobec siebie, jak my, potrafią być tylko najbliższe osoby...

Powinnam już dawno temu wybaczyć rodzicom.

Pomyślałam, żeby niedługo wpaść do nich w odwiedziny. Jednak najpierw list!

Już miałam biec na pocztę, gdy zaćwierkała moja komórka. Majka. O proszę, obudziła się moja ptaszyna? Odebrałam po kilku sygnałach, żeby nie pomyślała, że rzucam się na każdy telefon od niej.

Na pytanie: „Co słyhać?”, odburknęłam byle co i się rozplakałam. Zaniepokoiła się, co u mnie, i obiecała, że zaraz będzie.

Przyjechała z gitarą. Bez słowa usiadła na łóżku i zaczęła ją

stroić. Po chwili usłyszałam akordy jednej z moich ulubionych piosenek.

– „O Peggy Brown, o Peggy Brown, kto ciebie ukochać będzie umiał”^[15] – zaśpiewała.

– „O Peggy Brown, o Peggy Brown, kto ciebie ukochać będzie umiał” – zawtórowałam.

– „Jedyne o czym wciąż myślę/To ciemnowłosa dziewczyna/Choć nie chce dać czego proszę/W oddali od siebie mnie trzyma/Choć nie chce moich przysiąg/Nie słyszy...”.

– „...nawet swej dumy, o nieee!” – wydarłam się na cały regulator.

I już panowała między nami zgoda. W śpiewie, w niedoskonałej miłości.

Bo gitarzystka zagrała również na moim ciele. Poruszyła jego najczulsze struny. A przed snem przysiadła na łóżku w kusej koszulce.

Podciągnęłam ją do góry i podziwiałam, jak pięknie prezentuje się kształt pośladków na tle prześcieradła.

Nikt nie mógł dorównać Majce.

Pół żartem, pół serio wypominała, że nie mam narzeczonego. A mnie narzeczony kojarzył się z dorszem. Niedawno w autobusie usadowiła się za mną para, z Panną Szczebiotką jako przewodnikiem stadła. Ona mówiła bardzo głośno, z nieznośną manierą wymawiania „r” jako „rł”. Uświadomiła pasażerom, jaki nacisk potrafią wyrzucić niektóre kobiety na partnerów. „Spotykali się długo i dziewczyna zmusiła go, żeby się zaręczył. Dla mnie to abstrakcja. Nie ma co tego poganiać!”. Te poglądy nie przeszkodziły jej jednak w opowiadaniu o zaręczynach i ślubach przyjaciółek. By przekonać ukochanego, że będzie z niej świetna gospocharz, Panna Szczebiotka długo i zawile omawiała wątki kulinarne. „Kupiłam fileta z dorsza ze świeżej oferty Carrfourla. Był wielki na caałą patelnię! Moja mama sama patroszy rłyby. Ja nie potrafię”.

Nie martw się, moja droga, wszystko przed tobą, stwierdziłam w duchu. Jak kocha, to poczeka i w końcu, nad

własnoręcznie wypatroszonym przez ciebie dorszem, wręczy ci pierścień mocy.

Ja również projektowałam wymarzony ślub, jak każda kobieta. W mojej wizji potulnie zgadzałam się na pomysły przyszłego męża i rodziców. Odbywałam nawet spowiedź, kusząco bezwstydną. I w nagrodę dostawałam standardowy zestaw: sukienka beza, płatki sztucznych róż, orkiestra i karoca.

Wysiadalam z niej, drobiąc nóżkami w wysokich pantofelkach. Słyszac pochlebstwa, lekko kiwałam główką na boki, żeby nie popsuć misternie ułożonej fryzury. I puszczałam pawia tuż przed kościołem, wprost na wyglansowane buty pana młodego.

Uciekałam, aż welon powiewał za mną na wietrze.

Czyż nie romantycznie?

Najważniejsze, że po ślubie kobieta zdobywa respekt. Przestaje być dupą. Jest żoną, będzie matką. Mimo wszystko wolałam być dupą, byle bez cellulitu i rozstępów. Zgrywałam się, jak mogłam, sama przed sobą, przeganiając kolejne lęki. Przybrały na sile, gdy pewnej cudownej nocy zapytałam Majkę:

– Jak mam do ciebie mówić?

– Najlepiej: Ej ty!

Zawsze kiedy chciałam z nią porozmawiać o nas, wpadała w prześmiewczy nastrój.

– Pytałam poważnie, kochanie.

– No weź, tak to nie mów! Tak będzie mówił do mnie mój mąż – oświadczyła tonem hrabiny.

– Żartujesz?

– Dlaczego? No tak, ty nie chcesz mieć męża...

– Mogę mieć żonę. A ty nie chcesz mieć żony?

– Nie!

Prawdę mówiąc, nie planowałam wielkiego lesbijskiego wesela z Majką w roli głównej. Planowałam coś cudowniejszego. Wyobrażałam sobie, że zwiedzamy świat, wciąż szalone, a dla siebie wciąż ukochane. Rozczesujemy sobie wzajemnie długie siwe włosy, żartujemy ze zmarszczek... Jednak po tamtej rozmowie naszło mnie nieznośne wrażenie, że ona bardzo lubi kochać się ze

mną, ale mnie nie pokocha. A największy strach odczuwałam przed samotną starością. Miałam na tym punkcie obsesję. Przecież po ukończeniu trzydziestego roku życia atrakcyjność fizyczna kobiety nie wzrasta. Wiele mądrych osób przed przekroczeniem tej granicy zabezpiecza się właśnie zaręczynami z jakimś dorszem. Nie powiem, że to nie jest dobry sposób. Narzeczony również nie młodnieje. Nie trzeba w kółko robić się na dziwkę i szlajać po dyskotekach w obawie przed staropanieństwem. Ja miałam syrenkę, a nie patroszonego dorsza, ucinałam więc uwagi Majki pytaniem:

– Po co mi narzeczony, skoro jesteśmy razem?

Tylko jak długo jeszcze? – zamartwiałam się jednocześnie.

Później wpadłam w paranoję, że w trakcie pokazów u Louisa młoda traktuje mnie równie instrumentalnie jak dawniej mężczyźni. Chce zrobić swoje i mieć z głowy. Zaprzeczała.

– Zdaje ci się. Mogę ci tak samo nawrzucać, co nie? Ciesz się mną.

I już była przy mnie, wdzięczyła się, nęciła zgrabnymi nogami.

Po kolejnym świetnym seksie zapytała, czy nie mam ochoty dorobić sobie z nią przed kamerką. Tłumaczyła, że mamy „megawprawę” i szansę na naprawdę duże pieniądze. Odpowiedziałam, że mnie nie potrzeba więcej kasy.

– Ale mnie trzeba. Zrób to dla mnie.

Odsunęłam się od niej. A wtedy ona oznajmiła chłodno, że zamierza oszczędzać na mieszkanie i sama znajdzie sobie kolejnych sponsorów. Złośliwie zapytałam, kiedy w końcu zamierza znaleźć czas na naukę do matury. Krzyknęła, że matura to bzdura, a pieniądze zawsze są ważne. Wypomniała mi, że gdy jej pragnę, matura mnie nie obchodzi.

Zdenerwowałam się. Kto w końcu pomagał jej w nauce? Kłótnia się rozkręcała. Majka jak zwykle odpaliła papierosa. Gdy kazałam jej go zgasić, odwróciła się do okna i z całej siły walnęła pięściami w parapet.

– Ostatnio nic ci we mnie nie pasi! Nic! Nie chcesz, to nie

będę przychodzić! Nie będę ci zawracać dupy! Nigdy!

I już była przy drzwiach.

Po chwili wyrzałam na schody – zbiegała w dół jak szalona. Ledwie wyrabiała się na zakrętach. Tylko mnie ubawiła. Nie zamierzałam ścigać rozhisteryzowanej nimfetki, czy raczej rozhisteryzowanej gówniary. Czułam się od niej bardziej dojrzała. Lepsza.

Pomimo afery nie odwołałyśmy pokazu u Louisa następnego dnia.

W sypialni zapragnęłam Majkę zaskoczyć. Ssała moje piersi, a ja wygładzałam i burzyłam pasma jej włosów. Delikatnie pociągnęłam za jeden kosmyk; nie przestawała się mną zajmować. Nacisnęłam na jej głowę, by zeszła niżej i zrobiła mi minetę. Nie zaprotestowała. Okręciłam jej włosy wokół dłoni, pociągnęłam i zmusiłam, by kochanka przez chwilę spojrzała mi w twarz. W jednym oku dostrzegłam dziecięcą bezradność, a w drugim – żądzę. Znowu przycisnęłam ją do siebie i mocno szarpnęłam za włosy.

– Nie przestawaj – powiedział Louis.

Tym razem pasowała mi jego czujna obecność. Wzbudzałam w nim podziw.

Kochanka zanurzyła się we mnie.

Orgazm przeszedł przeze mnie jak huragan.

Majka uniosła głowę. Uśmiech miała zjawiskowy.

* * *

U mojego brata też zaszły zmiany. Z jego pokoju zniknęło terrarium. Sprzedał pająka. Nie mogłam się nadziwić, że to zrobił. Dociekałam, dlaczego nie przyznał się, że brakuje mu pieniędzy.

– To nie tak. Moja dziewczyna boi się pajaków.

– Twoja dziewczyna?

Wprawdzie zmeźniał już dawno, ale on i dziewczyna? Szok za szokiem!

Poznałam ją jeszcze tego samego dnia.

– Siemanooo! Ty jesteś Magda? Radziuuu, ale masz fajną

sister!

Obcałowała mnie i wyściskała, jakbyśmy znały się od co najmniej dziesięciu lat.

– Robiłeś już obiad? Nie? Magda, co lubisz najbardziej? Jesteś gościem, wybieraj! – Otworzyła na oścież lodówkę, zupełnie jak pani domu. – Czym chata bogata!

– Dzięki, już jadłam.

– To może ciasteczko? Radziuuu! – Dziewczyna wydierała się jak na targu. – Zostały jeszcze wuzetki?

– Tak. W szafce na samym dole.

– Chcesz, Madziuuu?

Znów ten natrętny zaśpiew, jak u solistki z zespołu pieśni i tańca. Powinna jeszcze dorzucić „ojdyrydydy, uha!” i przytupnąć!

Podawała nam ciastka. Przyjemnie się patrzyło na różowy i giętki języczek zbierający bitą śmietanę z kącików ust. Tamtego dnia pewnie chciała mi się podlizać. Doceniłam starania.

Po powrocie do domu na Facebooku znalazłam zaproszenie od niej. Bratowej chyba się nie odmawia?

Oj, gdybym wiedziała, w co się pakuję... Codziennie pojawiała się jej nowe selfie robione smartfonem w łazienkowym lustrze. Na tle białych kafelków stała blondynka z koczkim na czubku głowy albo z innym gniazdem. Prezentowała lewy bądź prawy profil. Szczęrzyła się i podpisywała zdjęcie: „Sie sie siemanooo! Pozdrawiam! Smile!”. Kiedy jej nastrój się zmieniał, ściągała usta w ciup i pisała: „Kwaśna mina jak cytryna”. Przytulała kota, oznajmiając: „Mam kota”. Nie da się zaprzeczyć... Kiedyś nawet zapozowała, mając za plecami szare kafelki miejskiego szaletu. Balansowała na desce sedesowej rozkraczona, powyginana. Między jej nogami szumiała woda, ale ona nie tonęła, o nie – koturny znalazły bezpieczną przystań na brzegach muszli. Jedna dłoń oparta o ścianę, drugą o rurę. Na parterze rozlokowała się jej koleżanka i wytykała język.

Przeurocze.

Czasami razem z nią przed lustrem tłoczyło się kilka

dziewczyn. Wyginały się w konkursie na najbardziej ponętą lub durną pozę. Czekają, co im powie zwierciadełko.

Przyszła kryska na Matyska i stanął przed nim również chłopak naszej modeleczi, a mój brat. On zawsze poddawał się kobietom, począwszy od matki. Blond lala całowała go w usta, bynajmniej nie z matczyną czułością. Jednocześnie wymierzała w niego obiektyw smartfona. Utrwalała chwilę „z moim najukochańszym”, dodając jeszcze milion serduszek. Fanfary, bo nagroda pantoflarza była cenniejsza niż milion – niezliczone lajki od psiapsiółek najdroższej. „On to cię musi kochać, maleńka”. No cóż, kochał ją na całego. Non stop pętała się po jego mieszkaniu. A ja nie chciałam im przeszkadzać. Podobno nasza matka bardzo ją polubiła. Jasne, dostała nową córkę!

Gratulacje dla niej i dla młodej pary! Niech żyją nam!

Tymczasem ja razem z Mają czekałyśmy na wyniki matur pisemnych.

Nie zaliczyła ustnych, chociaż napisałam jej prezentację z polskiego. Miała ją wkuć i już. Wkuwała, owszem, ale na godzinę przed egzaminem. Wyznała to ze skrucą. W białej bluzce z okrągłym kołnierzykiem i z aksamitką zawiązaną na kokardę wyglądała tak niewinnie i bezbronne... W jej oczach wzbierały łzy. Popłynęły ciurkiem i po moich policzkach, gdy głaskałam ją po twarzy, gładziłam po włosach, przytulałam. Nie wytrzymałam jej bólu, więc szlochałyśmy razem.

Zapłakane oczy spojrzały w zapłakane oczy. Usta się uśmiechnęły i pocałowały.

Skontaktowałam się z Louisem i odwołałam pokaz. Obiecałam mu podwójną porcję doznań następnym razem. Gdy ochłonęłyśmy, pocieszałam nimfetkę, że pomogę jej przygotować się do poprawki i będę ją regularnie przepytywać. Nie zgodziła się. Stwierdziła, że nikt więcej nie zrobi z niej kretynki i że kończy edukację. Podsunęłam jej plan, by zapisała się na kurs kosmetyczny, a później założyła własny salon piękności.

– Pogrzało cię? – odparowała. – Mam zapierdalać od rana do nocy? Liczyć każdy grosz? Nie twoje doczekanie.

– Ale sponsoring cię zniszczy!
– A ciebie nie?
– Nie, bo nie chcę tak zarabiać w przyszłości! W przeciwieństwie do niektórych, co nie? – Celowo zaakcentowałam ostatnie słowa.

– Taaak, mądralo? A gdzie cię wezmą po twoich studiach? Na kasę do Biedry? Czy do ukochanego McDonalda? Sztuka jeść ci nie da.

– Ty chyba masz coś z mojej matki!
– A ty ze starego proboszcza! Wiesz co? Może nie wpierdalajmy się nawzajem w nasze życie. Będziemy zdrowsze.

– Jak sobie życzysz. Od dziś tylko razem pracujemy. Od pokazu do pokazu! A chciałam dla ciebie dobrze, żebyś była szczęśliwa... – wykrztusiłam w przerwie między kolejnymi spazmami płaczu.

– Oj, Magda, przepraszam! Przepraszam cię bardzo. – Przyciągnęła mnie do siebie. – Zapomnij, co ci nagadałam. Po prostu mam inne zasady, co nie? I jestem z nimi happy. Zobaczysz, znajdę męża z hajsem. Będzie jeździł w delegacje, a ty wtedy będziesz mieszkać u mnie.

Baju, baju, będziem w raj. Może i bywałam łatwowierna, ale akurat w to nie uwierzyłam.

Przylapałam się na tęsknocie za Igorem. Zastanawiałam się, jak on skomentowałby różne sytuacje. Co by mi poradził? Mieliśmy wprawdzie obszary osobne, w których rozwijaliśmy się samodzielnie, a później wymienialiśmy się odkryciami. Mieliśmy też obszary wspólne. Ceniłam nasze dyskusje.

Przy Mai nie rozwijałam się intelektualnie. Była dla mnie piękną kochanką, szaloną przyjaciółką i zagubioną siostrą, lecz nie równorzędną partnerką. Wydawało mi się, że przez to nie szanuję jej tak, jak powinnam. Zachowywałam się, nie przymierzając, jak biznesmen – o! sponsor – który dla swojej panienczki przymyka oko na jej słówka, humorki, bo co taka ma w ślicznej główce? Nic nie musi mieć, ważne, że śliczna. Gardziłam sobą za takie myślenie, ale ostatecznie zwyciężał nie ludzki rozum, tylko

zwierzęce pożądanie.

Podczas następnego pokazu byliśmy jednak w doskonałych humorach. Przed przyjściem Louisa moja seksowna kucharka przyrządziła dla nas spaghetti. Miała na sobie sukienkę w groszki, tę, którą lubiłam szczególnie. Stała nad patelnią i mieszała sos. Podeszłam do niej i objęłam, lizałam po karku i za uszami. Wywijiała się, mówiąc, że za chwilę wszystko przypali. Szeptalam, by zostawiła garnki. Wsunęłam jej rękę w majtki i zaczęłam ją pieścić. Wilgotniała, wzdychała cichutko, ale nie przestawała gotować. Powiedziała, żebyśmy oszczędzały siły na pokaz, lecz mnie już roznosiło podniecenie. Podsunęłam przezroczyście krzesło.

Majka uniosła brwi, ale rozpogodziła się za moment. Usiadła. Uklękałam przed nią, ściągnęłam z niej rajstopy i podwinęłam sukienkę. Wargi wyłaniały się jedne spod drugich, kuszące, lepkie i soczyste.

– Jesteś nienasyconą lesbą. Seksoholiczką.

Nie potwierdziłam, ani nie zaprzeczyłam. Mój język był zbyt zajęty. Mieszał jej wilgoć ze swoją wilgocią. Wsuwał się w nią, próbował nektaru. Kochanka przyciskała mnie do siebie. Siedzisko zrobiło się mokre, więc przeniosłyśmy się na podłogę. Teraz ona klęczała i podpierała się na łokciach, a ja leżałam pod nią. Próbowałam dopaść drżących piersi, pochwycić je i zatrzymać.

Nie usłyszałyśmy, że w zamku zachrobotał klucz; dopiero odgłos kroków uświadomił nam, że nie jesteśmy już same.

Louis zajął swoje ulubione miejsce – ciekawe, czy ma już plamę na tyłku? – ale nie odezwał się ani słowem. A Maja skorzystała z mojej nieuwagi i przejęła kontrolę. Wyginałam się i wypinałam przed nią, przekręcałam to na plecy, to na brzuch. Uciekałam, ale ona i tak mnie dopadała, osaczała sobą, dopóki nie poczuła wibracji.

Pozbierałam z podłogi ubrania i skierowałam się do łazienki.

Zatrzymał mnie Louis. Zachęcał, żebym została, lecz tym razem nie chodziło mu o pokaz w sypialni. Z błyskiem w oku przyznał, że ma ochotę na nas obie. Myślał, że sama na to wpadnę,

po miesiącu czy dwóch. Odczekał kolejny, a tu nic.

Ośloniłam się ciuchami.

– Tylko nie popłacz się z rozczarowania – palnęłam.

Zagroził, że potrąci nam obu z pensji za mój tupet.

– To twoja decyzja, nie moja. – Bezlitośnie podsumowałam jego pretensje.

Miałam ochotę się z nim posprzeczać. Lecz on nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi. Obiecał, że zapłaci nam ekstra, jeżeli zostanę. Wtedy do dyskusji włączyła się Majka. Zapytała, zupełnie jak grzeczna uczennica, czy możemy się naradzić. Nie spodobała mi się ta potulność, a mimo to zamknęłyśmy się w łazience. Żeby ustalić cokolwiek.

Młoda przysiadła na brzegu wanny. W palcach oczywiście miętoszyła papierosa. Nie nadawał się już, żeby go zapalić. Nerwowo przekonywała, że skoro przespałam się już z tyloma mężczyznami, jeden więcej nie zrobi mi różnicy. Odpaliłam, że nie ma mowy, bo on nawet mi się nie podoba.

– No jasne, z samymi misterami świata się ruchałaś, co nie? – zakpiła. Wypominała, że przeze mnie straci pracę. Robiła błagalne minki. Próbowwała wzbudzić moją litość. – Pomyśl o mnie! Gdzie ja pójdę? – pytała, pociągając nosem.

Odburknęłam, żeby przestała zgrywać bidulkę, lecz ona namawiała mnie niestrudzenie. Tyle że obie chciałyśmy postawić na swoim, a ja nie zamierzałam odpuścić. Przede wszystkim pragnęłam uświadomić tej skończonej piękności i przebrzydłej materialistce, że pieniądze to nie wszystko. I nie chodziło o moralne zasady. Byłabym skończoną hipokrytką, gdybym wyznaczała ludziom granice. Chodziło wyłącznie o to, by dać Majce nauczkę.

Ponieważ najwyraźniej zabrakło jej argumentów, wymyśliła, że po tym numerku zafundujemy sobie wisioriki ze złotymi jaguarami i będziemy się w nich kochać. Zaczęła się do mnie łąsić kocimi, wypróbowanymi metodami. Tym razem się nie dałam. Ona roztaczała kolejne wizje, że wyjedziemy, tylko ja i ona, dzikie serca. O, proszę, jednak coś zapamiętała! Ba, wyrecytowała moje

słowa!

Stwierdziłam, że mój sprzeciw wynika z poczucia honoru, a wtedy nazwała mnie „honorową dziwką” i zachichotała jak wiedźma. Próbowwała mnie pocałować.

– Zostaw – powiedziałam pomiędzy naszymi wargami.

Odsunęła się.

– To nasze ostatnie spotkanie, ostatni interes. Nie chcę hajsu, udław się nim!

Tego już nie wytrzymała i poszła.

Ja natomiast wzięłam jeszcze luksusową kąpiel na koszt pana domu, zalewając całą łazienkę, jak podczas pierwszej wizyty. Poza tym byłam naprawdę zdruzgotana. Pomogły mi się otrząsnąć wyłącznie mocne cięcia. Z tym że zadawałam je nie sobie, lecz Majce! Wyobrażałam sobie, jak wykrzywia twarz, i jeszcze silniej przyciskałam żyłkę do uda; wchodziła w nie jak nóż w masło. Rozsmarowywałam krew na skórze, dopóki się nie popłakałam.

Nie miałam pojęcia co dalej.

Przed snem odebrałam esemesa. Młoda pisała, że oddawała mi wszystko, co dostawała za pokazy, sobie nie zostawiając niczego. Podobno tak okazywała swoje uczucie.

Kłamczucha! Przecież dobrze na mnie wyszła! Uczucie? Żenada!

A mimo wszystko gnębiły mnie wyrzuty sumienia, czy na pewno nie osądzam jej źle. Nie, jej należy się jeszcze gorsza opinia! – tłumaczyłam się sama przed sobą. A bilety na Strachy? A *Peggy Brown*? Cóż, zapewne chciała mnie omotać.

Wiadomość pozostawiłam bez odpowiedzi, by nimfetkę zraniła cisza.

Nie odpuszczała. Na Facebooku przesłała mi piosenkę *Syreny* Artura Rojka i zapytała, czy już ją słyszałam. Odpisałam, że znam *Syreny* od dawna, ale wolę o nich nie pamiętać. Nawet nie pamiętam, kiedy rozpoczęło się moje upodobanie do zanurzania się w wodzie, a jeszcze później w wilgoci, która plamiła majtki kuzynce i wszystkim innym kobietom. Majka wabiła podobnie jak syreny, a ja nie zamierzałam ginąć w toni, w którą pragnęła mnie

zaciągnąć.

Zawzięcie przesyłała wiadomości, że ze mnie nie zrezygnuje. Zwierzała się, że nigdy nie czuła niczego podobnego do innej osoby. Obiecywała, że porzuci sponsoring, bylebym do niej wróciła.

A jeśli naprawdę jej zależy? A może pieniądze wszystko popłatały nam obu?

„Magda, co u ciebie?”, zapytała po kolejnych kilku cichych dniach.

Postanowiłam wreszcie odpowiedzieć, nawet sympatycznie. Ale emocje wzięły górę.

„A co cię to? Dalej masz układ z Louistem?”.

„Aha. A ty z kimś jesteś?”

„Nie. A ty? Znalazłaś za mnie zastępstwo?”.

„Mam taką jedną”.

„O, proszę! Szybko. Skąd?”.

„Poznałam na Badoo”.

„Ładna?”.

„Tak. Zgrabna, ruda”.

„A charakter?”.

„Ciepła. Przyjazna”.

„Ja byłam zimna i nieprzyjazna, tak? Zimowy typ, co nie?”.

„Odbiło ci?”.

„Ile ma lat?”.

„W moim wieku”.

„Wciągniesz ją w interes na dłużej?”.

„A co się tak pytasz i pytasz? Zazdrosna jesteś?”.

„Po chuja się do mnie znów odezwałaś? Randkuj sobie na Badoo!”.

„Magda, nie znałam cię tak wulgarnej...”.

„Ciesz się, bo już nie będziesz znała mnie wcale!”.

Już sobie poradziła beze mnie! Już szuka. Suka! – zirytowałam się.

Natychmiast weszłam na portal, na którym poznała Rudą.

Na profilu Mai widniały zdjęcia mojego autorstwa.

Wszystkie w sukience w kropki. Wszystkie z lasu. „Szanowni Państwo, to dla mnie ona leżała na tym pościeli z trawy, liści i mchu. Ja ją tam uwieczniłam, a później pieściłam i pieprzyłam. Dlatego te zdjęcia są moją własnością. Zabraniam ich upowszechniania, proszę natychmiast usunąć je z serwisu!”. O, tak właśnie powinnam zareagować!

Stało się inaczej. Prawie zemdliło mnie, gdy pomyślałam, że Ruda rozepnie guziki przy tej sukience. Wyjmie ze stanika piersi. Nie przeszkadzało mi, że moja ukochana utrzymuje kontakty seksualne z Louistem, ale z inną kobietą? Tak szybko? Jak mogła mi to zrobić? Nie dałam rady dalej powstrzymywać mdłości. Z dłonią na ustach pobiegłam do łazienki.

Potem poczułam do siebie wstręt, również dlatego, że traktowałam nimfetkę jak własność. Byłam cholernie zła za tę swoją skłonność do kobiet. Po co mi one? Żadnej już nie pokocham. Żadnej! Wredne syreny! Zdradziły mnie!

A jeszcze później pisałam listy, których Majka nigdy nie miała odebrać. „Kochanie, buduję nam Muzeum Wspomnień. Za oszklonymi gablotkami stoją manekiny ubrane w komplety bielizny, które nosiliśmy na pokazach. Wszystkie mają tabliczki, na nich daty naszych tête-à-tête. Są też stanowiska ze słuchawkami dla odwiedzających, a tam wszelkie piosenki, jakie sobie śpiewaliśmy, wysyłałyśmy, do wyboru. Wpadnij, przekonaj się, płacz. Płacz ze mną, bo, cholera jasna, nie ma kto ze mną płakać!”.

To wylewanie z siebie łez i słów sprawiało, że czułam ulgę. Kiedy nie ma się przyjaciółek, nikt nie wsadza nosa w nie swoje sprawy. Nie udziela porad, które można o kant dupy potłuc, i nie lamentuje. Ale teraz straszliwie brakowało mi siostrzanej duszy.

Poleciałam zatem do monopolowego po bratnią. Teraz płakał ze mną Jack Daniel's.

Za jego namową zatelefonowałam do Louisa. Zaproponowałam spotkanie. Powiedziałam, że pojawię się na nim sama. Niestety, wolał nas w parze. Odparłam, że rozumiem i nie będę się napraszać. Wtedy rzucił, żebym nie zachowywała się jak narwana, ale przyszła, a on zobaczy, co się da dla mnie zrobić.

Dodał, że nasza randka będzie krótka, bo umówił się już na biznesową kolację.

Posiedziałam jeszcze chwilę z Jackiem; dodawał mi otuchy.

Zaczęło padać. Narzuciłam na cienką sukienkę płaszcz i pognałam na autobus. Podłe MPK znów zrobiło mi na złość, jak zwykle, gdy się śpieszyłam.

– Ważka zawsze przylatywała na czas – wypomniał mi Louis.

– Miałam ważną konferencję. Przedłużyła się. – Chuchnęłam mu w twarz.

– No nie! Najebałaś się?

– Nie, nie, nie – zanuciłam do melodii, która grała mi w głowie.

Podniósł moją brodę ku górze i zajrzał mi w oczy.

– Płacę tylko trzeźwym.

– To mi nie płac. Nie, nie, nie... – śpiewałam dalej.

– Taka jesteś pewna siebie?

– Taka jestem, a ty jesteś...

Przerwał mi wokalne popisy. Zatkał mi usta i rzucił mną o podłogę.

Sufit zawirował.

Louis wziął mnie szybko i równie szybko skończył.

– Idź! – powiedział, kiedy już było po wszystkim.

W akademiku poczułam pustkę. Dźwięczała w uszach, choć alkohol wciąż szumiał w głowie.

Zmyłam makijaż. Związałam włosy. Rozebrałam się i naga stanęłam przed łazienkowym lustrem. Wyjęłam z uszu kolczyki, by nic mnie nie zdobiło. Spojrzałam na siebie. Całą. Inni ludzie tylko rozdrabniali mnie na kawałki. Temu dałam na spodeczku, temu na łyżeczce, tej w miseczce, a sobie łeppek ukręciłam... Ukręciłam! A mimo to nie umiałam żyć bez nich wszystkich. Jeszcze nie. Wciąż nie.

Sięgnęłam po telefon. Poprosiłam Majkę, żeby przyjechała. Zgodziła się.

Całowałam jej nogi, od stóp aż po uda.

[1] Agnieszka Osiecka, *Oczy tej małej*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,agnieszka_osiecka,oczy_tej_malej.html [23 listopada 2015].

[2] *Oto jest dzień*, <http://teksty.wywrota.pl/tekst-chwyty-tabulatura/48141-piosenki-religijne-oto-jest-dzien.html> [23 listopada 2015].

[3] Madonna, *Like a prayer*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,madonna,like_a_prayer.html [23 listopada 2015].

[4] Boys, *Jesteś szalona*,
<http://www.tekstowo.pl/piosenka,boys,szalona.html> [23 listopada 2015].

[5] Alibabki, *Kwiat Jednej Nocy*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,alibabki,kwiat_jednej_nocy.html [23 listopada 2015].

[6] Halina Frąckowiak, *Bądź gotowy dziś do drogi*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,halina_frackowiak,bad_gotowy_dzis_do_drogi.html [23 listopada 2015].

[7] Czerwone Gitary, *Kwiaty we włosach*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,czerwone_gitary,kwiaty_we_wlosach.html [23 listopada 2015].

[8] Czerwone Gitary, *Barwy jesieni*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,czerwone_gitary,barwy_jesieni.html [23 listopada 2015].

[9] Fasolki, *Moja fantazja*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,fasolki,moja_fantazja.html [15 grudnia 2015].

[10] A. Kamińska, *Koncert żab*,
<http://www.poezjaa.info/index.php/index.php?p=2&a=34&u=561>
[23 listopada 2015].

[11] O. Wilde, *Portret Doriana Graya*, przeł. M.
Feldmanowa, Kraków 2001, s. 152.

[12] Varius Manx, *Piosenka księżycowa*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,varius_manx,piosenka_ksiezyco
[wa.html](http://www.tekstowo.pl/piosenka,varius_manx,piosenka_ksiezyco) [23 listopada 2015].

[13] Bilhana, *Pięćdziesiąt rozkoszy złodzieja*, przeł. R. Stiller,
Warszawa 1985, s. 42.

[14] Strachy na Lachy, *Spacer do strefy zero*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,strachy_na_lachy,spacer_do_stref
[y_zero.html](http://www.tekstowo.pl/piosenka,strachy_na_lachy,spacer_do_stref) [23 listopada 2015].

[15] Myslovitz, *Peggy Brown*,
http://www.tekstowo.pl/piosenka,myslovitz,peggy_brown.html [23
listopada 2015].

MARTA MOTYL

ODCIEŃIE CZERWIENI



Marta Motyl
ODCIEŃIE
CZERWIENI



